ROZMOWA „DO RZECZY”

Jak uniknąć unijnej pułapki? – tłumaczy Ryszard Czarnecki



Odsłaniamy ukryte cele Szymona Hołowni

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 15/573 8–14 KWIETNIA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



JOANNA BOJAŃCZYK OSTRO O DOŁUJĄCYM FACEBOOKU

Żduny – obywatele Ukrainy, którzy pragną rosyjskiej okupacji

Buta i arogancja Izraela

SZOKUJĄCE REAKCJE ŻYDOWSKICH POLITYKÓW I DYPLOMATÓW PO ZABICIU POLAKA

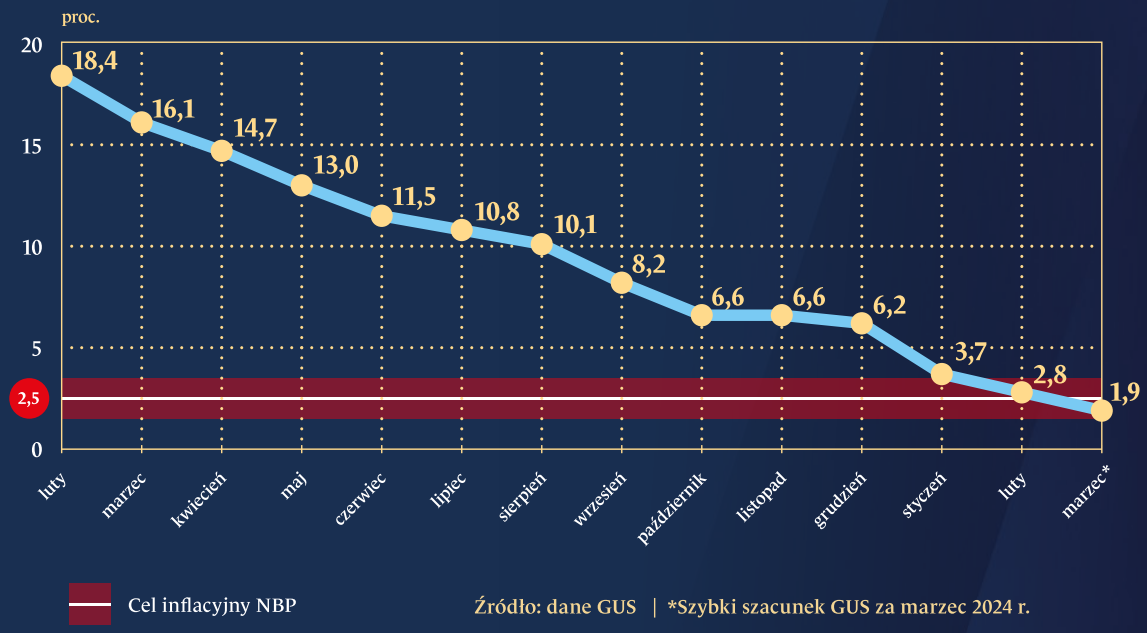
ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 15 >

Nakład: 52 000 egzemplarzy

Dzięki dobrej polityce pieniężnej NBP inflacja szybko się obniżyła, co prognozował NBP

Roczna dynamika cen konsumpcyjnych w okresie luty 2023 r. – marzec 2024 r.



Źródło: dane GUS | *Szybki szacunek GUS za marzec 2024 r.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

W marcu inflacja wyniosła 1,9% r/r i znalazła się na poziomie zgodnym z celem inflacyjnym NBP, który wynosi 2,5% +/-1 pkt proc.

Potrzebna siła eurosceptyczna



PAWEŁ LISICKI

Chciałoby się powiedzieć – wreszcie! Wreszcie do świadomości Polaków zaczyna przebijać się wiedza o cieniach przynależności Polski do Unii Europejskiej. Po 20 latach nieustannego entuzjazmu wreszcie pojawiły się, wciąż jeszcze ograniczone, ale jednak wątpliwości. Jak wynika z opublikowanego przez „Rzeczpospolitą" sondażu, o ile według 53,5 proc. badanych zalety członkostwa Polski w UE przeważają nad wadami, o tyle zdaniem 24,7 proc. wady i zalety się równoważą, a 16,7 proc. twierdzi, że przeważają wady. 5,1 proc. ankietowanych wybrało odpowiedź „nie wiem/trudno powiedzieć". To przełom: zaledwie 54 proc. Polaków sądzi, że zalety przynależności do Unii przeważają.

Mimo zatem gigantycznej akcji wszystkich największych mediów, broniących Unii jak pani matki i uznających w Brukseli krynicę mądrości i nieskażone źródło postępu, do coraz większej liczby Polaków dociera, że zostali oszukani. Że lukrowana wizja Unii, organizacji wspierającej wolność wyrażania poglądów, swobodę przedsiębiorczości i zapewniającej ochronę własności, okazała się złudna.

Kilka wniosków z obecnego badania wydaje się oczywistych. Przede wszystkim jesteśmy dopiero na początku wdrażania szalonej wizji Zielonego Ładu, a już popularność idei unijnej zaczęła spadać. Największe przyjemności przed nami.

Przed nami wprowadzanie restrykcyjnych stref czystego transportu w miastach, przed nami wymuszanie na kierowcach zakupu znacznie droższych, elektrycznych aut. Przed nami drastyczne podwyżki transportu lotniczego i zanik tanich lotów. Przed nami zniszczenie własnego rolnictwa, które ma zostać złożone na ołtarzu czystego klimatu matki ziemi czy planety A. Przed nami wzrost opłat za energię i nowe opłaty nakładane na właścicieli nieruchomości za doprowadzenie posiadanych przez nich budynków do ideału „zeroemisyjności". Przed nami wielki proces wywłaszczania wszystkich ze wszystkiego, bo – jak kiedyś orzekł pewien mędrzec z Davos – tylko brak posiadania czyni szczęśliwym. Przy czym nie jest to parafraza Ewangelii i wezwanie do dobrowolnego ubóstwa dla Królestwa Niebieskiego, ale parafraza marksizmu i wezwanie do podporządkowania się ubogich budowaniu Królestwa Ziemskiego na rzecz możnych i potężnych.

Przed nami także uroki polityki równościowej, gdzie każda średnia i większa firma w Polsce będzie musiała wykazywać się troską o inkluzywność i różnorodność, pod którymi to wdzięcznie brzmiącymi hasełkami kryje się to, co kiedyś nazywano urawniłowką, a teraz prawami LGBTQIA++, czyli podporządkowanie gospodarki i biznesu kryteriom ideologicznym. Nie tylko trzeba będzie w ten sposób okazywać swój entuzjazm tęczowej bolszewii, lecz także płacić, płacić i jeszcze raz płacić: za odpowiednie raporty, za odpowiednich ludzi, którzy je przygotują, i wreszcie za cały system zbudowany na inwigilacji i kontroli poprawności. Nie będzie tu swobody wyboru: nad wdrożeniem dyrektyw równościowych, coraz bardziej nieludzkich i coraz bardziej sztywnych, czuwać będą instytucje unijne.

Przed nami rozkosze nowej edukacji. To, co polskie, ma zostać zepchnięte na margines, a nauczyciele będą budować świadomość nowego unijczyka, Europejczyka pełną gębą, dla którego to, co narodowe i tradycyjnie polskie, okaże się ograniczające, wąskie, przestarzałe. Przed nami radości powolnego likwidowania i usuwania pozostałości katolicyzmu, bo taki, jaki został nam przekazany przez poprzednie pokolenia, nie mieści się w unijnych projektach.

Można zatem śmiało przewidywać, że czeka nas nie osłabienie, ale zaostrzenie walki politycznej w Polsce. Obecna liberalno-lewicowa władza, wspierana z całego serca przez Brukselę, będzie robić wszystko, co w jej mocy, by coraz bardziej oporny naród przeprowadzić do Ziemi Wybranej Zeroemisyjności i Krainy Nieheteronormatywności. Im lepiej widoczne będą absurdy tej polityki, tym większe będzie dokręcanie śruby. Lada moment pojawią się ustawy ograniczające, a następnie znoszące wolność słowa – minister Adam Bodnar na pewno się na tym froncie sprawdzi. Obok kija będzie też marchewka, a więc pojawią się nowe „niezależne" inicjatywy wsparcia dla Unii. Prymusi już wystartowali.

Przeczytałem, że minister edukacji Barbara Nowacka i minister do spraw Unii Europejskiej Adam Szłapka wezwali szkoły do zakładania Szkolnych Klubów Europejskich. „Dzisiaj bardzo zachęcamy […] szkoły, nauczycielki, nauczycieli oraz młodzież do włączenia się w inicjatywę rozbudowy i odbudowy Klubów Europejskich" – mówiła pani minister. Musi być naprawdę ciężko, skoro mają powstać Szkolne Kluby Europejskie promujące obecność Polski w Unii, żywcem przypominające niesławne Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

W takiej sytuacji pojawi się na pewno miejsce na silny ruch suwerennościowy i eurosceptyczny. Tym bardziej że z tej roli – obrońcy polskich interesów wobec Brukseli – nie potrafił się wywiązać PiS, którego przywódcy nie potrafili sobie wyobrazić życia poza Unią i dlatego skutecznie byli przez unijczyków szantażowani. Kto wypełni to miejsce, trudno jeszcze powiedzieć, ale na pewno ono istnieje. ©℗



TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZBRODNIA JAKO „EGZYSTENCJALNA KONIECZNOŚĆ”
Mordowanie niosących pomoc

17 JAKUB WOZINSKI
GRUPA TRZYMAJĄCA DYSKURS

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA
DOKTRYNA PSA OGRODNIKA
Przed bitwą o duży pałac

25 KRYSTIAN KRATIUK
ZRÓWNOWAŻONE CELE HOŁOWNI

28 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
WIĘCEJ REALIZMU

30 PIOTR SEMKA
ALEJA MĘCZENNIKÓW DEMOKRACJI

32 ZUZANNA DĄBROWSKA
PLOTKĄ I HEJTEM

34 ROZMOWA Z JACKIEM STANISZEWSKIM
NIE DA SIĘ UCZYĆ TYLKO NA LEKCJACH

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
WIELKIE DNI AWANGARDY
Wystawa w Paryżu

40 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
SZUMOWSKA JAKO KOBIETA Z...

42 PIOTR GOCIEK
OD CHAPLINA DO MARTINA

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 MAREK KAMIŃSKI
KOŚLAWA USTAWA
Nowy pomysł na aborcję





53 MARIUSZ JAGÓRA
WYGOOGLOWANA DEMOKRACJA

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
FRANCISZEK ROZPOCZĄŁ „WIELKĄ PRZEBUDOWĘ”

HISTORIA

60 MARIAN PIŁKA, MAREK JUREK, TOMASZ SZYSZKO
EPITAFIUM DLA BENEDYKTA
Pamięci Benedykta Czumy

ŚWIAT

64 TERESA STYLIŃSKA
KEMALIŚCI WRACAJĄ DO GRY
Przyszłość Recepa Erdoğana wielką niewiadomą

68 MACIEJ PIECZYŃSKI
CZEKAJĄC NA ROSJĘ

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
DOM ZA CZTERY ZŁOTE?
Kolejne miasta chcą ożywić dzielnice duchów

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
FACEBOOK IS (NOT) DEAD
Serwis społecznościowy schodzi na psy

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (66), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

TYGODNIK LISKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Ulrich Baumgarten/Getty Images, Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy

NADZÓR KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Zagrożenie wojenne i zagrożenie cywilizacyjne

W czasie, w którym świat polityczno-medialny straszy nas coraz bardziej prawdopodobną wojną z Rosją, nie możemy zapominać o równie poważnym co wojenne zagrożeniu dla zachodnich społeczeństw. Jest nim antycywilizacja śmierci, która krok po kroku próbuje zaprowadzić swoje porządki w państwach Unii Europejskiej i w USA.

Już w tym momencie w niektórych krajach UE i w niektórych stanach USA zabija się na życzenie dzieci nienarodzone, również w zaawansowanej ciąży, np. w Holandii do 22. tygodnia czy w stanie Nowy Jork do 24. tygodnia, czyli do końca szóstego miesiąca ciąży. A w pewnych przypadkach dopuszcza się zabijanie dzieci nienarodzonych nawet w dziewiątym miesiącu (jeżeli według lekarzy „płód po urodzeniu nie będzie zdolny do życia"). Już teraz np. w Belgii dokonuje się „eutanazji", czyli zabija się nawet noworodki i niemowlęta, kierując się przy tym „kryterium jakości życia". Nie mówiąc już o zabijaniu dorosłych chorych ludzi, zdarza się, że bez ich zgody, kiedy leżą nieprzytomni w szpitalu. Już teraz, również w Belgii, dopuszcza się „eutanazję" ludzi fizycznie zdrowych, ale dotkniętych np. depresją. Wszystko zmierza w takim kierunku, że kolejnym krokiem będzie przymusowe dokonywanie „eutanazji" osób chorych i niepełnosprawnych. A następnie poszerzanie definicji niepełnosprawności, aż prawo do życia zostanie zarezerwowane tylko dla ludzi spełniających jakiś wzorzec zdrowia i przydatności społecznej. Dodajmy do tego już prowadzoną deprawację dzieci w szkołach przez lobby LGBT, szalone, już stopniowo realizowane pomysły wpędzania narodów europejskich w biedę pod pretekstem zmniejszania emisji CO_2. To wszystko w połączeniu z totalitarnymi zapędami eurokratów może już wkrótce przekształcić Unię Europejską w iście dystopijne państwo oparte na antymoralności i opresji. A wojna z Rosją może ułatwić i przyspieszyć odbieranie Europejczykom kolejnych obszarów praw i wolności oraz tworzenie takiego państwa.

Jednocześnie nie powinniśmy w żadnej mierze widzieć w Rosji możliwego uzdrowiciela cywilizacji europejskiej i poddawać się jej agresji. Rosja nie ma do zaoferowania żadnego projektu cywilizacyjnego. Rosyjski system państwowy i społeczny od wieków oparty jest na pogardzie dla życia ludzkiego i na obowiązywaniu prawa silniejszego.

Brońmy się więc przed zagrożeniem wojennym ze Wschodu i przed zagrożeniem cywilizacyjnym z Zachodu. I próbujmy jako Polacy, jak zachęcał nas do tego św. Jan Paweł II, odnowić moralnie Europę.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Najwyższy czas się policzyć

Na 14 kwietnia polskie organizacje proliferskie wyznaczyły w Warszawie centralny marsz w obronie prawa do życia. Warto, by wszyscy ludzie dobrej woli zaangażowani w obronę tradycyjnych wartości, tłumnie stawili się w stolicy Polski.

Moment jest bardzo gorący. Skręt w lewo zaczyna być realizowany coraz szybciej. Donald Tusk oddał resorty nadzorujące służbę zdrowia, mające wpływ na wychowanie młodzieży, i ważne stanowiska w Ministerstwie Kultury radykalnym bojowniczkom feministycznym i lewicowym. W Sejmie zaczynają się prace nad trzema projektami PO, Lewicy i Trzeciej Drogi. Dwa z nich mają na celu faktyczną legalizację aborcji na życzenie. Minister Leszczyna pyszni się wejściem w życie możliwości zażywania tabletek „dzień po" dostępnych już dla 15-latek bez wiedzy rodziców. Minister zdrowia z uporem odrzuca to, że tabletki mogą w pewnych okolicznościach pełnić funkcje wczesnoporonne. Nowe przepisy prawne o tzw. walce z mową nienawiści mogą pod groźbą surowych kar sparaliżować jakąkolwiek dyskusję z pomysłami społecznej inżynierii lansowanymi przez lobby LGTB+. Coraz więcej wątpliwości budzi aresztowanie ks. Michała Olszewskiego z fundacji Profeto. Przetrzymywanie kapłana w areszcie wygląda jak demonstracja wszechwładzy ekipy Tuska i ukłon w stronę najbardziej agresywnych antyklerykałów. W szkołach z inicjatywy Ministerstwa Edukacji zaczyna się zmniejszanie liczby lekcji religii. Wszystko to razem jawi się jako najdalej idący program ograniczania praw ludzi wierzących od chwili upadku PRL.

Polscy katolicy muszą w tej sytuacji nauczyć się organizować w obronie swoich przekonań i wartości. Tylko tłumnie pokazując, jak ważne są dla nas prawa ludzi wierzących, możemy próbować odwrócić niepokojące trendy. I katolicy muszą się nauczyć organizować się sami. Kościół polski przeżywa kryzys i wielu biskupów niestety daje sobie wmówić, że wypowiadanie się w kwestii polityki obecnych władz to coś ryzykownego i niepotrzebnego.

W sferze zbiorowej większość mediów przemilcza lub odrzuca wszystkie etyczne argumenty w obronie życia. Coraz mniej jest polityków o trwale ukształtowanym sumieniu chrześcijańskim. Ten brak musi wypełnić aktywność świeckich wiernych. Ludzi, którzy muszą sięgnąć po doświadczenia organizacji broniących praw ludzi wierzących z lat 70. Ludzi, którzy podejmą żmudną walkę z administracyjnym i politycznym rugowaniem postulatów chrześcijańskich z przestrzeni publicznej.

Marzy mi się, by marsz 14 kwietnia pod względem frekwencji zmierzał ku masowości pochodu z okazji 11 listopada. Bierność katolików zachęca obóz postępu do coraz bardziej agresywnych demonstracji antykatolickich. Ta taktyka salami musi się spotkać z widomym sprzeciwem.

Spotkajmy się 14 kwietnia w południe na pl. Zamkowym w Warszawie. Pod statuą władcy trzymającego mocno w dłoni krzyż. Najwyższy czas się policzyć. ©℗



FOT. ADOBE STOCK, DORZECZY.PL

ŚWIETNY WYNIK DORZECZY.PL

W marcu DoRzeczy.pl było najpopularniejszym serwisem informacyjnym tygodników. Według danych Mediapanelu nasz portal odwiedziło aż 4,058 mln użytkowników. DoRzeczy.pl może się też pochwalić aż 35,7 mln odsłon. Drugi w zestawieniu portal tysol.pl, serwis „Tygodnika Solidarność", miał 4,044 mln użytkowników, ale tylko 12,4 mln odsłon. Trzecie miejsce zajęło wprost.pl z wynikiem 3,5 mln użytkowników i 15 mln odsłon. Na kolejnych pozycjach znalazły się newsweek.pl, wPolityce.pl i niedziela.pl.

Narodowy Bank Polski
informuje:

NARODOWY BANK POLSKI

Reakcja NBP na złożenie politycznego wniosku o Trybunał Stanu dla Prezesa NBP

Dziś stoimy wobec próby złamania niezależności polskiego banku centralnego podjętej przez stu kilkudziesięciu posłów, a to przez wniosek o postawienie prezesa NBP Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. To nie jest sprawa personalna jednej osoby, to rozbijanie podstaw państwa polskiego i jego gospodarki.

Podstawowy zarzut to zakup na rynku wtórnym obligacji emitowanych lub gwarantowanych przez Skarb Państwa, co, jak twierdzą oskarżyciele, stanowi złamanie Konstytucji.

NBP, tak jak FED, BoE i ECB, dokonywał skupu obligacji w okresie covidu; w latach 2020-21 skupił ok. 144 mld zł obligacji. Operacje te były przeprowadzane z zachowaniem najwyższych standardów, na otwartych aukcjach ogłaszanych publicznie, dostępnych dla wszystkich banków mających dostęp do systemu transakcyjnego NBP.

W okresie COVID NBP podjął szereg działań nadzwyczajnych: RPP obniżyła podstawową stopę procentową do 0,1%, poziom rezerwy obowiązkowej banków, na wniosek NBP zniesiono bufor ryzyka systemowego. Działania te odniosły skutek: inflacja powróciła do celu, PKB jest większy o 10% wobec 2019 r., mamy historycznie niskie bezrobocie.

Jak wyglądałaby alternatywa wobec tego, co zaszło w latach 2020-21? Wystąpiłby głęboki spadek PKB (mieliśmy tylko 2%, we Francji i Hiszpanii 7-11%), brak warunków dla stabilności cen, kryzys systemu finansowego, upadek tysięcy firm, bezrobocie i ze względu na dużą mobilność Polaków kolejna fala emigracji. Słowem: podmycie fundamentów naszej gospodarki i waluty. Tak osłabiona Polska stanęłaby wobec ataku hybrydowego na granicę z Białorusią, a następnie inwazji Rosji na Ukrainę.

Działania NBP były uzasadnione ekonomicznie i zgodne z prawem. Artykuł 227. Konstytucji stanowi, że NBP przysługuje wyłączne prawo emisji pieniądza oraz ustalania i realizowania polityki pieniężnej. To prawo wyłączne, NBP nie ma obowiązku uzgadniania polityki pieniężnej, a inne instytucje nie mogą wkraczać na ten obszar. Ponadto Ustawa o NBP jasno stwierdza, w artykule 48., że NBP może skupować i sprzedawać dłużne papiery wartościowe w ramach operacji otwartego rynku.

Jesteśmy oskarżani za to, co możemy i powinniśmy robić. Wnioskodawcy tworzą stan, w którym w przypadku podobnych zagrożeń w przyszłości, Polska będzie bezbronna, a osoby zajmujące funkcje publiczne będą się bały podejmowania decyzji. Komunikat, który dziś został wysłany brzmi: Jeżeli w chwili zagrożenia, wykażesz spokój, odwagę i wiedzę, podejmiesz konieczne decyzje, odniesiesz sukces, wyciągniesz kraj z opresji, to zwycięzca kolejnych wyborów będzie chciał wsadzić Ciebie do więzienia.

Ten atak się nie powiedzie, niezależności NBP nie da się złamać ani zniszczyć.



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wszyscy wiedzą

Nikt nie ma wątpliwości, że szlak migracyjny przez Białoruś do Polski to sztuczny szlak wytworzony przez służby białoruskie" – nie byłoby w tym stwierdzeniu niczego specjalnego, gdyby nie to, kto tę oczywistość wygłosił: Marcin Kierwiński, polityk PO, w rządzie Koalicji 13 grudnia skierowany na odcinek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. „Rozpoczynamy proces wzmacniania zapory na granicy" – chwali się Kierwiński dziennikarce „Super Expressu" i dodaje: „Musimy to zrobić, ponieważ ten proceder instrumentalizacji migracji będzie z nami przez wiele lat".

Nawet w polskiej mowie, tak obfitej w słowa dosadne, ekspresywne i wulgarne, nie sposób znaleźć epitetu adekwatnego do takiej hipokryzji i bezczelności, którą wykazał się Tuskowy przyplecznik. „Wszyscy wiedzą", że to nie żadni uchodźcy, nie „biedni ludzie szukający swojego miejsca na ziemi", tylko „sztuczny szlak migracyjny" ruskich służb?! „Wszyscy wiedzą", że zamiast gościć ich pizzą i otaczać miłością, trzeba migrantów zatrzymywać i wzmacniać zaporę, przeciwko budowie której pan Kierwiński wraz ze swą partią i jej pryncypałem jeszcze do niedawna gardłował i głosował? Od kiedyż to „wszyscy" stali się „pisowcami"? Od chwili, gdy pan Kierwiński usadził swoją szanowną na ministerialnym stołku?

Czekam teraz na nową wersję sławetnego i nagradzanego filmu pani Holland (może wystarczy tzw. director's cut): dzielny Tusk i jego kamanda własnymi piersiami i optoelektroniką bronią granic ojczyzny i Unii przed Putinowskimi nasłańcami, a wraży PiS knuje, opluwa ich jak może, oskarża po swych tefałenach kłamliwie o mordowanie uchodźców i ranienie im ust potłuczonymi termosami, podważa dobre imię i celowość działania służb państwowych, śle w tym duchu donosy i prośby o potępiające rezolucje do Berlina i Brukseli, posuwając się nawet do nagradzania groteskowych bredni o Ibrahimie chowającym się przed okrutnymi Polakami pięć dni pod wodą.

Bo przecież tak to było. Wszyscy wiedzą, panie ministrze. ©℗



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Anty-Makiawel wyborczy

Stanisław Mackiewicz uczył, że polityka jest sztuką odróżniania rzeczy ważnych od nieważnych. Oczywiście słowa mogą mylić, więc żeby zrozumieć to stanowisko, trzeba wiedzieć, jak „Cat" rozumiał politykę. Otóż pod pojęciem polityki (i sztuki politycznej) rozumiał najpierw definiowanie dobra publicznego, czemu właśnie miało służyć rozpoznawanie wagi faktów, a potem „prowadzenie polityki" na rzecz jego możliwego urzeczywistnienia.

Dziś przez politykę rozumie się nie „prowadzenie polityki", ale „bycie w polityce" czy też – używając jeszcze bardziej potocznych pojęć – „bycie na górze". Utrzymywanie się na tym, za przeproszeniem, poziomie, stawia zupełnie inne wymagania niż prowadzenie polityki. Choć materialnie podobne, bo tu również chodzi o rozróżnianie faktów, tyle że na ogół innych. Trzeba bowiem wyolbrzymiać użyteczne fakty i bagatelizować wyborczo nieużyteczne, również takie, których – wydawałoby się – ignorować nie wolno. W tej „polityce" bowiem wobec imperatywów rzeczywistości należy zachować „wolność". Choć – co warto zauważyć – politycy całkowicie „wolni" wobec presji rzeczywistości najzupełniej bezwolnie poddają się socjologicznej presji systemu. I żeby poprawić sobie samopoczucie – nazywają to „słuchaniem ludzi" albo respektowaniem Reguł Wolnego Społeczeństwa.

Ale wróćmy do „Cata" i do polityki naprawdę. Po 1935 r. Mackiewicz nie był już posłem, w 1938 r. wybory przegrał. Ale wtedy właśnie stoczył swą najważniejszą chyba walkę o politykę Rzeczypospolitej. I w jego publikowanych w „Słowie" przestrogach (a nawet w pokrzykiwaniach w „Ziemiańskiej"), że jesteśmy nieprzygotowani do wojny pancernej, było więcej autentycznej polityki niż w gromkich przemowach OZN-owskich posłów w Sejmie, zapewniających społeczeństwo, że jesteśmy „silni, zwarci, gotowi". Tyle że oni „byli w polityce", a „Cat" w końcu trafił do Berezy. Jak więc widać – przynajmniej władza doceniła jego politykę. ©℗

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Co zrobić z neonazistami i neofaszystami?

Przed takim problemem stanęli mędrcy lewicy w studiu włoskiej telewizji La7, która oferuje widzom przekaz tak krwistoczerwony, że oczy bolą od patrzenia, a uszy więdną. Profesor Christian Riamo, pisarz nauczający filozofii w rzymskim liceum, pierwszy rzucił się do odpowiedzi: „Trzeba ich bić!". W studiu doszło do lekkiej konsternacji, ale wychowawca młodzieży nie dał się zbić z pantałyku: „Myślę, że bicie neonazistów jest słuszne".

Naturalnie kwestia stanęła nie bez powodu. Do identycznego wniosku, jak niedawno pisałem na tych łamach, w zeszłym roku doszła 38-letnia nauczycielka z Monzy Ilaria Salis. Może dlatego, że neonazistów we Włoszech jest jak na lekarstwo, ruszyła kontestować wytatuowanych łysoli do Budapesztu, gdzie co roku wraz ze współwyznawcami z Niemiec oddają hołd pamięci obrońców Budy przed Armią Czerwoną. W efekcie niewiasta została aresztowana (ze składaną pałką w torebce) i oskarżona o udział w ciężkim pobiciu trzech neonazistów. Przebywa nadal w celi w Budapeszcie. Ruszył proces. Grożą jej aż 24 lata więzienia, co poruszyło nawet najbardziej zatwardziałe serca włoskiej prawicy. Węgierski sąd odrzucił podanie o areszt domowy. Zareagowali prezydent Sergio Mattarella, szef MSZ i minister sprawiedliwości. Piszą o tym i mówią wszystkie włoskie media. Włoska lewica wciągnęła Salis na sztandary i chce ją wystawić w wyborach do Parlamentu Europejskiego. I oskarża rząd, że z powodów ideologicznych nie chce się ująć za bohaterską antynazistką.

Wydawałoby się, że skoro neonazistów można lać bezkarnie, to pozostaje jeszcze rozstrzygnąć, kto jest neonazistą, a kto nim nie jest. Ale problemu nie ma. Neonazistów wskażą postępowcy. Ot, choćby znawca antyku i ludzkiej duszy 81-letni prof. Luciano Canfora. Powiedział, że Giorgia Meloni jest w duchu neonazistką, i czeka go proces o zniesławienie. Powiedział, że zdania nie zmieni. Z odsieczą ruszyła mu włoska lewica. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



GWIAZDOBZDUR

GŁUPOTA CZYSTEJ WODY

ZUZANNA DĄBROWSKA

Krytyki być nie powinno. Trzeba zrobić tak, żeby tej krytyki nie było, ale jeśli już musi być, to argumenty krytyków należy zneutralizować, nazywając krytyków „głupkami". Taką zasadę wydaje się wyznawać prezenter neo-„Wiadomości" Marek Czyż. W wywiadzie dla serwisu gazeta.pl rozprawił się z zarzutami o to, że „19.30" to nie taka „czysta woda", jak obiecywano. Czyż uważa, że osoby, które twierdzą, iż w „19.30" brakuje obiektywizmu, są „głupkami". „W tej czystej wodzie, którą zaproponowaliśmy, jest zawarty taki pomysł, żeby pokazać różnicę między tym, co było, a tym, co jest. Jeśli ktoś uważa, że Czyż obiecał czystą wodę i czystej wody nie ma i jest kłamcą, to nie chce z nim rozmawiać, bo jest głupkiem. Jest głupkiem dlatego, że ktoś, kto nie dostrzega różnic między tymi cieczami, jest głupkiem po prostu albo ma złą wolę i nie warto z nim podejmować żadnej dyskusji" – stwierdził urażony prezenter. „Te dwa światy się różnią dramatycznie, bardzo wyraziście i bardzo stanowczo. Proponujemy na pewno inną jakość niż ta, która była. I w tym znaczeniu to JEST czysta woda i przy tym będę się upierać" – podsumował Marek Czyż. A kto się nie zgadza, ten głupek.



FOT. MAREK ZIELIŃSKI/SE/EAST NEWS

CHAOS I NIEOGAR

Kinga globtroterka relacjonuje podróż po Kolumbii, a jej trud zasługuje na docenienie. „Na razie podróżowanie po Kolumbii jest wyzwaniem. I o ile w najpopularniejszych miejscach zaczyna to wyglądać nieźle, o tyle w tych oddalonych od głównych szlaków trzeba się natrudzić, bo czasami nie tylko nie ma hoteli, lecz także nawet asfaltowych dróg" – opisuje Rusin na Instagramie. Łatwo nie jest. „Nigdzie nie czuliśmy się zagrożeni, nawet kiedy błądziliśmy po wysokich Andach. O tym, że nie jest tam do końca bezpiecznie, przekonaliśmy się, kiedy z departamentu Cauca zjechaliśmy do położonego niżej regionu Huile, gdzie uzbrojony po zęby oddział wojska ustawił zaporę i przeszukiwał samochody, w tym nasz" – wspomina celebrytka. Kinga poleca Kolumbię żądnym wrażeń, choć z pewnym zastrzeżeniem. „Kolumbia jest zbyt ciekawa na siedzenie w resorcie all-inclusive, ale dałabym jej jeszcze chwilę na ogarnięcie chaosu i... posprzątanie. No chyba że ktoś lubi wyzwania" – podkreśla. Słyszysz, Kolumbio, ogarnij się!

DRZEĆ KOTY O KOTA

Skandal goni skandal. Do jednego z nowszych doszło w programie „Nasz nowy dom". Stacja Polsat wykorzystała zdjęcie chorego kota, by rozreklamować odcinek show. „Poznajcie naszego nowego kierownika. Wymagający łobuz" – zdjęcie zwierzaka z takim podpisem pojawiło się na instagramowym profilu programu. Czujni fani szybko dostrzegli, że kot wygląda na chorego. W odpowiedzi produkcja opublikowała kolejny wpis. „Cierpi na nosówkę i choć jest leczony przez rodzinę, to jego rokowania są niestety bardzo złe. Ale cieszymy się, że choć w małym stopniu mogliśmy poprawić jego życie. Dziękujemy, że jesteście czujni i że wam zależy" – napisano. To okazało się nie do końca prawdą. Głos zabrała Fundacja Serce dla Zwierząt. „Serio? Rodzina leczy kota? Kot trafił do nas w agonalnym stanie, jeszcze w trakcie nagrywania programu. Jesteśmy zdruzgotani, zniesmaczeni tym, jak traktujecie zwierzęta. Radosne nagrywanie materiału w roli głównej z kotem, któremu leci krwista wydzielina z nosa i ledwo oddycha. Fajna zabawa, prawda?" – zapytano z oburzeniem. Dalej jest jeszcze ostrzej. Fundacja zarzuca, że Polsat jako stacja z ogromnym budżetem nawet nie zachował pozorów. „Nawalił zapewne dział marketingu/PR, wrzucając post z kotem, ale dzięki temu wyszła na jaw obłuda, z jaką działacie" – wskazała organizacja. Inba rozkręciła się tak mocno, że oświadczenie mediom przesłał zatrudniony w programie „Nasz nowy dom" architekt. „Atak ze strony Fundacji Serce dla Zwierząt jest bardzo niesprawiedliwy, bo nie zostawiliśmy kota bez pomocy. Jeszcze w trakcie nagrań, ostatniego dnia, kot trafił pod ich opiekę, zresztą sam pomagałem go szukać paniom z Fundacji. Faktycznie kot pojawiał się w okolicach budowy, ekipa o niego dbała, dokarmialiśmy go, jednak nie był to kot, którego łatwo było złapać, dlatego pomogłem w szukaniu. To wszystko działo się w styczniu i z naszego punktu widzenia myśleliśmy, że kot otrzymał odpowiednią opiekę" – przekonuje Maciej Pertkiewicz, który był na miejscu nagrań. Podkreśla, że przez 10 lat w ramach programu uratowano wiele zwierząt. „Od dokarmiania, przez wizyty u weterynarza, a czasem nawet przygarnięcie do swojego domu – do dziś mam pod swoim dachem takiego kociego współlokatora. Los zwierząt nie jest nam obojętny. Nie wiem, jaki cel był w tym publicznym ataku na nas" – podsumował. Być może chodziło o chorego kota. Taka luźna myśl.

O KURCZĘ!

Wielkanoc co prawda za nami, ale ta historia zasługuje na odnotowanie. Piosenkarka Gosia Andrzejewicz zrobiła niezły show. W Wielką Sobotę udała się zgodnie z tradycją do kościoła, by poświęcić pokarmy. Okazało się, że wokalistka nie poszła jedynie z synem i z koszyczkiem – do świątyni zabrała także... swoją kurę. Miejmy nadzieję, że na Wielkanoc nie serwowała gościom rosołu. ©℗



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w ostatnich dniach coraz więcej mówi się o aktywności ruskich hakerów, że można dać się łatwo oszukać, stracić dostępy do banku lub – co gorsza – do kont w mediach społecznościowych, no ale my się nie boimy, iż już od dawna stosujemy kilka prostych trików, dzięki którym żaden haker nam nie jest straszny.

Przede wszystkim od lat mamy jedno i to samo hasło do wszystkiego. Wiecie, zgodnie z tą zasadą, z którą się tak w zasadzie nie zgadzamy, że jeden partner na całe życie to większe bezpieczeństwo itd. xD.

No to my dawno temu wymyśliliśmy sobie hasło, będące unikatową kombinacją m.in. naszego imienia, nazwiska, rozmiaru buta i PESEL-u. Jest ono nie do złamania i dzięki temu czujemy się bezpieczniej w cyberprzestrzeni. Z pewnością jest to też opcja umysłowo znacznie bardziej ekonomiczna niż zapamiętywanie stu haseł do stu serwisów. Oczywiście korzystamy też z jednego maila, iż zasadę zero waste stosujemy również do funkcjonowania w cyberprzestrzeni.

Poza tym, kiedy mamy kliknąć w jakiś link w mailu albo wiadomości niewiadomego pochodzenia, zawsze odprawiamy rytuał oczyszczenia aury – dzięki czemu stajemy się odporni na socjotechniki, a żaden haker nie ma dzięki temu do nas dostępu.

Jak widzicie, nie są więc potrzebne żadne aktualizacje i inne duperele (my nawet nie wyłączamy nigdy komputera), wystarczy trochę zdrowego rozsądku, opanowania i dobra pamięć, iżby zapamiętać tylko jedno porządne hasło. Bo już np. PIN do karty płatniczej mamy w portfelu, a do telefonu ustawiamy te śmieszne szlaczki, iż miło kojarzą nam się z bezstresowym etapem edukacji.



No a odnośnie do edukacji, to chcieliśmy Wam, kochani, przypomnieć, iż od 1 kwietnia w tym kraju nie można już zadawać osobodziecią prac domowych. Jest to wspaniały triumf lewicowej myśli edukacyjnej nad zaprzańską, tradycjonalistyczną, paternalistyczną, szowinistyczną i reakcyjną myślą zakładającą możliwość nakładania obowiązków na najmłodsze pokolenie.

To co? Następny będzie zakaz nadgodzin, że tak sobie zażartujemy, hehehe xD?

No ale stop, bez przesady, żarty na bok. W porządnych korporacjach nadgodziny są zawsze dobrowolne i ekstrapłatne, prawda? A taki uczeń to jaki miał wybór? Żadnego. Przychodził do domu, zrzucał plecak i musiał siadać do książek. Musiał czytać, pisać i liczyć, zamiast rozwijać swoje pasje typu media społecznościowe, obsiadywanie makdonalda w galerii handlowej czy spacery z przyjaciółmi.

Na szczęście mamy najlepszy od 1989 r. resort edukacji, który w porę się zorientował, iż młodzież jest już w szkole tak przeładowana wiedzą, że nie ma sensu dokładać czegoś na potem.

Przy okazji zrobił przysługę najmłodszym osoboczniom z klas pierwszych, którzy nie będą musieli praktykować liczenia czy tam czytania w domu. Spokojniej wejdą w dorosły świat, nie będą od małego nieść ze sobą obciążeń i traum wynikających z przepisywania po pięć razy słów „mama", „tata" czy „kot". Poza tym, no sami widzicie, co to za słowa – mowa nienawiści. Dobrze, że już tego nie będzie. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Czasem coś się wymsknie

Adam, ale ty pewny jesteś, że my nie pójdziemy siedzieć w związku z tym przepisem?

No co ty, Donald? Który prokurator by chciał cię wsadzić? Chyba by samobójcą jakimś musiał być. Już ja bym mu...

Oj, ale nie teraz. Załóżmy, że kiedyś. Nigdy nic nie wiadomo. I wtedy wymsknie mi się np., że „mężczyźni i kobiety", a zapomnę powiedzieć o tych tam innych, niebinarnych czy coś.

No... W teorii, jakby się ktoś strasznie uparł, to mógłby niby złożyć doniesienie.

A prokurator?

Jakbyśmy już nie my rządzili, to w zasadzie niby mógłby podjąć...

No to nie wiem. Może trzeba to jeszcze przemyśleć. Czasem człowiek szybko mówi, coś się wymsknie i będzie problem potem. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Na pewno przez całe święta nie będę siedział rozparty za stołem".

RAFAŁ TRZASKOWSKI, *prezydent Warszawy, o spocie z życzeniami świątecznymi, w którym sam siedział przy stole, gdy jego żona w tle przygotowywała potrawy*

dwaj panowie g

No i po kampanii. Wreszcie będzie można zająć się ważniejszymi sprawami: kwiatki rosną, rzeka płynie, słonko świeci, prąd zdrożeje, ale za to VAT pójdzie w górę. Takie tam. Sielankę psuje groźba drugiej tury tu i ówdzie. Ale i tak w wiosennej atmosferze niektórzy straszą. Na przykład od wiewiórek z Nowogrodzkiej usłyszeliśmy o wielkim lęku, że wybory będą sfałszowane. Tym razem nie na dole, przez miłośników Peezelu, ale na górze. Namawiamy do odrzucenia tych lęków. Prawdziwy PiS-owiec niczego się nie boi.

Nam przy okazji wyborów samorządowych zrobiło się żal. Czego i kogo? No cóż, wieloletniej ciężkiej pracy służb, które chodziły i chodziły za rozmaitymi ancymonkami ze świata samorządów, by postawić im zarzuty na początku bieżącego roku. A uwierzcie, jest co stawiać. Niestety, wynik ubiegłorocznych wyborów parlamentarnych przekreślił wysiłek wszystkich dzielnych ludzi ze służb, szczególnie tej na literkę „C", i radykalnie wpłynął na kształt kampanii samorządowej.

Inna sprawa, że w służbach sporo się dzieje. Ale na innej niwie. Robota operacyjna zamarła (ze względu na skalę odejść), a do pracy ściągani są emeryci. Jednak nie po to, żeby orać, tylko po to, żeby mogli sobie wypracować większe mnożniki do kolejnej emerytury. Dobra i litościwa jest nowa władza.

Ruszyła kadrowa miotła w służbach konsularnych i dyplomatycznych. Na początek posunięto konsulów z USA. Większość nazwisk państwu nic nie powie, ale jedno jest dość znane. To Paweł Zyzak. Największy obok Cenckiewicza wróg Lecha Wałęsy. Ten sam, który po ujawnieniu grzechów młodości noblisty wyleciał z roboty i musiał zasuwać w magazynie w supermarkecie. Nie przeszkodziło mu to potem zrobić doktoratu na prestiżowym uniwersytecie w USA. Funkcję w Chicago objął ledwie we wrześniu 2022 r., więc na placówce nie doczeka nawet drugiej rocznicy.

Z kolei w kwestii ambasadorów Radek usiłuje zachować pozory działania zgodnie z konstytucją, w związku z tym zapowiadane wnioski o odwołanie kilkudziesięciu ambasadorów skierował na ręce prezydenta Andrzeja Sebastiana. Lista trafiła już do adresata. Niestety, nie znamy jeszcze zawartości, bo nasze wiewiórki w świątecznych rozjazdach. Ale przecież kiedyś wrócą.

Skoro już o sprawach międzynarodowych. Wybranie żartu tygodnia okazało się tym razem wyjątkowo łatwe. To deklaracje szeregowego posła i nadpremiera Jarosława Kaczyńskiego, że gdyby PiS rządził, to wydaliłby z Polski ambasadora Izraela za teksty o tym, że Polacy to antysemici. Żart jest w sumie smutny i mniej więcej tak trafiony, jak zapowiedzi Donalda, że „przywróci praworządność".

Właściwie to chcielibyśmy nagrodzić także Złego Donalda z Sopotu, który również błysnął wybornym żartem na temat ambasadora Izraela i ogłosił, że „absolutnie nie akceptuje sposobu komunikowania w tej kwestii ze strony pana ambasadora". Well, mister Donald, skoro pan nic w tej kwestii nie robi, to jednak pan akceptuje.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Na wypadek gdyby Zły Donald z Sopotu chciał jednak ukarać jakiegoś ambasadora, to już podpowiadamy, kiedy będzie okazja. Otóż polska reprezentacja w piłce kopanej będzie mieszkała podczas Euro w Hanowerze. Tak się składa, że ostatnio miejscowa Antifa zaatakowała tam piłkarzy lokalnej Polonii Hanower za to, że są Polakami – to znaczy nazistami, skrajną prawicą i ogólnie za rządy PiS (najwyraźniej Antifa nie wie, że w Polsce były jakieś wybory). Stawiamy dolary przeciw orzechom, że dziarskie chłopaki z niemieckiej Antify nie będą milczeć, gdy reprezentacja nazistów przyjedzie do ich miasta. Więc zawczasu Donald może ćwiczyć, jak się sztorcuje niemieckiego ambasadora.

Jak już pisaliśmy, na placówkę w Rzymie wybiera się Ryszard Schnepf. To człowiek bardzo rodzinny i jednocześnie feminista dbający o to, by jego małżonka Dorota Wysocka-Schnepf nie tylko była pierwszą damą na placówce, lecz także godziwie zarabiała. Tak było w Waszyngtonie, gdzie dorabiała jako korespondentka TVP. Mniejsza o to, że wówczas TVP utrzymywała aż dwoje korespondentów, bo ktoś jednak musiał robić, a pani Dorota się nie przemęczała. Ponieważ państwo Schnepf jadą do Włoch, przypomniała nam się anegdotka z tamtych okolic. Otóż kiedyś zapytano Jana XXIII, ile osób pracuje w Watykanie. Papież odparł: „Najwyżej połowa". Zgadnijcie, w której połowie będzie pani Dorota, zważywszy, że TVP ma już korespondentkę w Rzymie.

Àpropos TVP: plotka z miasta głosi, że w sprawie neo-TVP i reszty mediów państwowych toczą się zakulisowe konsultacje. Strona partyjno-rządowa chciałaby bowiem wyjść z pata, a strona prezydencka oczekuje zagwarantowania wpływu na różne sprawy. Nie wiemy jeszcze, jak będą wyglądały konkretne zapisy ustawowe, ale wiemy, że kadry decydują o wszystkim. Więc w odnowionych mediach ma być miejsce na kadry wskazane przez prezydenta.

Niektórzy zastanawiają się, dlaczego powyższe konsultacje toczą się i toczą, bez żadnego efektu, skoro zaczęły się już dawno. Cóż, myśmy już w styczniu obstawiali, że gdyby coś miało być negocjowane, to dopiero po obydwu kampaniach wyborczych: samorządowej i do europarlamentu. Nerwusom, którzy pytają o postępującą degradację TVP, odpowiadamy słowami wiewiórek z PeŁo: „Nieważne, najważniejsze, że nie ma jej PiS".

Niektórzy czytelnicy naszej wpływowej rubryki pytają, dlaczego nie odnieśliśmy się jeszcze do planowanej reformy nauczania historii. Zatem odnosimy się. Na przykład usunięcie lekcji o Wiośnie Ludów. Słusznie, bo lud jest pisowski. Może Wiosna Szlachty? Też nie, bo ta szlachta to warchoły i zwolennicy republikańskiej tradycji. A ta jest pisowska. Wiosna Magnatów? Wykluczona, gdyż magnaci mieli niewolników, tzn. chłopów, którzy po latach okazali się niewdzięczni, bo zamiast głosować na marksistów i tusksistów, głosują na PiS. Co zostaje? Wiosna Inteligencji. To powinno być wydarzenie historyczne, które trafi do podstawy programowej. Tylko czy była kiedykolwiek taka wiosna?

Tak czy inaczej przyjmujemy z radosnym oczekiwaniem zapowiadane zmiany w lekcjach historii i nie tylko (bo na zajęciach z techniki oczekujemy np. budowy silników z obierek ziemniaka). Patrzymy też perspektywicznie i już widzimy oczyma dusz naszych transparenty na przyszłych manifestacjach Wolnych Polaków. Na przykład: „Łajdaki! Usunęliście nie tego Sienkiewicza!". Przecież to czyste złoto.

Skoro już o historii. W przyszłym roku przypadają dwie bardzo okrągłe rocznice. 1000-lecia Królestwa Polskiego oraz 500-lecia hołdu pruskiego. Jak słyszymy, Platforma bardzo obawia się obudzenia przy tej okazji demonów patriotyzmu i nie za bardzo ma ochotę na huczne obchody. I już jęła się zastanawiać, jak zgrabnie ominąć obie rocznice. A w szczególności tę drugą, z którą ma większy problem. Bo jednak ciężko będzie na takie uroczystości zaprosić niemieckiego kanclerza. Pomysł, by przy tej okazji świętować odwieczną przyjaźń polsko-niemiecką, w tej sytuacji wydaje się skazany na niepowodzenie.

Po cichu PeŁo ma jednak nadzieję, że PiS nie będzie parł do nadawania znaczenia rocznicy hołdu pruskiego. A to z tego powodu, że dokładnie w tym samym dniu przypadnie również inna dość okrągła rocznica – a mianowicie 15. rocznica katastrofy smoleńskiej.

Przypomnijmy natomiast, że Platforma ma niejakie doświadczenie w olewaniu ważnych rocznic. Udało jej się pominąć w 2011 r. rocznicę hołdu ruskiego – jak niektórzy (nie do końca ściśle) nazywają zawleczenie cara Szujskiego po Wiktorii Kłuszyńskiej przed oblicze Zygmunta III Wazy. Warto jednak przypomnieć, że wówczas słowem kluczem do zrozumienia stosunku Tuska do Rosji było słowo „reset".

Ruszyła kadrowa miotła w służbach konsularnych i dyplomatycznych. Jedno nazwisko jest dość znane. To Paweł Zyzak. Największy obok Cenckiewicza wróg Lecha Wałęsy

Personalia. Bycie kolegą ze studiów lub asesury Zbyszka Ziobry było w minionych latach przepustką do kariery. Ale nie zawsze. Kolegą z roku Zbyszka był choćby niejaki Piotr Grądzki. Swojego czasu pracował nawet jako śledczy w IPN w Krakowie. Jednak śp. Janusz Kurtyka wymógł na ówczesnym prokuratorze generalnym Andrzeju Czumie, by zabrał go z Instytutu. Grądzki miał bowiem opinię człowieka, który się nie lubi przemęczać. Trochę się co prawda awanturował i procesował z IPN, ale nic nie wskórał i wylądował na rejonie, gdzie również nie zasłynął jako tytan pracy. Podpisał jednak parę listów przeciw dawnemu kumplowi ze studiów. I to wystarczyło: objął stanowisko pełniącego funkcję prokuratora okręgowego w Krakówku. Neoprokuratora okręgowego – dodajmy gwoli ścisłości. ©℗



Rafał A. Ziemkiewicz

Zbrodnia jako „egzystencjalna



Żeby Holokaust się nie powtórzył, Palestyńczycy muszą opuścić Strefę Gazy i Zachodni Brzeg Jordanu. A żeby opuścili, trzeba jedyną alternatywą dla nich uczynić cierpienie i śmierć. Kto tę konieczność kwestionuje, jest według Żydów antysemitą albo głupcem

Przebieg rozstrzelania z wojskowych dronów wolontariuszy World Central Kitchen w Strefie Gazy, ujawniony przez izraelską gazetę „Haarec", wskazuje, że mieliśmy do czynienia nie z wypadkiem, ale ze świadomą egzekucją. Potwierdzają to inne przesłanki, które zarazem każą odrzucić hipotezę o niesubordynacji lub nadgorliwości któregoś z dowódców niskiego szczebla. Wygląda na to, że decyzję o trzykrotnie ponowionym ostrzelaniu wyraźnie oznakowanych i poruszających się trasą uzgodnioną z izraelskim dowództwem pojazdów konwoju charytatywnego podjęto na wysokim szczeblu, w imię skuteczności prowadzonej przez Izrael zbrodniczymi metodami pacyfikacji Gazy. Spektakularnie zadana śmierć wolontariuszom dowożącym żywność głodującym mieszkańcom Gazy oraz demonstracyjna bezkarność dla tej zbrodni miały wywołać „efekt mrożący" – i pod tym względem odniesiono sukces. Zarówno WCK, jak i inne organizacje starające się ratować ofiary dokonywanej przez rząd Beniamina Netanjahu „czystki etnicznej" wycofały swych wolontariuszy z Gazy, co zwiększa skuteczność prowadzonych tam działań i w jeszcze większym stopniu rozwiązuje „Bibiemu" ręce w eskalowaniu bezprawia.

A izraelski premier bardzo tego potrzebuje, gdyż poparcie dla jego gabinetu i sposobu prowadzenia wojny z Hamasem się załamuje. Atak na konwój z żywnością dla głodujących Palestyńczyków nastąpił kilka dni po masowych protestach w Jerozolimie i Tel Awiwie, słabo odnotowanych przez nasze media z uwagi na Święta Wielkanocne, a przypominających rozmiarami manifestacje sprzed pół roku. Wtedy protesty wywołane projektem ustawy pozwalającej większości parlamentarnej uchylać orzeczenia sądowe – powszechnie odebranej jako próba obronienia się przez premiera przed spodziewanym wyrokiem za korupcję – zamarły po napaści Hamasu. Jednak udzielony przez społeczeństwo kredyt zaufania już się wyczerpuje.
W badaniu poprzedzającym o kilka dni wspomniane demonstracje na pytanie, jak respondenci oceniają działania Netanjahu w wojnie z Hamasem, opcję „dobrze" i „raczej dobrze" wybrało tylko 28 proc. z nich, podczas gdy „źle" i „raczej źle" – 57 proc. Inne sondaże pokazują od pewnego czasu, że gdyby w najbliższym czasie odbyły się wybory, koalicja, której on przewodzi, zostałaby odsunięta od władzy.

„BIBI" I OSTATECZNE ROZWIĄZANIE

Kto śledził karierę najdłużej urzędującego i najczęściej powracającego po przegranej do władzy premiera w dziejach Izraela, ten nie może mieć wątpliwości, że dla Beniamina Netanjahu nie jest to powód, by odstępować od wyznaczonej sobie drogi. Wszystko, co się dzieje w ostatnich miesiącach, potwierdza zaś, że jego zamiary są dokładnie takie, jak odczytywałem je na naszych łamach w artykule „Zbrodniczy hazard Izraela" („DRz" nr 46/2023). „Bibi"



Pracownicy ONZ przy wraku samochodu wolontariuszy World Central Kitchen, Strefa Gazy, 2 kwietnia 2024 r. FOT. AFP/EAST NEWS

konieczność”

zamierza przejść do historii jako ten polityk, który – z demokratycznym mandatem czy bez niego, historia nie sądzi zwycięzców – dokona „ostatecznego rozwiązania” problemu Palestyńczyków na należącej się Żydom ziemi oraz ugruntuje istnienie państwa żydowskiego. Państwu temu zagrażają zaś dwa procesy. Pierwszym z nich jest wyludnianie się kraju – Żydzi osiadli w innych państwach nie chcą ich porzucać i przenosić się na Bliski Wschód, bo tam, gdzie są, nie jest im źle, a w Izraelu byliby stale zagrożeni przez arabskich terrorystów. Rozwiązanie tego drugiego problemu będzie więc zarazem rozwiązaniem pierwszego. I odwrotnie: zemsta, która spadnie za wypędzenie na Żydów w krajach Zachodu, coraz bardziej bezradnych wobec agresywnych migrantów, będzie, w rachubach syjonistów, zmuszać tamtejszych Żydów do przenoszenia się coraz liczniej pod opiekuńcze skrzydła armii i służb państwa żydowskiego.

Całkowite usunięcie z Izraela ludności palestyńskiej i zastąpienie jej Żydami z całego świata to zatem w optyce syjonistów, która pod rządami Netanjahu i jego partii Likud zdominowała wszystkie posunięcia państwa, jedyny możliwy sposób, by ocalić istnienie Izraela w dłuższej perspektywie. Opcji alternatywnej – trwałego porozumienia narodów – symbolizowanej przez Icchaka Rabina, który właśnie za głoszenie tej wizji został zamordowany przez syjonistycznego fanatyka, rządzący dziś Izraelem w ogóle nie biorą pod uwagę, a nawet przeciwnie, uważają takie pięknoduchostwo za egzystencjalne zagrożenie dla Żydów. Syjonistyczni przywódcy i ich media biorą za pewnik to, że wszelkie ustępstwa wobec Palestyńczyków i otaczającego Izrael świata arabskiego wieść muszą do eskalacji wrogich żądań, a tym samym do likwidacji państwa Izrael, które w przekonaniu syjonistów jest jedyną gwarancją dla Żydów na to, że prześladowania, które nękały ich przez całą historię, oraz zbrodnia Holokaustu więcej się nie powtórzą. Jeśli natomiast zabraknie Izraela, to kolejny Shoah będzie już tylko kwestią czasu.

Zbrodnia, jak zwykle to bywało w dziejach, jawi się w świetle takich założeń jako logiczna konieczność, wręcz obowiązek, który dla dobra narodu musi wziąć na siebie świadomy rządzących światem praw przywódca. Żeby Holokaust się nie powtórzył, Palestyńczycy muszą opuścić Strefę Gazy i Zachodni Brzeg Jordanu – a żeby opuścili, trzeba jedyną alternatywą dla nich uczynić cierpienie i śmierć. Kto tę konieczność kwestionuje, jest antysemitą albo głupcem. A jeśli kwestionujący konieczność wielkiej czystki etnicznej należy do grona polityków Zachodu, to dodatkowo jeszcze hipokrytą. Nikt przecież – na co często powołują się syjoniści – nie kwestionuje podstawy obecnego układu sił w Europie i na świecie, układu jałtańskiego i konieczności przepędzenia ze swoich małych ojczyzn milionowych mas ludzkich, którą w nim uznano.

Odkąd syjonizm zaistniał jako ruch polityczny, celem, który sobie stawiał, było wychowanie Żyda „nowego typu”. Była to zresztą wspólna cechą wszystkich nacjonalizmów wyrosłych z Wiosny Ludów; także nasz Dmowski i jego współpracownicy miotali gromy na skretyniały i skarłowaciały mental szlacheckiego zaścianka, postulując Polaka nowego, przedsiębiorczego i zorganizowanego. Podobnie było w wizji Teodora Herzla. Zeświecczeni Żydzi wraz z chałatami i pejsami mieli porzucić dotychczasowe życie na marginesie innych narodów – jako wieczni pośrednicy, handlarze i dostawcy kredytu – a stać się narodem rolników, robotników i przedsiębiorców, kolonizującym pustynie Izraela i zmieniającym je w nowoczesne, dostatnie państwo. Realizacja syjonistycznych wizji nastąpiła jednak po wielkiej zbrodni

Hitlera, która im bardziej stawała się – jako „religia Holokaustu" – podstawą budowania świeckiej żydowskiej tożsamości, tym bardziej wykoślawiała wizerunek „Żyda pracowitego" w „Żyda bezwzględnego", wyleczonego doznanym cierpieniem z moralnych złudzeń i zdecydowanego zawsze „wstać i uderzyć pierwszy".

ZE SKRAJNOŚCI W SKRAJNOŚĆ

Zachód nie umiał się zachować wobec Żydów mądrze po traumie Holokaustu. Przez pierwsze dwa dziesięciolecia po wojnie nikt w ogóle nie chciał o tej zbrodni wiedzieć, a opowiadającego o komorach gazowych Szymona Wiesenthala, jak wspominał on sam, traktowały amerykańskie i zachodnioeuropejskie salony jak nasze, nie przymierzając, Ewę Stankiewicz przypominającą o Smoleńsku. Potem rzucono się w skrajność przeciwną, z tą samą anglosaską skłonnością do miotania się od jednej skrajności do drugiej, z którą np. po latach traktowania homoseksualistów jak ludzi drugiej kategorii, zaszczuwania ich i wsadzania do więzień zaczęły kraje zachodnie stawiać osoby LGBT ponad prawem i cenzurować oraz represjonować wszelką ich krytykę. Holokaust, wprowadzony przez Hollywood w samo centrum kultury popularnej i wyjęty przez uniwersytety spod naukowych reguł historiografii (czego bolesnym dla nas przykładem są „badania" polskiej „nowej szkoły historyków Holokaustu", z Grossem, Grabowskim i Engelking na czele, podnoszące do rangi źródeł historycznych najbardziej wątpliwe relacje z trzeciej ręki, a nawet opowiadane przez wnuczkę sny babci), stał się argumentem za całkowitym wyjęciem Żydów spod jakiejkolwiek krytyki i zwolnieniem ich z odpowiedzialności za czyny, które popełniane przez kogokolwiek innego spotkałyby się z najsurowszym potępieniem.

Bandyckie poczynania izraelskiego rządu wobec nieżydowskiej ludności tego kraju, bezczelność międzynarodowych organizacji w wymuszaniu haraczy „za Holokaust" czy obserwowane na każdym kroku buta i poczucie wyższości w zachowaniach, przebijające nawet opisane w starych pamiętnikach zachowania pruskich junkrów, których liczne przykłady dają od dawna Ja'akow Liwne i jego poprzednicy w warszawskiej ambasadzie – to wszystko rezultaty wychowania kolejnych pokoleń Żydów w tej posuniętej do absurdu politycznej poprawności. Na którą, dodajmy, w samym Izraelu nakłada się pranie mózgów młodzieży, świetnie pokazane i udokumentowane w filmie Jo'awa Szamira „Zniesławienie". Z jednej strony budowanie paranoicznego poczucia, że cały świat jest winny wobec Żydów, cały świat ich nienawidzi, knuje przeciwko nim i tylko czeka na możliwość ponowienia zbrodni Shoah, z drugiej zaś – usuwanie w tym poczuciu moralnych hamulców przed mordowaniem nawet bezbronnych kobiet i dzieci, jeśli tak każe jedyny strażnik Żydów na tym świecie: rząd Izraela i dowództwo jego armii. Istotnym wątkiem wspomnianych wyżej niedawnych protestów przeciwko Netanjahu jest udział w nich ruchu matek żołnierzy, podnoszących szkody psychiczne, które edukacyjna polityka syjonistów poczyniła ich synom i córkom.

Jednak opozycja przeciwko twardej, syjonistycznej linii, narzuconej Izraelowi przez Netanjahu i konkurujących z nim szowinistów z mniejszych, jeszcze bardziej radykalnych partii, od lat przegrywa. Trudno to wytłumaczyć inaczej niż źle pojętym poczuciem narodowej solidarności, którą wytworzyły w żydowskim mentalu doznawane przez pokolenia prześladowania i dyskryminacja. Netanjahu może być krytykowany przez innych Żydów, ale na wewnętrznym forum – nazywanie jednak po imieniu zła, które wyrządza, bez czego wygrać z tym złem nie można, ale co mogłoby być natychmiast podchwycone przez świat zewnętrzny, jest odbierane w środowiskach żydowskich jak zdrada i zbrodnia przeciwko własnej nacji. Nieliczni sprawiedliwi, którzy rozumieją swe żydowskie obowiązki inaczej – jak sędziwy prof. Norman Finkelstein, który jako jeden z pierwszych jasno nazwał ostrzelanie konwoju WCK zbrodnią wojenną – otaczani są przez rodaków murem niechęci i ostracyzmu.

DWUSTU POMAGAJĄCYCH

Według Jamiego McGoldricka, koordynatora ONZ do spraw humanitarnych na okupowanych terytoriach palestyńskich, cytowanego przez portal Times of Israel, od 7 października ubiegłego roku, czyli ataku Hamasu i porwania zakładników (z których ponad 100, jeśli jeszcze żyją, wciąż jest w rękach terrorystów) i uruchomienia zbrojnej zemsty Izraela w Gazie, zginęło co najmniej 196 osób zaangażowanych w niesienie tamtejszym mieszkańcom pomocy humanitarnej. Najnowszy incydent – o którym McGoldrick mówi otwarcie, że „na pewno nie był błędem ani przypadkiem" – podnosi tę liczbę do ponad 200. Ponieważ do tej pory, szczęśliwie, nie było wśród nich naszych rodaków, mało kto w Polsce zdaje sobie z tego sprawę. Tymczasem żołnierze izraelscy, według licznych relacji, strzelają do misji humanitarnych, podobnie jak do korespondentów wojennych z innych niż własnych krajów, bez żadnych zahamowań. Potem odbywają się wiele razy przećwiczone manewry medialne, które Polacy obserwują teraz po raz pierwszy tak uważnie, rozmywające sprawę – błąd, przypadkowe ofiary usprawiedliwionego ataku na instalacje Hamasu (który w istocie chętnie używa, kogo tylko może, w roli żywych tarcz), „takie rzeczy na wojnie się zdarzają" (tak sam Netanjahu skomentował zbrodnię na Polaku i jego towarzyszach), wyrazy ubolewania, ale nigdy z użyciem słowa „przepraszamy", obietnice „głębokiego zbadania okoliczności zdarzenia" i – w konkluzji – bronimy przed islamskim terroryzmem nie tylko siebie, lecz także całego Zachodu i oczekujemy bezwarunkowego wsparcia w tej walce, a nie humanitarnego dzielenia włosa na czworo. „Efekt mrożący" tymczasem narasta, chętnych do pomagania mieszkańcom Gazy jest coraz mniej.

Każda zbrodnia staje się usprawiedliwiona, jeśli alternatywą dla jej popełnienia jest dopuszczenie do powtórki z Shoah. A uznanie nieuchronności wielkiej czystki etnicznej, na wzór przesiedleń pojałtańskich, zmienia pojęcia dobra i zła. Wolontariusze w rodzaju śp. Damiana Sobola stają się w tej zbrodniczej logice szkodnikami, którzy swą niewczesną pomocą w sumie potęgują cierpienia ofiar, bo łagodząc skuteczność ich głodzenia, pozbawiania dostępu do wody i innych szykan, oddalają tylko moment, w którym mieszkańcy Gazy pogodzą się z tym, co nieuchronne. A świat zachodni? W gruncie rzeczy już się pogodził, chciałby tylko zachować pozory. Ale jeśli nie zostaną one zachowane, to łatwo wyleczy swe sumienie jakimiś symbolicznymi gestami i przejdzie nad zbrodniami i wypędzeniami do porządku dziennego, jak już wiele razu w swej historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Grupa trzymająca dyskurs



Jakub Wozinski

Najpotężniejsze lobby w USA odgrywa wciąż decydującą rolę w tamtejszej polityce, lecz wobec erupcji antysemityzmu u młodych pokoleń ma ostatnio spore powody do niepokoju

Celowe zbombardowanie ambasady innego państwa zwykło się uważać za akt równoznaczny z wypowiedzeniem mu wojny. Gdyby uczyniła tak Polska, Czechy czy jakiekolwiek inne państwo na świecie, zostałyby natychmiast potępione i wezwane przez wspólnotę międzynarodową do powstrzymania swoich działań. Po niedawnym izraelskim ataku na placówkę Iranu w Damaszku, w którym zginął dowódca Gwardii Rewolucyjnej, na jednoznaczną krytykę tego wydarzenia pozwoliło sobie jednak raptem kilkanaście państw. Zbiorowe milczenie i odwracanie wzroku od coraz bardziej agresywnej postawy Izraela to niestety nie przypadek, lecz efekt stosowanej konsekwentnie od dziesięcioleci polityki rażącego uprzywilejowania tego państwa.

O wpływach izraelskiego lobby w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie najwięcej mówi to, że już sama próba podjęcia systematycznej analizy jego oddziaływania na sferę publiczną napotyka od lat gwałtowną reakcję wielu środowisk. W najbardziej spektakularny sposób przekonali się o tym kilkanaście lat temu John Mearsheimer oraz Stephen Walt, autorzy książki pt. „Izraelskie lobby i amerykańska polityka zagraniczna". Po jej publikacji naukowcy zostali „anulowani" z wielu wiodących mediów, odwoływano im umówione wcześniej spotkania, a ostatecznie oberwało się nawet samemu Zbigniewowi Brzezińskiemu, który ośmielił się wyrazić pochlebnie na temat ich pracy, doceniając warsztat naukowy.

MUSK JEDZIE DO KIBUCU

Co ciekawe, Mearsheimer i Walt poprzedzili swoje badania na temat potężnego lobby uroczystym zapewnieniem, że potępiają wszelkie formy antysemityzmu, a i tak spotkał ich zmasowany atak. Podobnie dzieje się także w przypadku innych osób, które próbują swobodnie analizować lub – co gorsza – krytykować działania tego środowiska. Ostatnio mógł się o tym przekonać sam Elon Musk, który wszedł w konflikt z zajmującą w środowisku izraelskiego lobby szczególną pozycję Ligą przeciwko Zniesławieniu (ADL). Właściciel Tesli zamieścił na swoim portalu X wpis, w którym zarzucał organizacji, że swoją agresywną postawą i żądaniami usuwania wielu kont pod najmniejszymi nawet podejrzeniami o rzekomy antysemityzm sprawia, że na jego portalu pojawia się jeszcze więcej antysemickich wypowiedzi. Musk zwrócił się nawet z pytaniem do użytkowników portalu X, czy całkowicie usunąć konto Ligi przeciwko Zniesławieniu.

Znana z promowania wokeistowskich treści ADL poczuła się jednak szczególnie urażona tym, że Musk ośmielił się wytknąć jej wspieranie ideologii uderzających w same fundamenty świata zachodniego. „Jestem głęboko urażony komunikacją ADL i innych grup, które popierają de facto antybiały rasizm lub antyazjatycki rasizm lub rasizm jakiegokolwiek rodzaju. Mam tego dość" – pisał multimiliarder. Na nic zdało się to, że Musk potępił wszelkiego rodzaju antysemityzm i całym sercem opowiedział się za Izraelem – Liga Antydefamacyjna w odwecie przyłączyła się do koalicji organizacji, które wymusiły bojkot reklamowy biznesu na portalu X. Ostatecznie, aby ocieplić swój wizerunek, szef Tesli odwiedził nawet jeden z kibuców w Izraelu oraz pojawił się ze swoim czteroletnim synem w Auschwitz, a i tak bojkot jego firmy nie został wstrzymany. Co prawda, jak pokazują dane z monitoringu mediów, prawdziwy antysemityzm kwitnie obecnie najbardziej na TikToku czy Instagramie, lecz ich szefostwo najwyraźniej wie, z kim nie powinno zadzierać.

LOBBY INNE NIŻ WSZYSTKIE

W Stanach Zjednoczonych żyje obecnie ok. 7,6 mln osób o pochodzeniu żydowskim, co stanowi zaledwie 2,4 proc. ogółu populacji. To o milion mniej niż Amerykanów polskiego pochodzenia, jednakże polskie lobby (jeżeli można w ogóle o czymś takim mówić) ma wręcz lilipucie wpływy w porównaniu z tymi, które od lat są udziałem lobby izraelskiego. Nie dotyczy to zresztą tylko naszego narodu, lecz praktycznie wszystkich innych zamieszkujących Stany Zjednoczone. Choć co piąty Amerykanin ma angielskie – a 17 proc. populacji niemieckie – pochodzenie, to absolutny prym wiedzie środowisko strzegące interesów Izraela.



Teza o dominującej roli izraelskiego lobby nie jest oparta na subiektywnych ocenach, lecz na faktach udostępnianych przez same amerykańskie państwo. Pomimo tego, że od dwóch lat Ukraina otrzymuje z Waszyngtonu rekordowe sumy z racji prowadzonej wojny, żadne inne państwo świata nie dostało od USA więcej pieniędzy w ramach pomocy zagranicznej niż Izrael. Począwszy od 1945 r., do Izraela popłynęło aż 260 mld dol., z czego znaczna część została przeznaczona na wsparcie militarne. Obecnie amerykańskie wpłaty stanowią aż 16 proc. całego budżetu obronnego państwa prowadzącego brutalną operację odwetową w Strefie Gazy.

Na czele izraelskiego lobby w Stanach Zjednoczonych stoi od lat Amerykańsko-Izraelski Komitet Spraw Publicznych

Pomimo tego, że Izrael leży aż 10 tys. km od Stanów Zjednoczonych, niekwestionowanym aksjomatem amerykańskiego życia politycznego jest to, że bliskowschodnie państwo trzeba za wszelką cenę wspierać, stawać po jego stronie w zdecydowanej większości dysput z sąsiadami oraz de facto nie pozwalać na jego systematyczną krytykę. W najnowszej historii USA nie było polityka głównego nurtu, który miałby w tej sprawie odrębne zdanie.

Oprócz wspomnianego Muska, który przecież na co dzień nie boi się konfrontacji z wieloma potężnymi przeciwnikami, pod presją potężnego izraelskiego lobby ugiąć się musiał w spektakularny sposób także ubiegający się o nominację prezydencką z ramienia Partii Republikańskiej Vivek Ramaswamy. Urodzony w Indiach polityk przedarł się do głównego nurtu jako zwolennik Trumpowskiego stylu uprawiania polityki. Ramaswamy początkowo odważnie wypowiadał się na wiele kwestii, m.in. odrzucając w całości genderyzm i wokeizm, a także wzywając do pewnego ograniczenia pomocy finansowej dla Izraela. W pewnym momencie ośmielił się nawet stwierdzić, że jako prezydent nie udzieliłby pomocy Izraelowi w razie wielkiej wojny z Iranem.

Oburzenie izraelskiego lobby było na tyle duże, że w obawie przed całkowitym odpadnięciem z wyścigu o nominację Ramaswamy zaczął wręcz przelicytowywać pozostałych kandydatów w swoich obietnicach względem Izraela. Zadeklarował m.in., że w czasie jego rządów relacje amerykańsko-izraelskie będą silniejsze niż kiedykolwiek przedtem, Iran nigdy nie będzie dysponował bronią atomową oraz że włączy do Porozumień Abrahamowych m.in. Arabię Saudyjską i Indonezję. Gdy zaś wybuchła wojna, Ramaswamy zaczął wzywać do bezpardonowego rozprawienia się z Palestyńczykami i Hamasem.

SIEĆ WPŁYWÓW

Postawa republikańskiego kandydata na prezydenta nie jest oczywiście dziełem przypadku. Na niekwestionowaną pozycję izraelskiego lobby wpływają przede wszystkim na dwa czynniki. Pierwszym z nich jest odgrywający w USA ogromną rolę tzw. chrześcijański syjonizm. Pomimo gwałtownego tempa sekularyzacji w Stanach Zjednoczonych żyje nawet 100–120 mln osób przynależących do różnego rodzaju wyznań i grup protestanckich głoszących przekonanie, że budowa państwa Izrael stanowi spełnienie proroctwa powtórnego nadejścia Chrystusa, któremu trzeba dopomóc żarliwą obroną żydowskiego państwa. Jakikolwiek kandydat zabiegający o elektorat republikański najzwyczajniej w świecie musi więc udowadniać swoje ogromne przywiązanie do Izraela i wykazywać skrajne zaangażowanie na rzecz jego interesów.

Drugim czynnikiem, szczegółowo opisywanym przez autorów „Izraelskiego lobby i amerykańskiej polityki zagranicznej", jest sieć fundacji, organizacji, think tanków, klubów, mediów i naukowców promujących od lat szczególne uprzywilejowanie bliskowschodniego państwa. Na przestrzeni dekad zdołały one stać się na tyle wpływowe, że skutecznie



Beniamin Netanjahu z amerykańską rakietą i Joe Bidenem – pikieta przed siedzibą ONZ w Nowym Jorku, 20 lutego 2024 r. FOT. SELCUK ACAR/ANADOLU/GETTY IMAGES

Schemat „religii holokaustianizmu" jest stale powtarzany m.in. w agendzie klimatystycznej

rozbijają wszelkie próby ograniczania ich dominacji. Do tej grupy zaliczyć można m.in. Amerykański Kongres Żydowski, Waszyngtoński Instytut do spraw Polityki Bliskowschodniej, American Enterprise Institute, organizację Chrześcijanie Zjednoczeni dla Izraela czy też Centrum Akcji Religijnej. Najważniejsze z nich współpracują razem w ramach Konferencji Przewodniczących Głównych Amerykańskich Organizacji Żydowskich.

Na czele izraelskiego lobby w Stanach Zjednoczonych stoi jednak od lat AIPAC, czyli Amerykańsko-Izraelski Komitet Spraw Publicznych. Były kandydat na prezydenta z ramienia republikanów Newt Gingrich miał się kiedyś wyrazić, że to najbardziej wpływowa organizacja w całym państwie. Przedstawiciele AIPAC chwalą się niekiedy, że tylko w salach Kongresu można zobaczyć więcej senatorów i reprezentantów niż na organizowanych przez nich konferencjach. Coroczny szczyt AIPAC gromadzi polityków z prawej i lewej strony sceny politycznej, którzy w czasie swoich przemów prześcigają się w obietnicach względem Izraela. Sama organizacja nie przekazuje politykom żadnych istotnych kwot, ale ma ogromne zdolności mobilizowania wpłat od swoich członków i powiązanych z nią biznesów, szczególnie w okresie kampanii wyborczej. W ostatnich latach spośród wszystkich kandydatów na prezydenta obu wiodących partii jedynie znany z sympatii dla komunizmu Bernie Sanders zdecydował się nie pojawić na konferencji AIPAC.

Oprócz czynników, o których wspominali Mearsheimer i Walt, znaczny wpływ na potęgę izraelskiego lobby ma także wyraźna nadreprezentacja osób o pochodzeniu żydowskim w świecie finansów, wielkiego biznesu i polityki. Wedle oficjalnych statystyk w Nowym Jorku jest dziś ich aż 1,5 mln (ok. 18 proc. wszystkich mieszkańców), a w Waszyngtonie 300 tys. Przed objęciem urzędu przez Jerome'a Powella trzech kolejnych szefów amerykańskiego banku centralnego miało żydowskie pochodzenie. Liga przeciwko Zniesławieniu czy też AIPAC nie byłyby nigdy tak bardzo wpływowe, gdyby nie miały tak bardzo zamożnego i wpływowego grona wspierających.

POGROMCY „MOWY NIENAWIŚCI"

Wieloletnia działalność izraelskiego lobby wpłynęła wreszcie także na to, że stałym instrumentem nacisku stały się też wzorce kulturowe oraz zasady życia społecznego uznające walkę z antysemityzmem za główny priorytet życia publicznego. Katolicki publicysta Michael E. Jones opisał to zjawisko przed laty jako zagrażające samym podstawom porządku publicznego. Jego zdaniem sam termin „mowa nienawiści" został wynaleziony przez Ligę przeciwko Zniesławieniu jako narzędzie cenzury i umacniania politycznych wpływów przez izraelskie lobby. Wychodząc pierwotnie od narracji o centralnej roli Holokaustu w dziejach całej ludzkości, środowisko agresywnych cenzorów zdołało narzucić całemu społeczeństwu nowe zasady całej debaty publicznej, w ramach których oskarżenie o rzekomy antysemityzm czy też głoszenie „mowy nienawiści" służy jako mechanizm dyscyplinujący. Bezwarunkowe poparcie dla Izraela ze strony licznego grona syjonistycznych chrześcijan ułatwiło tym samym uczynienie ze Stanów Zjednoczonych kraju podporządkowanego lewicowo-liberalnej dyktaturze.

Niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, że schemat cenzurowania i narzucania swojego stanowiska wypracowany na bazie „religii holokaustianizmu" jest stale powtarzany m.in. we współczesnej agendzie klimatycznej. Stawiając wojenne cierpienia narodu żydowskiego w absolutnym centrum, pomniejszając gehennę innych narodów oraz obarczając chrześcijaństwo immanentną winą za zaistniałą tragedię, sformułowano jednocześnie koncepcję istnienia tzw. denialistów, czyli osób mających

rzekomo zaprzeczać faktowi Holokaustu, a faktycznie próbujących przeciwstawić się tak jednostronnej i fałszywej wizji historii. W tak zaprogramowanej debacie jest miejsce tylko dla posłusznie godzących się na jedyną słuszną prawdę holokaustianizmu, a cała reszta zostaje zaklasyfikowana jako denialiści lub antysemici głoszący nienaukową „mowę nienawiści". Wyćwiczony przez lata schemat został z łatwością skopiowany przez klimatystów, którzy również definiują całą debatę o rzekomo antropogenicznym globalnym ociepleniu jako spór przejętych wielką tragedią i bazujących na naukowych dowodach normalnych ludzi z różnego rodzaju denialistami, płaskoziemcami i frustratami uprawiającymi w mediach społecznościowych niebezpieczną mowę nienawiści.

Dostarczony przez izraelskie lobby mechanizm walki z antysemityzmem i mową nienawiści stał się przy okazji niezwykle użytecznym środkiem ugruntowywania amerykańskich wpływów na całym świecie. Wyszedłszy z drugiej wojny światowej jako pogromca Hitlera, amerykańskie państwo przyjęło rolę nie tylko obrońcy państwa Izrael, lecz także strażnika specyficznie rozumianej pamięci o Holokauście oraz światowego policjanta specjalizującego się w zwalczaniu prawdziwego i domniemanego antysemityzmu. Dzięki temu Amerykanom dużo łatwiej było zwalczać opierające się ich wpływom środowiska konserwatywne, szczególnie gdy po opublikowaniu soborowej deklaracji „Nostra aetate" swój akces do globalnej koalicji walki z domniemanym antysemityzmem ogłosiła kościelna hierarchia.

KTO MOWĄ NIENAWIŚCI WOJUJE...

Bezpardonowa walka z „mową nienawiści" na naszych oczach zaczyna jednak coraz bardziej obracać się przeciwko środowiskom, które z tak wielką lubością przez lata wykorzystywały ją do zwiększania swoich wpływów. Pomimo tego, że starsze pokolenia żyjące w USA i innych krajach zachodnich są na punkcie Izraela szczególnie wyczulone, tego samego nie da się powiedzieć o przedstawicielach młodszych generacji. Po ataku Hamasu i wielkiej akcji odwetowej przedstawiciele „pokolenia Z" i coraz większa część millenialsów wyrażają skrajną wrogość wobec Izraela.

Po atakach na Strefę Gazy przedstawiciele „pokolenia Z" i millenialsów wyrażają skrajną wrogość wobec Izraela

Jeśli przyjąć argumentację Michaela E. Jonesa, który obwinia środowisko ADL za wynalezienie broni walki z mową nienawiści, to nie sposób nie zauważyć, że odegrała ona kluczową rolę w stopniowym podporządkowywaniu debaty publicznej coraz bardziej skrajnym lewicowo-liberalnym standardom. Przez ostatnie lata najnowszą mutacją tego schematu stał się wokeizm, który bardzo często sięga po mechanizm „anulowania" kogoś za niewłaściwe poglądy. Cały ruch LGBT jest zresztą oparty na zasadzie przymuszania innych do akceptacji swoich działań pod zarzutem uprawiania rzekomo homofobicznej mowy nienawiści.

Ku narastającemu przerażeniu środowisk izraelskiego lobby wokeizm i ruch LGBT wyrwały się spod kontroli i przyjęły w ostatnim czasie bardzo antysemicki charakter. W Stanach Zjednoczonych na ulicach coraz częściej zobaczyć można tęczowych i wokeistowskich aktywistów protestujących w obronie Hamasu i wznoszących propalestyńskie hasło: „Od rzeki do morza". Przeprowadzone w ostatnim czasie wśród młodych Amerykanów badania pokazują, że aż 31 proc. z nich odmawia Izraelowi prawa do istnienia, a 53 proc. z nich chciałoby mieć wolność wzywania do ludobójstwa Żydów. Przerażająca fala antysemityzmu płynie w szczególności przez media społecznościowe, w których zapanowała wręcz moda na okazywanie nienawiści względem Izraela.

Izraelskie lobby w Stanach Zjednoczonych jest wciąż potężne, ale ma z pewnością wielkie powody do niepewności, ponieważ przyspieszająca laicyzacja oraz radykalizacja młodych pokoleń prowadzą do coraz intensywniejszej erozji podstawowego fundamentu proizraelskiej polityki, czyli istnienia ponad 100-milionowej rzeszy syjonistycznych chrześcijan. Młode pokolenia wychowane wedle skrajnie liberalnych wzorców niekończącej się walki z mową nienawiści coraz bardziej dystansują się od starszych, uczęszczających do zborów i sal modlitewnych pokoleń rodziców oraz dziadków. Bez tej podbudowy trudno będzie w przyszłości utrzymać żar bezgranicznego oddania się pomyślności Izraela.

AWANTURNICZA POLITYKA ZAGRANICZNA

W swoich wystąpieniach na temat izraelskiego lobby John Mearsheimer zwracał zawsze uwagę na jeszcze jeden aspekt, dotyczący głównie polityki międzynarodowej. Otóż jego zdaniem wspieranie Izraela ponad miarę nie znajduje żadnego szczególnego uzasadnienia, a wręcz przeciwnie – naraża go na nieproporcjonalnie wielką wrogość ze strony innych państw regionu. Jego zdaniem krajom arabskim nie przeszkadzałoby w aż tak wielkim stopniu rozpychanie się przez Izrael w regionie, gdyby nie stała za tym potęga amerykańskiego hegemona. Jednocześnie zaś z punktu widzenia amerykańskich interesów terytorium bliskowschodniego państwa nie posiada aż tak wielkiego znaczenia militarnego czy strategicznego. Bez większego trudu można wymienić wiele państw na świecie, które z czysto geopolitycznego punktu widzenia mają dla amerykańskiej dominacji dużo większe znaczenie, gdyż np. strzegą przejścia przez ważne cieśniny lub ograniczają wpływy konkurencyjnych mocarstw.

Mearsheimer i Walt opublikowali swoją książkę w czasie, gdy bardzo żywo dyskutowano nad amerykańskimi interwencjami w Iraku i Afganistanie. Zdominowane przez izraelskie lobby środowisko neokonserwatystów zdołało narzucić całemu krajowi narrację o potrzebie przeprowadzania kolejnych inwazji w krajach arabskich i Bliskiego Wschodu w celu narzucania im demokracji na modłę zachodnią. Ostrze polemiczne autorów wymierzone było głównie w zarysowującą się wówczas wizję ciągłych konfliktów wojennych pociągających za sobą znaczne koszty. Kompletne fiasko interwencji w Afganistanie i Iraku sprawiło, że społeczne poparcie dla tego typu przedsięwzięć znacząco spadło, a wraz z opadnięciem fali oburzenia na politykę wojen na Bliskim Wschodzie okno do dyskusji na temat izraelskiego lobby zamknęło się na kolejne lata.

O tym, jak bardzo izraelskie lobby wpływa wciąż na bieżącą politykę, świadczy jednak najlepiej to, że naprzeciwko siebie w wyborach prezydenckich staną najprawdopodobniej Donald Trump, który swego czasu na konferencji AIPAC szczycił się tym, że ma żydowskiego wnuka, oraz Joe Biden, który w czasie niedawnej wizyty w Izraelu zadeklarował spontanicznie, że jest syjonistą. To samo stwierdzenie powtórzył później, zapalając świece chanukowe w Białym Domu. Znany z batalii przeciwko ruchowi LGBT i sprzeciwiający się pandemicznym obostrzeniom gubernator Florydy Ron DeSantis zorganizował zaś po wybuchu ostatniej wojny specjalną pomoc dla Izraela, wysyłając m.in. drony i amunicję. W którąkolwiek stronę sceny politycznej spojrzeć, licytacja na największego przyjaciela Izraela skłania najbardziej liczących się polityków do deklarowania jeszcze większej skali pomocy, wsparcia i oddania.

Rację miał Joe Biden, który na spotkaniu z Beniaminem Netanjahu przekonywał, że nie trzeba być wcale narodowości żydowskiej, żeby być syjonistą. W Stanach Zjednoczonych zdecydowanie bardziej proizraelscy są zresztą częściej chrześcijańscy syjoniści, a część społeczności żydowskiej ma do polityki państwa Izrael zdecydowanie chłodny stosunek.

KŁOPOTLIWY ATUT

Od lat nie brakuje w Polsce głosów, że wzorując się na Izraelu, Polska również mogłaby wykorzystać znaczny potencjał, który posiada w postaci wciąż licznej mniejszości żyjącej w USA. W praktyce osiągnięcie tego samego efektu jest jednak niewykonalne, ponieważ na niezwykle silną pozycję izraelskiego lobby wpływają najmocniej kwestie religijne, cywilizacyjne i finansowe. Co jednak najważniejsze, istnienie potężnego izraelskiego lobby w Stanach Zjednoczonych to nie tylko kwestia kształtowania polityki amerykańskiej na korzyść samego Izraela, lecz także jeden z istotnych mechanizmów pozwalających Waszyngtonowi prowadzić tak bardzo skuteczną politykę zagraniczną i kulturową na całym globie. Polski kontekst kulturowo-religijny nie ma takiego potencjału.

Należy mieć przy tym świadomość, że w ostatnim czasie na antysemickiej nucie zaczynają coraz wyraźniej pogrywać wschodnie potęgi, kwestionujące dominację USA i Zachodu w światowej polityce. Działania Chin czy Rosji są coraz silniej nastawione na podsycanie niechęci do państwa Izrael i Żydów oraz wzmacnianie zamieszkujących kraje zachodnie muzułmanów (co widać w ostatnim czasie choćby na TikToku, gdzie oprócz niechęci do Izraela promowany jest… Koran). Stratedzy z Moskwy czy Pekinu wiedzą dobrze, że sfrustrowane niekończącą się walką z mową nienawiści zachodnie społeczeństwa mogą kiedyś się zbuntować. Izraelskie lobby w Stanach Zjednoczonych znalazło się więc w sytuacji nie do pozazdroszczenia i musi na nowo przemyśleć swoją strategię. Oby więc jednym z wniosków, które wyciągnie z obecnej sytuacji, było przynajmniej podjęcie systematycznej walki z ideologią spod znaku tęczy i woke.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

WYDAWNICTWO esprit ZAPRASZA NA SPOTKANIA Z AUTORAMI W RAMACH XXIX TARGÓW WYDAWCÓW KATOLICKICH W WARSZAWIE

11-14.04.2024 | ARKADY KUBICKIEGO, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Sobota, 13.04

11:00 - 11:50 Spotkanie z **ks. Bogusławem Kowalskim oraz Katarzyną Szkarpetowską** wokół książki „Chłopak z Pragi. Autobiografia". | **Namiot**
Po spotkaniu podpisywanie książek na stoisku

13:00 – 13:50 Spotkanie z **ks. Robertem Skrzypczakiem** pt. „Ocalmy to co święte. Kościół wobec kryzysu" wokół książek „Więź miłości" oraz „Uświęcić świat". | **Namiot**

16:00 – 16:50 Spotkanie z **Agatą Puścikowską oraz Pawłem Grabowskim** wokół książki „Nie przyszedł do mnie anioł". Prowadzenie: Krzysztof Ziemiec. | **Namiot**
Po spotkaniu podpisywanie książek na stoisku

Niedziela, 14.04

13:00 - 13:50 Spotkanie z **Agnieszką Bugałą** wokół książki „Ulmowie. Sprawiedliwi i błogosławieni". Prowadzenie: Piotr Zworski. | **Namiot**
Po spotkaniu podpisywanie książek na stoisku

WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW NA WWW.ESPRIT.COM.PL DO ZOBACZENIA!



Łukasz Warzecha

Kandydat PiS raczej nie wygra wyborów prezydenckich. Jednak partia ta utnie też każdą inną możliwą kandydaturę szeroko rozumianej prawicy



Kandydatem PiS na prezydenta może być m.in. Tobiasz Bocheński. Jeśli jednak osiągnie słaby wynik w wyborach na prezydenta Warszawy, to nic z tego

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Doktryna psa ogrodnika

Kilka dni przed wyborami samorządowymi w Warszawie kampania nadal wydawała się niemrawa, ale szczególnie niemrawa – jak na środki i możliwości macierzystej partii – była kampania Tobiasza Bocheńskiego, byłego wojewody mazowieckiego startującego na prezydenta Warszawy. Pojawiały się nawet pojedyncze sondaże sugerujące, że gdyby doszło do drugiej tury, to jako konkurent Rafała Trzaskowskiego pojawiłby się w niej nie pan Bocheński, ale Magdalena Biejat, kandydatka Lewicy.

Dzieje się to wszystko niewiele ponad rok przed wyborami prezydenckimi. Co, jeśli taki właśnie scenariusz czeka w 2025 r. PiS na poziomie ogólnokrajowym i jeśli kandydat tej partii nie wejdzie nawet do drugiej tury? A jeśli nawet się w niej znajdzie, to ostatecznie przegra z kretesem? Prawdopodobieństwo takiego rozwoju wypadków rośnie. Dlaczego i co to może oznaczać?

STAWKA WYBORÓW

Przede wszystkim można sobie zadać pytanie, czy prezydentura sama w sobie w ogóle jest ważna. Część komentatorów od lat dość bezmyślnie powtarza frazę, że prezydent siedzi tylko pod żyrandolem i niewiele może, a wszelkie jego istotne kompetencje są jedynie negatywne i wiążą się z możliwością niepodpisywania ustaw napływających z parlamentu. Przypominam, że głowa państwa może skierować je do ponownego rozpatrzenia – czyli zgłosić weto, do którego obalenia potrzeba trzech piątych, czyli 276 głosów (przy założeniu, że głosuje wszystkich 460 posłów). Może też skierować ustawę do kontroli do Trybunału Konstytucyjnego, w części lub w całości, w trybie uprzednim – faktycznie blokując

jej wejście w życie przynajmniej na jakiś czas – albo następczym.

Jednak ostatnie lata pokazały wyraźnie, że w istocie w naszym dziwnym, mieszanym systemie politycznym kompetencje prezydenta są o wiele, wiele większe i nierzadko stoją w konflikcie z kompetencjami rządu i Sejmu. To m.in. mianowanie sędziów, w tym na określony rodzaj sędziowskiego stanowiska, powoływanie ambasadorów, nominacje generalskie, w tym Szefa Sztabu Generalnego, powoływanie i odwoływanie prokuratora krajowego (skutek ustawy, nie konstytucji), a także nominacje członków wszystkich organów, gdzie zasiadają przedstawiciele głowy państwa: Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji czy Krajowej Rady Sądownictwa. To również na wniosek prezydenta Sejm powołuje prezesa NBP. Jak się okazuje, liczą się nawet takie kwestie jak prawo powołania dowolnej osoby na prezesa Rady Ministrów w pierwszym (i trzecim) konstytucyjnym kroku po wyborach.

Twierdzenie, że prezydent ma jedynie moc blokującą w procesie uchwalania prawa, jest zatem zwyczajnie nieprawdziwe. Co więcej, sam przecież może występować z inicjatywami ustawodawczymi, z czego Andrzej Duda korzystał w kilku kluczowych momentach. Okazało się, że duże znaczenie polityczne może mieć nawet tak – wydawałoby się – oczywista kompetencja prezydenta, jak prawo łaski. Waga wszystkich tych kwestii rośnie niepomiernie w sytuacji, gdy większość parlamentarna reprezentuje inny obóz polityczny niż głowa państwa.

Dlatego właśnie to, kto zajmie miejsce w Pałacu Prezydenckim po Andrzeju Dudzie, ma gigantyczne znaczenie dla kształtu Polski w najbliższych latach. Dzisiaj jedynie obecny prezydent blokuje radykalne posunięcia koalicji, takie jak wprowadzenie homomałżeństw, znacząca liberalizacja prawa antyaborcyjnego czy taka przebudowa systemu sądownictwa, która nie naprawiłaby błędów poprzedników, ale przywróciła patologie wcześniejszego okresu. Nietrudno też wyobrazić sobie, jakie byłoby stanowisko prezydenta z obozu obecnej władzy w sprawie niekorzystnych dla Polski propozycji daleko idącej integracji UE – choć jak będzie pod tym względem wyglądać sytuacja w przyszłym roku, po wyborach do PE, trudno na sto procent powiedzieć.

Ze wszystkich tych powodów wyścig prezydencki w przyszłym roku będzie miał olbrzymie znaczenie. Tymczasem obóz koalicji ma aż trzech potencjalnie mocnych kandydatów. Do niedawna najoczywistszym nominatem Koalicji Obywatelskiej wydawał się Rafał Trzaskowski, ale na przeszkodzie jego ambicjom mogą stanąć aspiracje samego Donalda Tuska, dla którego prezydentura, i to na dwie kadencje, byłaby logicznym zwieńczeniem błyskotliwej politycznej kariery. W momencie wyborów obecny premier będzie miał 68 lat. Po dwóch kadencjach, blisko osiemdziesiątki, nadszedłby doskonały moment, żeby odejść z polityki z poczuciem całkowitego spełnienia i dokonanej zemsty za przegraną w 2005 r.

Przeciwko Trzaskowskiemu, zwłaszcza w drugiej turze wyborów prezydenckich, przemawiałaby jego wyrazista lewicowość. Tej wady nie ma już jednak bardzo plastyczny Tusk, doskonały w takim balansowaniu własnym wizerunkiem, aby nie przypisywano mu ani skrajnych poglądów, ani bezpośredniego udziału w najbardziej kontrowersyjnych działaniach jego politycznego obozu. Donald Tusk to naprawdę gracz wagi ciężkiej.

Jest potencjalny konkurent w postaci Szymona Hołowni, którego premier stara się systematycznie osłabiać politycznie i wizerunkowo – z dużym powodzeniem. Gdyby Hołownia miał się znaleźć w drugiej turze naprzeciw pana Tuska albo tym bardziej Trzaskowskiego, mogłoby się okazać, że głosowanie na tego całkowicie magmowego polityka, którego poglądy krążą między naiwnym absurdem (czynne prawo wyborcze dla 16-latków) a pozorowanym konserwatyzmem (referendum w sprawie aborcji), jest jedynym wyborem dla wyborców o konserwatywnych poglądach. Niestety, to całkiem prawdopodobny scenariusz.

KOGO WYSTAWI PIS?

Dramat polega na tym, że PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele jest dzisiaj jednocześnie jedynym ugrupowaniem, które z racji swojej siły organizacyjnej i zasobów finansowych jest w stanie wysunąć kandydata teoretycznie reprezentującego obóz konserwatywny, który miałby szansę podjąć rywalizację z kandydatem koalicji; zarazem jednak słabość – i to strukturalna – tego ugrupowania jest tak głęboka, że trudno zakładać, iż jego kandydat mógłby te wybory wygrać. PiS realizuje więc w praktyce strategię, którą można by nazwać „doktryną psa ogrodnika". Pies ogrodnika, jak wiadomo, charakteryzuje się tym, że sam czegoś nie jest w stanie zdobyć, ale nie pozwoli dosięgnąć tego innym. Podobnie zachowuje się PiS: sam jest i pozostanie nieskuteczny, wyborów najpewniej nie wygra, ale zajmuje tak silne miejsce na umownie rozumianej prawicy, że żadna świeża, skuteczniejsza siła nie jest w stanie się przebić. Kaczyński zaś zrobiłby wszystko, aby taką inicjatywę zgasić.

Rok przed wyborami prezydenckimi, w przeciwieństwie do obozu koalicji, PiS nie ma ani jednego mocnego kandydata, choć kandydatów na kandydata ma teoretycznie kilkoro. O kim mowa?

W sondażach, gdzie zadawano pytanie o najlepszego kandydata PiS na prezydenta, na razie niezmiennie wygrywał Mateusz Morawiecki, ale nie była to ogromna przewaga. W badaniu CBOS z lutego było to 10,9 proc. Kolejne miejsca zajęli Mariusz Błaszczak (4,2 proc.), Beata Szydło (3,5 proc.), Przemysław Czarnek (3,3 proc.) i Jarosław Kaczyński (3,1 proc.). Aż 17,7 proc. podpisało się pod odpowiedzią „ktoś inny". Respondenci nie rekrutowali się przy tym jedynie spośród wyborców PiS.

Mateusz Morawiecki z pewnością byłby chętny do podjęcia się tego wyzwania, ale duża liczba wskazań nie oznacza realnych szans na wygraną. To raczej skutek rozpoznawalności wciąż trwającej w związku ze sprawowaniem urzędu premiera przez sześć lat. Morawieckiego obciąża tak wiele, że jego kandydatura wydaje się receptą na pewną przegraną. To on był twarzą fatalnej kampanii z 2023 r., nakierowanej wyłącznie na najtwardszy elektorat. To on stał za Polskim Ładem, to on przepychał w imieniu Polski kolejne elementy unijnego Zielonego Ładu – co będzie bez wątpienia coraz istotniejszym tematem kolejnych kampanii. Jego wiarygodność w tym względzie jest zerowa. To on był architektem fatalnych rozwiązań z okresu pandemii, co ma znaczenie dla sporej części prawicowego elektoratu. Przeszkodą w kampanii byłyby też jego drewniana charyzma i brak poparcia w całym aparacie PiS.

Druga możliwość to Tobiasz Bocheński. Jego kandydatura miałaby być rozważana, o ile sprawdzi się w Warszawie. To jednak jest niepewne, a słaby wynik w stolicy Bocheńskiego będzie go obciążał. W dodatku trudno sobie wyobrazić, żeby po raz drugi miał się udać manewr podobny do tego z Andrzejem Dudą, czyli skuteczne wypromowanie kandydata niespecjalnie znanego i postrzeganego jako „niepisowski". Zresztą wygrana Dudy była też skutkiem nieudolności jego rywala, Bronisława Komorowskiego. W 2025 r. naprzeciwko stanie konkurent bez porównania trudniejszy. Nie bez znaczenia było i to, że wybory w 2015 r. odbywały się po ośmiu latach rządów PO i pięciu – Komorowskiego. Tym razem będziemy mieli za sobą raptem półtora roku rządów koalicji, pamięć o rządach Zjednoczonej Prawicy będzie ciągle świeża, a przypuszczalnie słaby wynik partii Jarosława Kaczyńskiego w wyborach do PE nie doda temu obozowi rozpędu.

Trzeci wariant to Beata Szydło. Ta kandydatura ma pewne zalety. Była pani premier od 2019 r. zasiada w Parlamencie Europejskim, zatem działania rządu Zjednoczonej Prawicy obciążają ją w niewielkim stopniu. Wielokrotnie sygnalizowała, że nie podobają jej się działania Mateusza Morawieckiego, szczególnie te związane z polityką europejską. Wciąż cieszy się popularnością wśród wyborców PiS. Jest kobietą – co w dzisiejszym czasie równościowych obsesji może mieć pewne znaczenie przy odpieraniu ataków.

Ma też jednak wady. Trudno byłoby ją pokazywać jako kandydatkę bardziej środka niż prawej strony. Ciągnie się za nią kwestia nagród dla członków jej rządu („te nagrody im się po prostu należały"). Pod względem wizerunku osoby „światowej" trudno jej będzie rywalizować z Rafałem Trzaskowskim czy Donaldem Tuskiem. Można to uważać za nieistotne, ale taka jest rzeczywistość: wyborcom zwłaszcza w tych właśnie wyborach imponuje „światowość". Ponadto można sobie wyobrazić, że pani Szydło kontrowałaby ową „światowość" specyficzną „swojskością" i autentyczną charyzmą.

W zestawieniach potencjalnych kandydatów zaczęło się pojawiać nazwisko Przemysława Czarnka. Były minister edukacji jest jednym z najbłyskotliwszych i najinteligentniejszych polityków PiS. Bez trudu można go sobie wyobrazić jako przyszłego lidera partii. Trudno jednak uznać, że byłby realną konkurencją dla któregoś z dwóch potencjalnych kandydatów Koalicji Obywatelskiej, ponieważ skojarzenie go ze skrajnością – nie ma tu znaczenia, czy słuszne czy nie – jest zbyt mocne. To kandydat, który mógłby wejść do drugiej tury, zgarniając głosy większości wyborców o konserwatywnych poglądach, ale w drugim głosowaniu przepadłby z kretesem. Skierowana przeciwko niemu kampania drugiej strony byłaby bułką z masłem – wystarczyłoby grać jego dawnymi wypowiedziami.

PRZYPADEK PŁAŻYŃSKIEGO

Są wreszcie nazwiska niepojawiające się na razie w sondażach, ale przewijające się już w dyskusjach komentatorów. Najciekawsze z nich to Kacper Płażyński. Zaskakującej i niezamierzonej rekomendacji udzielił mu w prywatnej rozmowie, podsłuchanej przez służby, Daniel Obajtek, jeszcze jako prezes Orlenu. Onet ujawnił nagranie dokonane prawdopodobnie pod koniec 2018 r. w gabinecie Obajtka podczas jego spotkania z dziennikarzem Piotrem Nisztorem. W rozmowie pojawia się wątek Płażyńskiego. Daniel Obajtek w charakterystycznym dla siebie stylu mówi o nim: „Problem polega na tym, że chłop jest za bardzo uczciwy, przeraźliwie uczciwy. Nawet w stosunku co do siebie, k…a. Głupi rzucił robotę, odsączył się od Energi, k…a, z racji tego, że będą mu wypominać, że Skarb Państwa".

Kacper Płażyński, syn Macieja Płażyńskiego, który zginął tragicznie w katastrofie smoleńskiej, ma 34 lata. Jest prawnikiem i posłem poprzedniej oraz obecnej kadencji. Na tle wielu innych polityków PiS wyróżniają go medialna sprawność, a także wyraźna niechęć do skrajnej retoryki. To bardzo ciekawa kandydatura z jedną potężną wadą: niemal całkowitym brakiem rozpoznawalności poza rodzinnym Gdańskiem. Tam jednak, w swoim okręgu, uzyskał ostatnio rekordowe poparcie – dostał 100 tys. głosów (następny na liście PiS Kazimierz Smoliński miał ich zaledwie 16 tys.), przeskakując o ok. 17 tys. głosów pierwszą na liście KO Agnieszkę Pomaskę. Jego wynik był porównywalny z wynikami takich kandydatów jak Sławomir Mentzen czy Borys Budka. Tu jednak znów pojawia się pytanie o możliwość powtórki manewru z Andrzejem Dudą. Choć w przeciwieństwie do pana Bocheńskiego Kacper Płażyński dwukrotnie zaliczył test wyborczy, i to bardzo dobrze (w 2019 r. zdobył prawie 90 tys. głosów, startując z drugiego miejsca i o kilka długości dystansując pierwszego na liście Jarosława Sellina, który uzyskał niecałe 30 tys. głosów.).

Płażyński ma potencjał: młody, z dobrym wykształceniem, nieobciążony wizerunkowo i daleki od skrajności. I być może właśnie dlatego kandydatem raczej nie będzie. Jarosław Kaczyński uważa, że stawiając na Dudę, zrobił błąd, bo obecny prezydent mu się wymknął i – z punktu widzenia prezesa PiS – stał się zbyt niezależny. Taką obawę będzie mieć wobec pana Płażyńskiego, który nie jest typem posłusznego partyjnego sierżanta. Poza tym w przypadku polityka lokalnie tak popularnego, ale nieznanego w kraju kampania na jego rzecz musiałaby się rozpocząć natychmiast po wakacjach.

Nad przyszłą kampanią prezydencką kandydata PiS – ktokolwiek by nim ostatecznie został – wisi przede wszystkim jeden problem: Jarosław Kaczyński. PiS nie przepracował swojej porażki. Nie ma żadnej zmiany linii czy narracji. Podczas gdy w wielu krajach Europy perspektywa gigantycznych kosztów związanych z Zielonym Ładem sprawia, że partie suwerennościowe, przeciwne dotychczasowemu kierunkowi UE, nabierają wiatru w żagle, w Polsce PiS, w teorii – choć nie w praktyce rządów – reprezentujący ten sam kierunek, szykuje się na utratę znaczącej liczby mandatów w wyborach do PE. Jest prawdopodobne, że na listach upchnięci zostaną zasłużeni towarzysze bez motywacji i kompetencji, tacy jak Jacek Kurski, Maciej Wąsik czy Mariusz Kamiński.

Głosy wzywające do zasadniczej zmiany w partii, takie jak prof. Andrzeja Nowaka, uznawane są za wydziwiania oderwanych od realiów intelektualistów. Skończyć się to może bolesnym, porażająco twardym lądowaniem w 2025 r. Porażka PiS za rok może być szokiem, który wymusi wreszcie trzęsienie ziemi w tej partii. Szkoda tylko, że kosztem całkowitego oddania kraju pod władzę lewicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

Zrównoważone cele Hołowni



Krystian Kratiuk

Powiedzieć, że Szymon Hołownia chce być prezydentem, byłoby truizmem. Czy jednak chce nim być wyłącznie dla władzy i prestiżu? Uważniejsze niż dotychczas prześledzenie jego publicznej działalności opowiada o udziale w wielkim planie przebudowy świata, którego części stanowią ręka w rękę funkcjonariusze ONZ i... Watykanu

Powszechna wiedza o przedpolitycznej karierze Szymona Hołowni sprowadza się do przypominania mu funkcji showmana w TVN-owskim „Mam talent". Niektórzy są w stanie jeszcze przypomnieć jego poważniejszą działalność jako postępowego pisarza katolickiego lub prowadzenie fundacji charytatywnych. Mało kto zwraca jednak uwagę na jeszcze jeden aspekt publicznej działalności dzisiejszego marszałka Sejmu – otóż Szymon Hołownia pełnił przez jakiś czas funkcję Ambasadora Celów Zrównoważonego Rozwoju ONZ, a także brał udział w watykańskim programie „Masterclass Leadership with the Pope". Wbrew pozorom uczestnictwo w obu tych przedsięwzięciach ma wiele wspólnego.

AMBASADOR

Ambasador Celów Zrównoważonego Rozwoju to tytuł przyznawany przez ONZ znanym i wpływowym osobom na całym świecie. Głównymi celami mianowanych są „zwiększenie świadomości społecznej na temat celów zrównoważonego rozwoju oraz mobilizacja działań na rzecz ich osiągnięcia". Ambasadorowie są osobami z różnych dziedzin życia, w tym celebrytami, liderami społecznymi, przedstawicielami biznesu, naukowcami czy działaczami społecznymi. Ich zadania obejmują działania informacyjne, edukacyjne, a także podejmowanie konkretnych działań wspierających

cele zrównoważonego rozwoju, takie jak inicjowanie projektów, lobbowanie za politykami sprzyjającymi zrównoważonemu rozwojowi czy też angażowanie społeczności lokalnych w działania na rzecz tych celów.

O tej funkcji Hołowni pisano jednak niewiele – zarówno przed wyborami prezydenckimi w roku 2020, kiedy niespodziewanie ogłosił swoją kandydaturę, jak i po wyborach w roku 2023, gdy w niektórych kręgach rozpoczęła się swoista moda na wychwalanie nowego marszałka. Sądzę, że owa cisza bierze się stąd, że jeszcze jakiś czas temu mało kto zdawał sobie sprawę z tego, iż coś, co tak niepozornie się nazywa – wszak „zrównoważony rozwój" mamy wpisany do Konstytucji RP! – może skrywać faktycznie niezbyt pożądane cele. Kojarzą się one głównie z pięknymi hasłami, jak powszechny dostęp do wody, zwalczanie biedy, przeciwdziałanie nierównościom społecznym itp. A jednak.

Przypomnijmy: w 2000 r. ONZ przyjęła tzw. Milenijne Cele Rozwoju, które miały być osiągnięte do 2015 r. To się jednak nie udało, niezadowoleni z tego stanu rzeczy globaliści doprowadzili więc do przyjęcia we wrześniu 2015 r. (na sesji ONZ z udziałem papieża Franciszka) nowej Agendy na rzecz Zrównoważonego Rozwoju 2030. Zaledwie trzy miesiące później w Paryżu doszło do podpisania ważnego porozumienia klimatycznego, ściśle powiązanego z Agendą 2030, którego skutki odczuwamy do dziś.

CZŁOWIEK – RAK

Agenda 2030 została oparta m.in. na postulatach Klubu Rzymskiego – z którego raportu przygotowanego już w latach 70. poprzedniego stulecia można się było dowiedzieć, że „Ziemia ma raka, a tym rakiem jest człowiek". W 2016 r. w Berlinie członkowie Klubu, skupiającego polityków, finansistów i „obywateli świata podzielających wspólną troskę o przyszłość ludzkości", ogłosili kolejny raport, tym razem domagając się, by rządy w poszczególnych krajach koniecznie wprowadziły politykę jednego dziecka. „Dobrze byłoby, gdyby przyrost naturalny się zmniejszył. Idealnie byłoby, gdyby nawet liczba ludności na świecie znacznie się skurczyła" – argumentowali autorzy dokumentu pt. „Reinventing prosperity", Jorgen Randers i Graeme Maxton.

I tak wśród celów zrównoważonego rozwoju znalazła się np. promocja „zdrowia reprodukcyjnego". Nietrudno zgadnąć, że pod tym pojęciem kryje się promocja aborcji, sterylizacji i antykoncepcji. Co więcej, jak wykazali w swoim raporcie analitycy Ordo Iuris, Agenda 2030 „zawiera wiele pojęć, które już w tej chwili są interpretowane ze szkodą dla dobra rodziny i dzieci". Dotychczasowa praktyka pokazuje, że pojęcia takie jak: gender, prawa reprodukcyjne i seksualne, „inny status czy dyskryminacja definiowane są jako terminy zawierające tzw. prawo do aborcji, prawa osób LGBT oraz prawo do kompleksowej edukacji seksualnej". Warto dodać, że podczas negocjacji przed powstaniem Agendy 2030 postanowienia wzywające do ochrony rodziny, wzmacniające prawa i rolę rodziców w wychowaniu dzieci zostały odrzucone.

Szymon Hołownia bierze udział w promocji celów zrównoważonego rozwoju, tak jak wziął udział w watykańskim projekcie „Masterclass Leadership with the Pope"

Na inny aspekt Agendy 2030 – jako chyba jedyny z przywódców szeroko rozumianego Zachodu – zwracał uwagę Viktor Orbán. – Plan Agendy 2030 w połączeniu z planem Wielkiego Resetu WEF doprowadzi do powstania społeczeństwa, w którym własność jest przestarzała, prywatność nie istnieje, a organizacje globalistyczne uzyskują pełną kontrolę – mówił premier Węgier w 2022 r. do przedstawicieli węgierskiej Izby Handlowej.

Wczytując się w Agendę i inne opracowania ONZ, trudno nie zauważyć, że mają one swoją „religię" i „istotę wyższą". Okazuje się, że sposób, w jaki mówi się w tych dokumentach o ochronie planety, powoduje wrażenie, że to ekologizm ma być nową, światową religią, a bytem nadprzyrodzonym jest… matka ziemia.

PAPIESKI LIDER

Szymon Hołownia bierze udział w promocji tych celów, tak jak wziął udział w watykańskim projekcie „Masterclass Leadership with the Pope". To organizowany przez Papieską Radę ds. Kultury „globalny program dla dojrzałych i młodych liderów reprezentujących uczelnie, przedsiębiorstwa, wspólnoty lokalne, rządy, organizacje non profit, rodziny i inne sfery wpływu inspirowane 15 zasadami przywództwa papieża Franciszka oraz światowymi autorytetami". W trakcie warsztatów (w 2019 r. odbywały się one w Polsce) młodzi liderzy mieli szansę wygrania półrocznej relacji z mentorem oraz bezpłatnego zaproszenia na „Masterclass" w Castel Gandolfo i Watykanie.

Kilka lat wcześniej Franciszek mówił o 15 słabościach, z którymi zmagają się obecni przywódcy, liderzy oraz Kościół. Znalazły się wśród nich m.in.: arogancja, nietolerancja, krótkowzroczność i małostkowość. Z wypowiedzi papieża stworzono listę zasad dobrego przywództwa. I w tym duchu szkoleni są młodzi liderzy.

Jak mówił Hołownia: „Moja praca wiąże się z jeżdżeniem po całej Polsce, gadaniem, pisaniem, wykładami i dyskusjami. Mówię często niewygodną dla konserwatystów prawdę o chrześcijaństwie, mianowicie, że jest to religia nadziei, miłości i akceptacji […], [oferuję] wsparcie w odpowiednim poprowadzeniu nieszablonowego myślenia, porady, jak nie wybrukować piekła dobrymi chęciami, ale przerodzić interesującą koncepcję w faktycznie wartościowe czyny".

Gdy Hołownia kandydował na prezydenta, jego ówczesny szef sztabu, Michał Kobosko, przyznawał, że „Ambasador Celów Zrównoważonego Rozwoju ONZ jako wcielenie nowej generacji przywódców ma być przedstawicielem nowej generacji polityków".

PAKT WATYKAN-ONZ

Ale co ma ONZ do celów Franciszka? Otóż od początku pontyfikatu papieża z Argentyny widzimy jego ścisłą współpracę z globalistami. Papież nie tylko pomógł przyjąć Agendę 2030, lecz także osobiście włączył się w jej promocję

– niezwykle głośnym echem w Polsce odbiła się sprawa zeszłorocznych Światowych Dni Młodzieży w Lizbonie, podczas których młodzi oprócz Ewangelii mieli uczyć się także właśnie Celów Zrównoważonego Rozwoju.

Współpraca Watykanu z ONZ ma również wymiar personalny. Profesor John Schellnhuber, jeden z autorów raportów Klubu Rzymskiego (fundamentalnych dla tworzenia Agendy 2030), w 2015 r. został mianowany przez papieża Franciszka członkiem zwyczajnym Papieskiej Akademii Nauk i przedstawiał światu encyklikę „Laudato si". Profesor Jeffrey Sachs (współtwórca planu Balcerowicza), obecnie m.in. szef ONZ-owskiej SDSN (Sieci Rozwiązań na rzecz Zrównoważonego Rozwoju), został zaś członkiem Papieskiej Akademii Nauk Społecznych. Ten ostatni w swoim wykładzie z 2015 r. zaznaczył, że kluczowe dla zrównoważonego rozwoju są ograniczenie liczby ludności i wielka transformacja energetyczna. Podkreślił, że zrównoważonego rozwoju nie osiągniemy, jeśli populacja wciąż będzie szybko rosnąć. – Oczywiście mówienie o tym nie jest łatwe – mówił Sachs – ponieważ to niepoprawne politycznie. Przekonał się o tym papież Franciszek, gdy powiedział, że katolicy nie mogą się rozmnażać jak króliki. Dobrze, że rozpoczął tę dyskusję. Powinniśmy wziąć sobie to do serca, że możemy mieć tyle dzieci, ile jesteśmy w stanie wychować i wykształcić dobrze, by miały szansę na dobrobyt. A to oznacza, że można mieć dwoje, może troje, ale nie pięcioro, siedmioro, ośmioro i więcej.

Dodatkowo papież stale nawołuje do ochrony planety, klimatu, centralizowania niektórych decyzji dotyczących poszczególnych państw, poparł globalistyczną walkę z tzw. pandemią, a wpuszczenie do watykańskich ogrodów i kościołów figurek Pachamamy odczytane zostało na całym świecie jako hołd oddany wspomnianej wcześniej matce ziemi.

TRZECIA DROGA JAKO KOPIA

Szymon Hołownia jako influencer może pochwalić się niemałą skutecznością. Przeciwko celom Agendy 2030 w Polsce nie protestuje niemal nikt ze świata polityki – ba, nawet poprzednia władza, z którą było mu bardzo nie po drodze, stawiała sobie za cel realizację

Cele Szymona Hołowni są bardzo jasne. Aby się o nich przekonać, wystarczy śledzić stopień realizacji Agendy 2030, który każdego roku przyspiesza

większości założeń ONZ i unijnego Zielonego Ładu. Wątpliwe, by nazwa partii Hołowni – Polska 2050 – nie była w jakiejś mierze inspirowana nazwą Agenda 2030, analogie nasuwają się same.

Hołownia okazał się niezwykle skuteczny także jako influencer katolicki. Przemiana Kościoła i wewnątrzkatolickiej debaty publicznej to rzecz jasna nie tylko jego dzieło, ale trudno nie zauważyć, że gdy już przed 20 laty ów były publicysta niósł pod strzechy tzw. katolicyzm otwarty, ten nie cieszył się jeszcze w Polsce taką popularnością jak dziś. Ani wśród ludu Bożego, ani wśród hierarchii.

Nic zatem dziwnego, że człowiek cieszący się uznaniem wśród katolickich elit (ślubu udzielał mu kard. Krajewski, z którym Hołownia jest „na ty"), popularny wśród widzów telewizji dla ludzi młodych, wykształconych z wielkich ośrodków, doświadczony w działalności publicznej, przetestowany i zaakceptowany ideologicznie przez światowy mainstream zostaje politykiem i marzy o budowie nowego, wspaniałego świata. Występuje przeciwko zastanemu układowi (dziś, w czasie trwania Koalicji 13 grudnia można już nie pamiętać, że swoją partię Hołownia powoływał przeciwko całemu establishmentowi politycznemu, z PiS, PO i PSL włącznie). Nazwa Trzecia Droga, przyjęta przez dowodzoną wespół z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem koalicję, także odnosi się do pewnego nowego światowego nurtu.

Otóż w świecie zachodnim partia „trzeciej drogi" – nieformalnej, choć tak właśnie nazywanej – już istnieje. Projekt ten lansowali wiele lat temu Tony Blair i Gerhard Schröder, ogłaszając potrzebę kierowania się „prawicową polityką gospodarczą z niektórymi elementami lewicowej polityki społecznej". Koncepcja ta krytykowana była tak przez konserwatystów, jak przez liberałów oraz libertarian za zdradę zasad leseferyzmu, a przez anarchistów, komunistów i socjalistów za zdradę wartości lewicowych. Sami Blair i Schröder dodatkowo nie mogli stać się twarzami tego nowego pomysłu – pozostawali wszak liderami wielkich tradycyjnych partii. Dwadzieścia lat później, wśród wielu dyskusji zachodnich komentatorów, mianem ludzi tzw. trzeciej drogi określało się m.in. premiera Kanady Justina Trudeau (cieszącego się u początku swej kariery zaufaniem kanadyjskiego Kościoła syna byłego premiera) czy Emmanuela Macrona, który nie odwoływał się do wartości katolickich, ale Francja to ani Polska, ani Kanada (gdzie w momencie dochodzenia do władzy młodszego Trudeau katolicyzm nadal wyznawała największa grupa obywateli). Macron w trakcie pierwszej kampanii wyborczej był tak zaciekle „ani prawicowy, ani lewicowy", że prześmiewczo nazywano go „radykalnym centrystą".

William K. Black, amerykański prawnik i publicysta, opisywał zjawisko „trzeciej drogi" w następujący sposób: „Grupa, która czasami udaje, że reprezentuje centrolewicę, w rzeczywistości działa na korzyść Wall Street – jest kontrolowana przez Wall Street, dla Wall Street, przy użyciu działań prowadzonych pod pozorem innych celów, podobnie jakby była to formacja centrolewicowa". Natomiast według Václava Klausa, byłego prezydenta Czech, koncepcja „trzeciej drogi" jest „idiotyczna", gdyż po raz kolejny próbuje „przekonać ludzi do utopijnego projektu socjalizmu z ludzką twarzą".

Jak widać, cele Szymona Hołowni są bardzo jasne. Aby się o nich przekonać, wystarczy śledzić stopień realizacji Agendy 2030, który każdego roku przyspiesza. Co niezwykle istotne, fiasko Agendy 2015 wskazuje, że nie dało się przygotować takiego programu dla całego świata nie tylko bez zgody, lecz także wręcz bez błogosławieństwa Kościoła. Stąd udział w tym projekcie papieża Franciszka i stąd też wybór na ambasadora Agendy w Polsce, najbardziej katolickim kraju Europy, showmana erudyty z przeszłością „katolika otwartego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.



Z Ryszardem Czarneckim, eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości, byłym wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Więcej realizmu

RYSZARD GROMADZKI: Nadchodzące wybory do Parlamentu Europejskiego uważa się za próbę sił pomiędzy globalistami a suwerenistami. Zwycięstwo tych pierwszych może oznaczać stopniowy zanik polskiej państwowości, sukces suwerenistów daje nadzieję na zatrzymanie federalizacji Unii Europejskiej, szaleństwa klimatyzmu i niekontrolowanej migracji. Jest szansa na przynajmniej częściowe odwojowanie Europy przez prawicę?

RYSZARD CZARNECKI: Trawestując, proszę wybaczyć, Karola Marksa, „widmo prawicy krąży nad Europą". Rzeczywiście, po raz pierwszy od 1979 r., od kiedy Parlament Europejski wybierany jest w wyborach bezpośrednich, jest szansa na to, że połączone siły eurorealistów i eurosceptyków, a więc Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do których należą m.in. PiS i partie rządzące Italią – Bracia Włosi, Czechami – ODS, Finlandią – Partia Finów oraz eurosceptycy, do których zaliczają się choćby współrządząca włoska Liga Mattea Salviniego i Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen, utworzą największą formację w europarlamencie. Jeśli nawet obie te grupy polityczne się nie połączą, bo z różnych powodów może nie być to łatwe, to obie frakcje mogą stworzyć mniejszość blokującą.

Mniejszość sprawczą? Skutecznie blokującą choćby te najbardziej szaleńcze pomysły składające się na Zielony Ład?

Uważam, że w dużej mierze tak. Tym bardziej że następuje proces przesuwania się Europy w prawo, nie tylko w takim sensie, że więcej Polaków, Francuzów, Duńczyków, Finów czy Włochów skłonnych jest głosować na prawicę narodową, lecz także dlatego, iż zachodzi proces „przesunięcia w prawo" w poszczególnych partiach centrum, a nawet na lewicy. Jak rozmawiam z przedstawicielami niektórych ugrupowań lewicowych, które rządzą w państwach europejskich, np. z partii premiera Słowacji Roberta Ficy, to z pewnością można ich zaliczyć w poczet suwerenistów, a nie globalistów, przyjmując podział, który pan zaproponował. Myślę, że gdyby zaplanowane w Parlamencie Europejskim na ten tydzień głosowanie nad paktem migracyjnym odbyło się już po wyborach europejskich, we wrześniu, a nawet w lipcu, jego kształt byłby zupełnie inny. Stąd właśnie bierze się determinacja unijnego establishmentu związana z forsowaniem strategicznych decyzji jeszcze przed upływem kadencji obecnego europarlamentu.

Powiedział pan kiedyś, że kształtując swoją politykę międzynarodową, Polska powinna być jednocześnie lisem i lwem. Mam wrażenie, że popierając bezwarunkowo akcesję Ukrainy do Unii Europejskiej, nie jesteśmy ani lisem, ani lwem. Ukraina wyraźnie orientuje się na Niemcy, a Polskę stara się maksymalnie wykorzystać, na co zresztą pozwalają kolejne rządy w Warszawie.

Odpowiadając na pana pytanie odwołam się do przykładu, który może wydawać się egzotyczny, ale – jak sądzę – wart jest przemyślenia. Pewnie mało kto dziś pamięta, że prezydent Lech Kaczyński był wielkim orędownikiem wejścia Turcji do Unii Europejskiej, co bardzo zintensyfikowało relacje na linii Warszawa – Ankara i było świetnym politycznym zagraniem. Przy czym prezydent Kaczyński doskonale wiedział, że nie da się tego skutecznie przeprowadzić bez poparcia Niemiec i Francji – a oba te państwa były temu wtedy i dziś też zdecydowanie przeciwne... Uważam, że ze względów geopolitycznych Polska powinna mieć szczególnie dobre relacje z Ukrainą. Zwracam jednak uwagę, że krajami, które będą – a w każdym razie powinny w ramach obrony swoich interesów gospodarczych – opóźniać wejście Ukrainy do Unii, będą kraje Europy Południowej, które są głównymi beneficjentami polityki rolnej UE.

Polityka międzynarodowa to takie boisko, na którym każdy kraj walczy o własne interesy, gdzie nie ma miejsca na sentymenty

Mam na myśli Francję, Włochy, Hiszpanię, Portugalię czy Grecję. W oczywisty sposób, kiedy w Brukseli pieniędzy na rolnictwo będzie coraz mniej i na pewno się nie pomnożą, państwa te będą zabiegać o to, żeby jak największe środki z owej CAP [Common Agriculture Policy – Wspólna Polityka Rolna – przyp. R.G.] trafiły do nich, co musi rzutować na opóźnianie członkostwa Ukrainy w Unii. W związku z tym nie uważam, żeby w interesie Polski było wyjmowanie kasztanów z ognia, czyli publiczny sprzeciw wobec akcesji Kijowa do UE. Będą to robić inni. Skądinąd trzeba podkreślić, że poszerzenie Unii Europejskiej jest instrumentalnie traktowane przez Niemcy. Berlin zaoferował Kijowowi konkretny targ: „Zrywacie sojusz z Polską, a my zagwarantujemy wam przyspieszenie negocjacji akcesyjnych i szybsze wejście do Unii".

Praktyka polityczna pokazuje, że niemiecka oferta została przez władze Ukrainy przyjęta z entuzjazmem. Proces destrukcji – jak pan to określił – „sojuszu polsko-ukraińskiego" postępuje w ostatnich miesiącach bardzo szybko. Chyba jedynym jego reliktem jest utrzymywanie przez polskie władze wartego miliardy złotych socjalu dla Ukraińców przebywających w naszym kraju i adresowanego do nich rozbudowanego pakietu przywilejów.

Przypomnę naszą rozmowę w „Do Rzeczy" na ten temat sprzed roku. Niestety, od tego czasu relacje polsko-ukraińskie

jeszcze się pogorszyły. Pamiętam, jak krytykowałem wtedy skandaliczne wypowiedzi ówczesnego ambasadora Ukrainy w Niemczech, Andrija Melnyka, który de facto zaprzeczał ukraińskiemu ludobójstwu na Polakach i Żydach podczas drugiej wojny światowej. A Melnyk został awansowany na wiceministra spraw zagranicznych! Zwracam uwagę, że jesteśmy coraz częściej publicznie atakowani przez różnych ukraińskich ministrów, wiceministrów czy mera Lwowa za to, że bronimy w tych relacjach swoich interesów.

Niedawno ze strony ukraińskich oficjeli spadła na Polskę fala krytyki za to, że nie zestrzeliła rosyjskiej rakiety, która znalazła się w naszej przestrzeni powietrznej...

Te wypowiedzi polityków ukraińskich następują nie bez kozery. Jeżeli teraz odbywa się – a tak uważam – jakiś polityczny taniec między Berlinem a Kijowem, to wypowiedzi mera Lwowa Andrija Sadowego, wiceministra rolnictwa Tarasa Kaczki czy wielu innych ukraińskich polityków trafiają na podatny grunt. Podobają się chyba opinii publicznej, a na pewno ukraińskim władzom. To jest niedobre, a także bardzo charakterystyczne. Nie wolno jednak wobec tej kampanii chować głowy w piasek i udawać, że jej nie ma. Odpowiedź na pytanie, dlaczego mamy do czynienia z nasileniem tego rodzaju działań, wydaje się dosyć jasna. Ukraina powraca, niestety, do swojej dawnej strategii politycznej. Nie chcę sięgać nawet do odleglejszej historii, do drugiej wojny światowej, ale do tego, co działo się choćby za czasów prezydenta Poroszenki, kiedy Kijów konsekwentnie rozmawiał z Berlinem czy Brukselą ponad głową Warszawy. Zełenski może nie znosić Poroszenki – z wzajemnością – ale tak jak Biden przejął antychińską retorykę Trumpa, mimo że osobiście go nienawidzi, tak tutaj widzę pewną analogię z polityką Kijowa wobec Berlina po zmianie prezydenta Ukrainy; to się akurat nie zmieniło, bo Zełenski wszedł w buty Poroszenki. Jest to lekcja, z której my jako państwo polskie powinniśmy wyciągnąć wnioski.

Pana zdaniem je wyciągamy?

Drodzy rodacy! Mniej idealizmu, więcej realizmu i pragmatyzmu! Polityka międzynarodowa to takie boisko, na którym każdy kraj walczy o własne interesy, gdzie nie ma miejsca na sentymenty.

Czy celem kręgów globalistycznych dążących do eskalacji wojny na Ukrainie jest wciągnięcie Polski do tej wojny? To perspektywa, z którą powinniśmy się poważnie liczyć? W wypowiedziach polskich polityków i w mediach głównego nurtu coraz mocniej pobrzmiewa prowojenna propaganda. Chodzi o oswojenie ludzi z takim scenariuszem?

Podbijając wojenny bębenek, Macron po pierwsze wskazał Rosji, że może ostro grać w sprawach, na których Francji zależy – chodzi o... Afrykę i strefy wpływów Paryża w jego dawnych koloniach, do których Moskwa bezceremonialnie się pcha. Część opinii publicznej w Polsce bierze na serio wypowiedzi francuskiego prezydenta, który przede wszystkim załatwia własne porachunki z Rosją, starając się szachować Putina wysłaniem żołnierzy państw członkowskich Unii na Ukrainę. W istocie chodzi o to, żeby Rosjanie wycofali się z Mali czy Republiki Środkowoafrykańskiej, które są tradycyjną strefą wpływów politycznych, militarnych i gospodarczych Paryża. Zwracam uwagę, że na razie Macron gada i gada o wysłaniu 2 tys. francuskich żołnierzy na Ukrainę, ale jakoś samolotów czy pocisków rakietowych dalekiego zasięgu na Ukrainę nie wysyła. To byłaby wymierna pomoc dla Kijowa. Gadką o wysłaniu żołnierzy, z której nic nie wynika, w wojnie z Rosją Macron na pewno naszemu wschodniemu sąsiadowi nie pomoże – a samolotami i rakietami już tak. Polacy powinni czytać wypowiedzi polityków Zachodu dotyczące wojny na Ukrainie takimi, jakie one są, a nie takimi, jakimi wydaje się, że są.



FOT. JACEK SZYMKOWSKI/FORUM

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Aleja Męczenników Demokracji



Piotr Semka

Jeśli politycy PO, lewicy czy Trzeciej Drogi zechcą wprowadzać zmanipulowaną legendę o ofiarach PiS, to mają do wykorzystania wiele narzędzi

Piotr Szczęsny, człowiek, który dokonał samospalenia w proteście przeciwko rządom PiS, ma być patronem części przestrzeni na obecnym placu Defilad. Ta inicjatywa przedstawicieli Platformy Obywatelskiej w Radzie Warszawy jest zapewne próbą skonsolidowania twardego elektoratu PO przed wyborami samorządowymi 7 kwietnia. Ale deklarowany gest uhonorowania człowieka uważanego za ofiarę rządów PiS pasuje do całej sekwencji działań partii obecnej koalicji, zmierzających do stworzenia laickiego kultu ofiar rządów prawicy. Ten manewr socjotechniczny wskazuje, że Koalicja 13 grudnia planuje wprowadzanie symbolicznych elementów podziału Polaków w ramach scenariusza napisanego na wiele lat do przodu. I wykazuje przy tym bardzo dużo bezwzględności i skłonności do tworzenia bardzo brzemiennych w skutki podziałów społecznych.

NOWY PATRON

Konkretna nazwa dla części placu, która będzie poświęcona pamięci ofiary samospalenia, ma być wybrana tuż po 7 kwietnia, na pierwszym posiedzeniu nowej Rady Warszawy. Takie deklaracje nie tylko pokazują, że PO jest przekonana, iż po wyborach 7 kwietnia zdominuje ten organ samorządowy Warszawy, lecz także jest demonstracją tego, jak bardzo ważny temat jest to dla obozu PO. Kończąca swoją obecną kadencję szefowa Rady Warszawy Ewa Malinowska-Grupińska poinformowała dziennikarzy o podzieleniu terenów przed Pałacem Kultury według nowego nazewnictwa. „Żeby nie zmieniać adresów setek instytucji działających w Pałacu Kultury, (nazwa) plac Defilad pozostanie bezpośrednio przed jego wejściem. Patronem urządzonej od nowa przestrzeni (w domyśle – przed pałacem) zostanie zaś Piotr Szczęsny, który zmarł w 2017 r., po kilku dniach od samospalenia przy trybunie. Był to jego proces przeciwko niszczeniu demokracji przez rząd PiS".

Malinowska-Grupińska to żona jednego z czołowych polityków PO, Rafała Grupińskiego. Jej wypowiedzi można więc uznać za miarodajne dla poglądów czołówki tej partii. „To jest dla nas bardzo ważny temat" – zaznaczyła przewodnicząca Rady Warszawy. „Na pewno chcemy uczcić Piotra Szczęsnego. Jego samospalenie nastąpiło akurat w trakcie obrad komisji konkursowej, która wybierała projekt nowego placu (defilad). Piotr Szczęsny będzie upamiętniony w jego nazwie".

Warto przypomnieć, że Piotr Szczęsny zmarł 29 października 2017 r. Przez siedem lat Rada Warszawy nie podjęła w kwestii jego upamiętnienia żadnej decyzji. Dlaczego robi to dopiero teraz i dlaczego uznaje sprawę za tak ważną, że to właśnie ona ma według planów Malinowskiej-Grupińskiej być pierwszą kwestią rozpatrywaną przez nową radę miasta?

CAŁY CIĄG MĘCZENNIKÓW

Wiele wskazuje na to, że uczczenie Piotra Szczęsnego jest elementem całego przemyślanego planu stworzenia panteonu ofiar walki o demokrację. Swoistego projektu pedagogicznego mającego na dekady piętnować epokę rządów PiS i tworzyć podział na obóz politycznego dobra i obóz politycznego zła. Nie jest to nowy projekt. Po upadku komunizmu w 1989 r. redaktor naczelny „Gazety Wyborczej" Adam Michnik wielokrotnie wzywał, by odłożyć do lamusa podział na linii obóz postkomunistyczny – obóz byłej opozycji antykomunistycznej. W to miejsce miał wejść podział odnoszący się do tradycji walki o demokrację z lat 20. i 30. XX w. Według Michnika bitwę mieli stoczyć między sobą obywatele utożsamiający się z pamięcią o Gabrielu Narutowiczu, zamordowanym skrytobójczo pierwszym prezydencie odrodzonej Rzeczypospolitej, i obóz spadkobierców jego zabójcy Eligiusza Niewiadomskiego, utożsamianego przez naczelnego „Wyborczej" z obozem endecji.

I nie było problemem dla Michnika, że nawiązywał do tego podziału w latach 2015–2023, gdy główna linia sporu politycznego dzieliła Platformę i PiS. Dla Michnika nieważne było, że partia Jarosława Kaczyńskiego nie tylko nigdy nie sławiła Eligiusza Niewiadomskiego, lecz także nigdy nie nawiązywała do tradycji Narodowej Demokracji. Jeśli Porozumienie Centrum, a potem Prawo i Sprawiedliwość jakoś sytuowano na mapie przedwojennych tradycji, to zazwyczaj sugerowano, że są one spadkobiercami tradycji piłsudczykowskich. Ale dla Michnika wszelkie takie niuanse były mało ważne w sytuacji, gdy trzeba było skonstruować przemawiający do emocji podział na dobro absolutne i zło absolutne.

Dziś politycy PO wyraźnie zdają się nawiązywać do tego wzorca. Czynią to pomimo tego, że w okolicznościach śmierci Piotra Szczęsnego trudnym do pominięcia czynnikiem było niezrównoważenie psychiczne ofiary. W kolejnej sprawie przywoływanej jako dowód moralnej podłości PiS – zabójstwa prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza – sąd nie dopatrzył się żadnej okoliczności wskazującej na związek między czynem szaleńca a aktywnością partii Jarosława Kaczyńskiego. A mimo to zarówno politycy PO, jak i media wspierające tę partię twardo lansują tezę o Adamowiczu jako ofierze PiS.

Najnowszym przykładem tego typu perswazji jest rozmowa dziennikarza „GW" Jarosława Kurskiego z 29 marca br. z byłym rzecznikiem Adamowicza – Antonim Pawlakiem – pod znamiennym tytułem: „Oni obrali sobie Pawła Adamowicza za cel". W wywiadzie tym obaj panowie na zmianę utwierdzają się w przekonaniu o rzekomym politycznym planie zgładzenia gospodarza metropolii nad Motławą. Zaczyna Jarosław Kurski: „Paweł był niekonfliktowy, poglądy polityczne miał

umiarkowane, a mimo to padł ofiarą niszczącej nagonki. W konsekwencji został zamordowany. Tło polityczne jest dla mnie bezsporne. Dlaczego trafiło akurat na Adamowicza?". Antoni Pawlak podejmuje temat i rozwija zasugerowane mu wątki: „Bo robił wszystko to, czego PiS nie lubi. Był niezależny i niesterowalny. Gdy niepisowski jeszcze Trybunał Konstytucyjny wystąpił w 2016 r. do rządu Szydło o budżet na obchody swojej rocznicy – oczywiście dostał odmowę. Wtedy Paweł zaprosił wszystkich sędziów Trybunału do Gdańska i zrobiliśmy te obchody w Dworze Artusa – w wolnym mieście Gdańsku. Dla PiS było to upokorzenie. Potem zaczął uczestniczyć w działaniach prodemokratycznych, w marszach równości, demonstracjach w obronie niezależności sądów, stworzył program równościowy, otworzył się na społeczność LGBT+ i na uchodźców (Miejski Program Integracji Emigrantów). Jedna i druga społeczność była diabolizowana przez PiS i propagandę".

Zwróćmy uwagę na metodę manipulowania rzeczywistością z lat rządów Adamowicza. Prezydent Gdańska przedstawiany jest jako polityk niekonfliktowy z umiarkowanymi poglądami politycznymi, który mimo to pada ofiarą niszczącej nagonki. Pominięcie wielu przesłanek, które prowadziły prokuraturę do badania słynnej sprawy niezliczonych mieszkań prezydenta Gdańska, pozwala tworzyć pozorną antynomię: pokojowy prezydent i niezrozumiała krytyka, a cały ten bardzo zwodniczy związek przyczynowo-skutkowy puentowany jest stwierdzeniem: „w konsekwencji został zamordowany", a „tło polityczne jest bezsporne". Bezsporne dla duetu Jarosław Kurski – Antoni Pawlak. Ale dla dużej części gdańszczan owo tło tak bezsporne znowu nie jest. Tyle że w sytuacji posiadania znaczącej przewagi medialno-propagandowej można tezę o „bezspornie politycznym tle mordu" narzucać na zasadzie częstotliwości powtarzania tezy i tworzeniu wrażenia, że ludzie racjonalni tak sądzą, a przeczą temu jedynie osoby moralnie podejrzane.

KTO JESZCZE DO PANTEONU?

Wyraziste instrumentalizowanie śmierci Piotra Szczęsnego i Pawła Adamowicza przez Platformę skłoniło do podobnej inicjatywy polityków Nowej Lewicy. Gdy po ostatnich, budzących spore wątpliwości prawne rewizjach u Zbigniewa Ziobry i paru innych polityków Suwerennej Polski politycy Zjednoczonej Prawicy głośno protestowali – głos postanowił zabrać Włodzimierz Cimoszewicz, były premier SLD z lat 90. Przypomniał on sprawę Barbary Blidy, która zginęła 25 kwietnia 2007 r. – po tym, jak do jej domu weszło ABW z nakazem zatrzymania. W sprawie tej wydany został werdykt sądu, który w tragicznym incydencie nie dopatrzył się żadnych cech politycznego mordu. Nie przeszkadza to jednak Cimoszewiczowi odgrzewać insynuacji o krwi na rękach polityków prawicy. Cimoszewicz w trakcie wywiadu w TVN mówił: „Ci politycy PiS, którzy głośno protestują (w sprawie Ziobry), powinni pamiętać o jednym i w związku z tym milczeć. Powinni pamiętać o tym, co zrobili Barbarze Blidzie. I to mówię już jako człowiek, nie jako były prokurator generalny: na moje współczucie oni liczyć nie mogą".

Charakterystyczne jest, że prowadząca wywiad Anita Werner nie odniosła się krytycznie do insynuacji Cimoszewicza wiążących śmierć Blidy z politykami PiS, tylko poprosiła go o przypomnienie sprawy byłej minister w jego rządzie. Cimoszewicz z okazji skorzystał i ogłosił: „Oficjalna wersja mówi o samobójstwie. Ja przyznaję szczerze, że nie jestem o tym przekonany do dzisiaj. Ponieważ znikały dowody i zacierano ślady w tej sprawie".

Zauważmy, że Cimoszewicz nie podał żadnych dowodów, że nie doszło do samobójstwa, z wyjątkiem swego osobistego przekonania. A prowadząca z nim rozmowę dziennikarka TVN zrobiła wszystko, by mógł on swoje insynuacje głosić bez skontrowania ich przypomnieniem, że sąd uznał, iż do samobójstwa doszło.

Linią Cimoszewicza postanowił pójść obecny lider Lewicy Włodzimierz Czarzasty. W czasie niedawnej konferencji prasowej w Sieradzu Czarzasty ogłosił, że w jego opinii Barbara Blida nie popełniła samobójstwa i – jak dodał – im bardziej obserwuje działania osób związanych z Suwerenną Polską, tym bardziej jest przekonany do swojej tezy. Czarzasty zapowiedział, że zwróci się do ministra Adama Bodnara i poprosi go o rozmowę w sprawie przemyślenia oraz przeanalizowania możliwości powrotu do wznowienia postępowania prokuratorskiego w tej sprawie.

Trzeci koalicjant obecnego rządu, czyli Trzecia Droga, nie dysponuje na razie żadnym swoim kandydatem na ofiarę PiS. Ale Hołownia w trakcie kampanii wyborczej do Sejmu wielokrotnie nawiązywał do sprawy samobójstwa Mikołaja Filiksa, syna działaczki KOD Magdaleny Filiks. Politycy PO głosili, że samo ujawnienie, iż Mikołaj Filiks jest synem parlamentarzystki, bez określania z jakiej partii, miało przyczynić się do tego, że targnął się na swoje życie. Sprawa jest dyskusyjna, ale nadaje się do wykreowania nowego męczennika.

PODZIAŁ NA PIEKŁO I NIEBO

Jak słusznie zauważył mój kolega po piórze Rafał A. Ziemkiewicz, PiS w ciągu ostatnich ośmiu lat nie uległ pokusie używania na swoje potrzeby mitologii własnych ofiar konfliktu politycznego. Nie zniżył się do używania przeciwko Platformie tragedii Andrzeja Żydka, który we wrześniu 2011 r. dokonał samospalenia przed kancelarią rządu Donalda Tuska, oskarżając ówczesną ekipę o opieszałość i brak zainteresowania jego tragiczną sytuacją życiową. Nie wykorzystał też śmierci asystenta posła PiS w Łodzi Marka Rosiaka 19 października 2010 r., mimo że sprawca otwarcie demonstrował swoją nienawiść wobec prawicy. I wreszcie PiS nie wykorzystał propagandowo śmierci Pawła Kulczaka, ugodzonego nożem za obronę marszu smoleńskiego. Kulczak pozostawił żonę i osierocił troje dzieci.

We wszystkich tych wpadkach część polityków PiS uważała, że trzeba te tragiczne wydarzenia wykorzystywać w politycznej walce. We wszystkich trzech wypadkach Jarosław Kaczyński stawiał weto. Ta różnica między postępowaniem największej partii opozycyjnej a determinacją Koalicji 13 grudnia z czasem stawać się będzie coraz bardziej jaskrawa. Ale jeśli politycy PO, lewicy czy Trzeciej Drogi zechcą wprowadzać zmanipulowaną legendę o ofiarach PiS, to mają do wykorzystania wiele narzędzi. Od rozmaitych inicjatyw, które mogą realizować w szkołach na polecenie kuratoriów, do inicjatyw samorządów lokalnych. We wszystkich tych wypadkach wystarczy skupiać się na rzekomo oddaniu hołdu ofiarom tragedii. Polityczne wskazywanie winnych może już być traktowane domyślnie. Idealnie w tej roli mogą sprawdzić się sprzyjające centrolewicy media. I to one właśnie mogą być głównym wykonawcą i kreatorem kultu ofiar demokracji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Szef fundacji Profeto, ks. Michał Olszewski, został tymczasowo aresztowany FOT. W. OLKUŚNIK/EAST NEWS

Plotką i hejtem



Zuzanna Dąbrowska

Niedawna akcja ABW wobec polityków Suwerennej Polski oraz osób mających związki z Funduszem Sprawiedliwości dobitnie pokazała, że puściły wszelkie hamulce. Gdy trzeba dopaść przeciwnika, wszystkie chwyty są dozwolone

Akcja prokuratury w sprawie wykorzystania pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości (100 mln zł). Według moich nieoficjalnych informacji jedną z osób, duchownego, zatrzymano nie w klasztorze, a w hotelu. Przebywał tam w towarzystwie kobiety" – taki wpis opublikowała w mediach społecznościowych Justyna Dobrosz-Oracz z TVP Info (wcześniej przez wiele lat zatrudniona w „Gazecie Wyborczej"). Wpis pojawił się w dniu „nalotu" służb na mieszkania posłów Suwerennej Polski, a także na trzy lokalizacje związane z zakonem sercanów: dom prowincjalny w Warszawie, klasztor w Stopnicy oraz siedzibę fundacji Profeto. Wspomniany przez Dobrosz-Oracz duchowny to szef fundacji, ks. Michał Olszewski. Profeto uzyskała dofinansowanie z Funduszu Sprawiedliwości na budowę na warszawskim Wilanowie centrum pomocy ofiarom przestępstw.

To nie jest inwestycja widmo. Zbudowano już centrum, imponujących rozmiarów, jednak wstrzymano środki z resortu na wykończenie i wyposażenie inwestycji. Kapłan trafił do aresztu na trzy miesiące i usłyszał zarzuty z art. 231 i 296 Kodeksu karnego – ten pierwszy odnosi się do funkcjonariuszy publicznych, którzy działają na szkodę interesu publicznego lub prywatnego (osobnym pytaniem jest, dlaczego katolickiego księdza, szefa fundacji, uznano za funkcjonariusza publicznego?); drugi kryminalizuje wyrządzenie znacznej szkody majątkowej związane z nadużyciem uprawnień lub niedopełnieniem obowiązku.

LICZY SIĘ EFEKT

Ksiądz Olszewski, który już wcześniej był przedstawiany w lewicowo-liberalnych mediach – szczególnie na portalu OKO.press i w stacji TVN24 – jako akolita

poprzedniej władzy o zerowych kompetencjach do pomocy ofiarom przestępstw, teraz stał się wrogiem publicznym numer dwa (bo miejsce pierwsze należy do Zbigniewa Ziobry, o czym dalej). Jednak plotkarski, kłamliwy wpis Dobrosz-Oracz stanowi dowód na to, że w politycznej wojnie nie ma już granic nie do przekroczenia. Krytykom działalności fundacji Profeto nie wystarczy, że jej szef trafił do aresztu i znalazł się na celowniku neoprokuratury. Celem jest całkowite zaszczucie i ośmieszenie ks. Olszewskiego, stąd fake news o zatrzymaniu go w hotelu z kobietą. Pełnomocnik sercanina poinformował, że duchownego zatrzymano „w domu rodzinnym jednego z pracowników Radia Profeto, gdzie spędzał noc, gdyż bardzo późno zakończył swoje obowiązki (mamy Wielki Tydzień) i nie mógł o »normalnej« porze wrócić do klasztoru... nie był na wyjeździe w żadnym »SPA«, »hotelu«, »willi«" – podkreślił mec. Krzysztof Wąsowski. „Nocował u znajomych na poddaszu, SAMOTNIE (nie kryję, że z dużym oburzeniem dowiaduję się o pojawiających się w prasie manipulacjach i sugestiach niemal »romansowych« ks. Michała). Z uzyskanych przeze mnie informacji wynika, że takie sugestie są nieprawdziwe…" – podał na portalu X. Ponadto mecenas przekazał, że utrudniano mu dostęp do klienta, a akta sprawy dostał tylko na pół godziny (miały być niekompletne).

Efekt został jednak osiągnięty. Wpis dziennikarki TVP Info wywołał falę antykościelnych komentarzy, których autorzy z zadowoleniem utwierdzili się w przekonaniu, że Kościół to zło, a księża to hipokryci. Co ciekawe, to samo kłamstwo dotyczące ks. Michała Olszewskiego, również za anonimowym źródłem, podał Kamil Dziubka z Onetu. „Jeden z zatrzymanych to duchowny, który został zlokalizowany przez służby nie w klasztorze, ale w jednym z hoteli, gdzie przebywał prywatnie w towarzystwie jeszcze jednej osoby…" – napisał na portalu X. Nie musiał pisać, że ma chodzić o kobietę; zastosowany wielokropek był nad wyraz sugestywny. „Pan ksiądz aresztowany na trzy miesiące. Każdy inny, wszyscy równi. Tak powinno być zawsze" – triumfuje poseł Lewicy Tomasz Trela.

O ile porównywanie władzy do aparatu PRL to sztuczka stosowana przez opozycję od lat (robiła to Platforma Obywatelska, robił i nadal robi to PiS), przez obie strony sceny politycznej, o tyle w kontekście medialnej nagonki na ks. Olszewskiego wydaje się adekwatne. „Jak się czujecie zredukowani do dziennikarskiej klasy zespołu redakcyjnego »Żołnierza Wolności« ad. circa 1983, zadaniowanych przez Urbana i SB?" – pytał Justynę Dobrosz-Oracz i Kamila Dziubkę Paweł Szrot z PiS. Dziennikarze swoich rewelacji nie zdementowali ani tym bardziej nie przeprosili.

Być może nie chcą tego robić. Jednocześnie wysoce prawdopodobne, że po prostu nie muszą. Atmosfera wokół działań służb, w której tworzeniu ogromny udział miały władze państwowe, po prostu daje przyzwolenie na sięganie po najbardziej prymitywne narzędzia. Sam premier podgrzał oczekiwania, publikując kilka dni przed akcją ABW wpis: „Zostawili nam rekordowy dług, wszechobecną korupcję, zdeprawowane media, partyjną prokuraturę, chaos w sądach, tysiące krewnych i znajomych w spółkach, bałagan w rolnictwie, skompromitowaną dyplomację, wetującego prezydenta i partyjniaka w NBP. Kończymy porządki i przyspieszamy!". To w kontekście nieudolnej realizacji „100 konkretów na 100 dni".

ZIOBRO NA CELOWNIKU

Obok plotki zastosowano hejt, wykorzystując zapotrzebowanie na polityczne odegranie się, które dla wielu zwolenników rządu Tuska jest najważniejszym „konkretem". Nienawiść skierowano głównie w stronę byłego ministra sprawiedliwości. Wieczorem, w dniu przeszukania domu we wsi Jeruzal w województwie łódzkim, Zbigniew Ziobro pojawił się na miejscu. Wbrew zaleceniom lekarzy i de facto wbrew ich sprzeciwowi polityk przerwał leczenie onkologiczne. Wyraźnie osłabiony wyszedł do dziennikarzy. Trudno było nie dostrzec pooperacyjnych śladów na jego szyi i nie usłyszeć odmienionego głosu. Szef Suwerennej Polski przekazał, że ma za sobą ciężką operację przełyku. – Okazało się, że z przyczyn anatomicznych jest ona niemożliwa do zakończenia.

Chirurg zdecydował się więc na tzw. torakotomię tylno-boczną – poinformował. To jednak nie sprawiło, że udało się przekonać najbardziej zajadłych wrogów Ziobry o jego chorobie. „Zbyszku, jak ja się cieszę, że postanowiłeś nadrobić zaległe podróże! To piękny obyczaj, aby tydzień po ciężkiej operacji pozwiedzać nieco obce kraje. Podróże bowiem kształcą – głosi stare przysłowie. A jakbyś się gdzieś zgubił, to się nie martw: znajdziemy się" – napisał w serwisie X, niby to żartobliwie, poseł KO Roman Giertych.

Co ciekawe, wpis bardzo szybko zniknął, stanowił jednak dodatkową wodę na młyn politycznych kibiców ekipy Donalda Tuska, czekających na igrzyska rozliczeń. „Ziobro w Polsce chce brać opinię publiczną na litość" – to z kolei komentarz poseł Katarzyny Kierzek-Koperskiej (KO), byłej wiceprezydent Poznania. Do chóru wątpiących w powagę sytuacji dołączyła po akcji służb pisarka Katarzyna Grochola. „Casus Zbigniewa Ziobry to casus człowieka, który cały czas kłamie. Naraz okazuje się, że jest chory i nikt mu nie wierzy. Nie wiem, czy on rzeczywiście jest chory czy nie, osobiście nie widziałam go w szpitalu" – stwierdziła w wywiadzie dla „Wprost". Grochola życzy byłemu ministrowi, by „jako człowiek zdrowy mógł stanąć przed sądem za niszczenie polskiego prawa". „Myślę, że pan Ziobro absolutnie mógłby się posunąć do każdej manipulacji, nawet do takiej, że jest chory" – stwierdza, wpisując się w narrację narzuconą kilka tygodni temu przez Elizę Michalik (stwierdziła, że choroba to strategia, i dodała, że jeśli się myli i „Ziobro umrze", to ona „bardzo przeprosi"). Pisarka snuje dalej rozważania, w których sugeruje, że nawet jeżeli Zbigniew Ziobro jest chory, to choroba ta nie zmieni go jako człowieka, ponieważ ciężka choroba zmienia tylko „dobrych ludzi". „Podobnie jak choćby spotkanie na ulicy z psem, z dzieckiem, z drugim człowiekiem. Choroba zbliża ze strachu przed śmiercią tych, którzy wierzą, tych, którzy nie wierzą nikt i nic nigdy nie zbliży, oprócz łaski stamtąd. Ale strach jest tak samo dobrą motywacją, jak wszystkie inne" – przekonuje antypisowska celebrytka.

Warto odnotować, że hejterskie ataki na Zbigniewa Ziobrę, w kontekście działań ABW wobec Funduszu Sprawiedliwości, starał się uciąć marszałek Sejmu. – Bardzo mu współczuję stanu, w którym jest, bo to jest stan bardzo poważny – powiedział Szymon Hołownia, odnosząc się do choroby byłego ministra. Dodał, że „każdy, kto twierdzi, że symuluje chorobę, powinien się opamiętać".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Jackiem Staniszewskim, nauczycielem historii, dyrektorem Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego DobraTu w Warszawie
rozmawia Łukasz Zboralski

Nie da się uczyć tylko na lekcjach

FOT. ADOBE STOCK

ŁUKASZ ZBORALSKI: Czy w polskiej szkole w ogóle istniał problem z zadaniami domowymi? A jeśli tak, to na czym polegał?

JACEK STANISZEWSKI: Oczywiście istniał. Wielu uczniów i wiele uczennic skarżyło się na to, że siedzą w domu do nocy i wykonują prace domowe polegające na wypełnianiu np. zeszytów ćwiczeń. I to były skargi prawdziwe. Bardzo wielu nauczycieli zadawało bowiem pracę domową trochę z marszu, czasem bez przemyślenia. Uznawało, że skoro robimy np. rozdział 14. w podręczniku, to trzeba wykonać zadania do tego działu z zeszytu ćwiczeń. To powodowało, że gdy skumulowały się tego rodzaju prace domowe z wielu przedmiotów, to rzeczywiście dzieci w domu miały mało czasu dla siebie. Z drugiej strony przytłoczone takimi pracami wykonywały je mechanicznie albo po prostu ściągały.

Podsumowując: polski problem polega na tym, że uczniowie dostają od nauczyciela pracę do wykonania w domu, a nauczyciel nie bardzo przemyślał to, do czego ta praca ma służyć.

No to weszła w życie zmiana prawa. Prace domowe są już tylko dla chętnych, bez oceniania. Czy to nie jest próba rozwiązania rzeczywistego problemu za pomocą siekiery?

Ja to odbieram tak, że nauczycielom narzucono rozwiązanie, które już dawno istniało. Bo ja od dawna tak z pracami domowymi działam w szkole. Nie robię problemu, gdy ktoś nie odrobi pracy domowej. Jednak zadaję je w taki sposób, że uczeń sam szybko wpada na to, iż nie opłaca się mu ignorowanie pracy w domu, bo bez tego się źle czuje i nie pracuje u mnie na następnej lekcji, nie ma pewnego podłoża do tego. Bo prace domowe u mnie są albo utrwaleniem czegoś ważnego, albo pomocą w tym, by lepiej pracować na kolejnych lekcjach.

Teraz po prostu mamy próbę siłowego wpłynięcia na tych nauczycieli, którzy nie do końca rozumieli, że można uczyć inaczej i inaczej też planować pracę ucznia w domu. Oni często zadawali prace po skończeniu jakiegoś materiału, bez zastanawiania się, czy to kiedykolwiek dalej będzie potrzebne. Ponadto, ponieważ podstawy programowe są jednak przeładowane, czasem zrzucali na barki uczniów własną pracę, czyli części rzeczy kazali im nauczyć się samym.

Popatrzmy jednak na dzisiejsze szkoły publiczne. Dzieci dostały właśnie sygnał „nie musisz odrabiać prac domowych". Nie obawia się pan, że część z nich właśnie przestanie je w ogóle robić? Bo nie będzie tu chodzić tylko o takie nadmiarowe zasypywanie uczniów zadaniami, tylko przecież też np. o nabywanie pewnej sprawności rachunkowej w matematyce, której bez pewnej pracy nie da się dobrze opanować.

Wszystko zależy znów od nauczycieli. Bo albo będą szukali jakiegoś sposobu na obejście tego przepisu, albo machną ręką i wcale nie będą zadawali nic do domu.

Ja bym jednak trochę wierzył w uczniów. Są oczywiście wyjątki, ale jest wielu takich, którzy lubią pracować w domu i sobie coś powtarzać – jednak pod warunkiem, że znajdują sens takiej pracy.

Co to znaczy, że widzą sens pracy?

Ano to, że takiej pracy nie jest dużo i że dziecko nie boi się przynieść pracy źle zrobionej. Także to, że praca trafia w umiejętności tego ucznia. Trochę tu się nam kłania indywidualizacja nauczania.

Indywidualizacja zadań domowych, gdy w publicznej placówce nauczyciel ma 30-osobową klasę?

Indywidualizacja nigdy nie polegała na tym, że każdemu spośród 30 uczniów w klasie daje się 30 różnych zdań. W każdej klasie jest taki mocny środek, elita i ogon. Mamy co najmniej trzy poziomy nauczania. Nie widzę problemu w tym, żeby np. nauczyciel matematyki zadał 10 zadań i żeby trzy, cztery były obowiązkowe. Może powiedzieć, kto ma zrobić trzy pierwsze, trzy kolejne i trzy ostatnie – jeśli będzie stopniowana trudność. Bo jaki jest sens, by uczeń, który świetnie dodaje, robił 20 zadań z dodawania, które niczego go nie nauczą, ale zmęczą w momencie, gdy zabierał będzie się do zadań trudniejszych?

Trzeba zatem przemyśleć prace domowe, a nie od nich odstępować. No i jak tak spojrzymy na to, co wprowadził teraz rząd, to rzeczywiście można powiedzieć o pewnym ciosaniu siekierą… Bo lepiej było przekonać nauczycieli do takich prac domowych, w których uczniowie zobaczą sens, i do takiego ich omawiania, które nie rodzi lęku. Uczeń nie powinien w lęku przed oceną przepisywać gotowych rozwiązań, ale móc dowiedzieć się od nauczyciela, z czym sobie radzi, a z czym jeszcze nie.

Z pana słów przebija wiara w rozsądne dzieci i w nauczycieli, o których powiedzieliśmy przed chwilą, że masowo źle zadawali prace domowe. Nie ma obaw, że po prostu przestaną zadawać albo będą zadawać „dla chętnych" nadal masowo i bez przemyślenia?

Oczywiście mam takie obawy. Widzę, że zaplanowano w sumie coś dobrego, jednak wprowadzono to metodą, która – obym się mylił – może po prostu spowodować spustoszenie. Bo nauczyciele, których nikt nie nauczył zadawać dobrze prac, albo myślący, że sprawiedliwie to jest zadawać wszystkim uczniom to samo i tyle samo, mogą poczuć się dziś zagubieni i z tego wszystkiego wyjdzie coś niedobrego.

Ja już mam takie rozmowy w podstawówce z uczniami, którzy przychodzą do mnie i mówią: „A pani zadała nam zadanie domowe, to przecież już jest nielegalne!".

I jak pan odpowiada?

Że to cały czas legalne. Bo u mnie akurat zawsze była to praca dla chętnych. To naprawdę działa, uczniowie uczą się, że dobrze jest je robić.

W szkołach publicznych nauczyciele mają więcej wątpliwości po zmianie prawa.

Nie dziwię się. Tak się sam zastanawiam: gdy zadam pracę dla chętnych, ale zapowiem, że piątkę dostanie ten, który zrobi co najmniej dwie trzecie zadań, to łamię prawo czy nie?

To poważny problem tej zmiany. Prace domowe nie mają być oceniane. To by oznaczało, że nawet jak chętne dzieci zrobią pracę, to nie można jej z nimi omówić.

Problem powstał chyba przez to, że mylimy ocenianie z oceną cząstkową. Ocenianiem jest każdy komentarz do pracy ucznia. Oceniam, gdy mówię: „Świetnie, zaskoczyłeś mnie" albo: „Zrobiłeś to po macoszemu".

Nie wyobrażam sobie nie dać oceny uczniowi za to, co zrobił. Bo bez tego on się niczego nie nauczy. To jest przecież podstawa dydaktyki. Jeśli daje się dziecku zadanie, to – po pierwsze – należy określić kryteria sukcesu, a po drugie – dać informację, które kryteria tego sukcesu zostały osiągnięte i w jakim stopniu.

Czytając sobie wszystkie komentarze na temat tej zmiany z pracami domowymi w szkole, zacząłem podejrzewać, że tak naprawdę chodziło chyba o coś innego. Ukazała się niedawno taka infografika Ministerstwa Edukacji Narodowej, na której twierdzi się, że teraz uczniowie będą mieli więcej czasu na swoje zainteresowania, czytanie książek i na naukę do sprawdzianów. A przecież uczenie się do sprawdzianu to jest forma pracy domowej! Zatem tak naprawdę zaczynam podejrzewać, że MEN chodziło dokładnie o to, by nie zadawać zadań pisemnych do domu i nie stawiać za nie ocen cząstkowych. Może chodziło o dobrą rzecz, żeby np. na artystycznych przedmiotach dzieci w domu nie przepisywały nut arcydzieł, żeby nauka była też dla nich ciekawą zabawą, a nie mozołem i piekłem, w którym nie widzą sensu.

Jeśli o to chodziło, to niezbyt fortunnie zostało to przekazane. Bo czy czytanie lektur nie będzie jednak pracą domową? I czy nauczyciel już nie będzie mógł sprawdzić, nawet na ocenę, kto przeczytał książkę?

No właśnie. A kiedy dziecko ma się nauczyć czasowników nieregularnych z angielskiego? Ma zostać po lekcjach w szkole? I czy będziemy czytali lektury tylko na lekcjach? Nie da się uczyć wyłącznie na lekcjach. I nikt z nas tak się niczego nie nauczył. Trzeba czasem usiąść samotnie i coś samemu zrozumieć, utrwalić.

To chyba problem tego, że ministerstwo zmieniło kwestię prac domowych, a jednocześnie nigdzie nie przeczytałem tego, jak resort pracę domową definiuje.

Jaka więc powinna być dobra praca domowa? Poradźmy nauczycielom.

Musi w głowie nauczyciela być jasno sprecyzowany cel dydaktyczny – albo przygotowanie do następnych zajęć, albo w mądry sposób utrwalanie tego, co się dziecku przekazało. Ponadto praca domowa powinna być dopasowana do ucznia, powinny być różne wersje zadań wymagające więcej lub mniej, bo uczniowie są od siebie różni. Ja po prostu mówię uczniom: „Zrób te zadania, co do których jesteś na 100 proc. pewny, że zrobisz je dobrze". I wtedy jestem pewny, że zrobią to naprawdę samodzielnie. Zyskuję też to, że przychodzą do mnie, bo podjęli się trudniejszego zadania, ale nie boją się pokazać swojej porażki.

Dobrze by było, żeby nawet tak wprowadzona zmiana w szkole spowodowała, że w ten sposób będzie się pracować z dziećmi. Tylko czy nauczyciele w obecnym publicznym systemie, niemal fabryki, znajdą na to czas?

Nie wiem. Mam nadzieję. Tu widać, jaka szkoda, że taka zmiana wprowadzona jest nagle od kwietnia, a nie od września. Byłby czas na przekazanie nauczycielom, jak można inaczej zadawać zadania domowe, pomóc im w tym.

Ostatecznie widzę dobry kierunek, ale obawiam się efektów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Staniszewski *– nauczyciel historii, dyrektor DobraTu Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego im. Tosi Kozłowskiej w Warszawie.*



Wiesław Chełminiak

Wielkie dni awangardy

Od kubizmu do abstrakcji. Sto lat temu sztuka zmieniała się tak szybko, że trudno było za nią nadążyć

Ziemski raj, „święte miejsce naszych czasów", mekka zakochanych, kuźnia talentów, wyrocznia mody i dobrego smaku. Dekadencka metropolia, tolerująca zakazane gdzie indziej praktyki, w której brukowce kształtują opinie i są postrachem polityków. Europejska stolica luksusu, włóczęgów, żebraków oraz uchodźców. Po „Paryżu romantycznym" i „Paryżu 1900" Petit Palais zaprasza do Paryża nowoczesnego.

Wystawa celebruje lata 1905–1925, w których Francja żyła złudzeniami, a miarą wartości dzieła sztuki stała się oryginalność. Kuratorzy, jakby dla kontrastu, zaskoczyli konserwatyzmem. Nie próbują zmieniać hierarchii, obalać pomników ani wznosić nowych. Zaskakuje co najwyżej to, że wśród zgromadzonych w Petit Palais prac Modiglianiego nie ma ani jednego aktu. W sumie eksponatów jest 400. Większość pochodzi z paryskich zbiorów i muzeum w Grenoble, które jako pierwsze w kraju zaczęło kolekcjonować sztukę XX w.

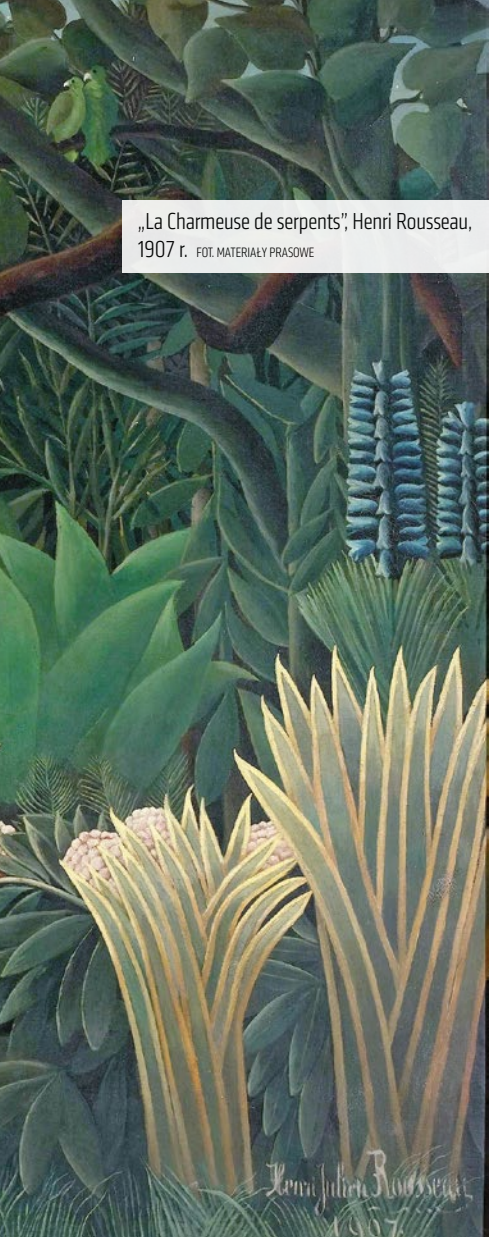
INŻYNIER, CZYLI DZIKUS

Już w XIX w. narastało przekonanie, że malarstwo i rzeźba znalazły się w impasie. Młodzi artyści, którzy nie mieli jeszcze nic do stracenia, wzywali do wyjścia z cienia dawnych mistrzów i szukania nowych źródeł natchnienia (Picasso z właściwą sobie skromnością twierdził, że nie szuka, tylko znajduje). Kult przeszłości miała zastąpić wiara w przyszłość. Za najlepszą strategię twórczą uznano skrajny subiektywizm. Oczywiście pochód awangardy napotykał przeszkody, z których największą był gust publiczności. Jej głos ucichł jednak, gdy na stronę eksperymentatorów przeszli krytycy.

Sztuka, pragnąca znaleźć się jak najbliżej „nowoczesnego życia", siłą rzeczy wchodziła w związki ze światem biznesu. Wielu artystów stało się designerami. Zaczynali od projektowania teatralnych kostiumów i scenografii, kończyli na upiększaniu nowobogackich rezydencji, klubów, hoteli, kasyn, wystaw i wnętrz sklepowych. Przepływ idei między sztuką, rzemiosłem oraz produkcją przemysłową tłumaczy obecność na wystawie biżuterii, flakonów perfum tudzież symboli nowej epoki, takich jak rower, automobil i samolot. Wychowankowie akademii pragnęli dorównać inżynierom w wynalazczości.

Modernizm nie spadł z nieba, miał prekursorów w odchodzącym pokoleniu. Kubistom kierunek wskazał Cézanne, prymitywiści czerpali z dorobku Gauguina. Oficjalnym źródłem natchnienia paryskiej awangardy były jednak artefakty, tworzone przez analfabetów, nieświadomych istnienia grecko-rzymskiego kanonu. Zwiedzających ekspozycję wita powiększone zdjęcie młodego Picassa. Jest rok 1908, Pablo poznał już smak sukcesu, jednak nie osiada na laurach. Intryguje go sztuka neolitu. Pracownię zdobią figurki afrykańskiej proweniencji. Brakuje tylko masek, które zawładnęły wyobraźnią Hiszpana, gdy malował „Panny z Awinionu". Obraz, okrzyknięty później ikoną XX w., pokazał tylko przyjaciołom. Ich krytyczne uwagi sprawiły, że na publiczną prezentację zgodził się dopiero po ośmiu latach.

Z Londynu sprowadzono na wystawę prawdziwy rarytas – „Głowę" Modiglianiego z wapienia. Nie tak dawno anonimowy oferent kupił na aukcji jej



„La Charmeuse de serpents", Henri Rousseau, 1907 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

bliźniaczkę „Tête" za ponad 43 mln euro. Amedeo tak jak Pablo inspirował się sztuką prymitywną, lecz gdy podupadł na zdrowiu musiał zamienić młotek na pędzel. Zachowało się tylko 25 skończonych rzeźb jego autorstwa lub te ledwie rozpoczęte.

OGON OSŁA

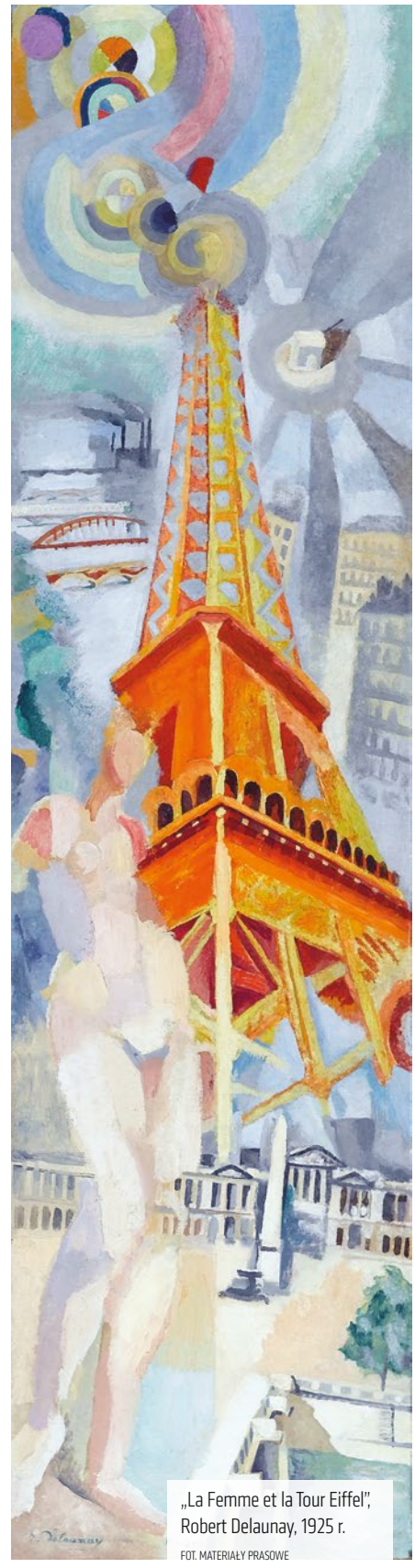
Naiwność przestała być wadą, co spowodowało wielkie zmiany w życiu Henri Rousseau zwanego Celnikiem. Z niedzielnego malarza nagle stał się drogowskazem. Kuratorzy umieścili jego „Wędkarzy" obok prac młodszego o 40 lat Roberta Delaunaya – pioniera abstrakcji, z którym się na starość zaprzyjaźnił. Historycy do dziś zastanawiają się, czy hołdy składane przez młodych samoukowi, należącemu do generacji, która wymyśliła impresjonizm, nie były aby szyderstwem. Sam Celnik przyjmował je z wrodzoną łatwowiernością. W rewanżu pochwalił Picassa, mówiąc: „Jesteśmy obaj największymi malarzami na świecie. Ty w stylu egipskim, ja zaś nowoczesnym".

Kontemplując zebrane w Petit Palais arcydzieła awangardy, łatwo przegapić obraz „Zachód słońca nad Adriatykiem" sygnowany nazwiskiem Joachima-Raphaëla Boronalego. Prawdziwym autorem był jednak osioł o imieniu Lolo. Właściciel zwierzęcia (i garkuchni często odwiedzanej przez artystów) namówiony przez złośliwego dziennikarza zgodził się pomóc w mistyfikacji. Ośli ogon posłużył jako pędzel. Płótno, wystawione w 1910 r. w Salonie Niezależnych, nie zrobiło furory, ale ktoś kupił je za 400 franków (równoważnik 1,2 tys. euro). Wtedy prowokator zdjął przyłbicę. Reportaż z powstania „Zachodu słońca", bogato ilustrowany zdjęciami, ucieszył ludzi przekonanych, że sztuka nowoczesna to żart albo oszustwo.

„Obfitość" Henri Le Fauconniera jest pamiątką kolejnego skandalu. Włodarze Salonu, przygarniając artystów deformatorów, przecenili otwartość paryżan na nowinki. Na Fauconniera i kolegów, okrzykniętych kubistami, spadły gromy. Picasso też się wściekł, gdyż uważał ich za cynicznych naśladowców. Georges Braque, prawdziwy akuszer kubizmu, znalazł się w cieniu, z którego nie raczyli go wydobyć kuratorzy wystawy. Po macoszemu potraktowano również Henri Matisse'a, lidera malarzy eksperymentujących z kolorami. A przecież to oni – fowiści – zasługują na miano pierwszych rebeliantów XX w.

POGODA DLA ETRANŻERÓW

Radykalizmem przebijali wszystkich włoscy futuryści. W 1909 r. „Le Figaro" opublikował (po francusku) ich manifest, wzywający do palenia bibliotek i zatopienia muzeów. Tekst kończyło buńczuczne wyznanie: „Stojąc na wierzchołku świata, rzucamy wyzwanie gwiazdom!". Cóż to oznaczało w praktyce? Carlo Carrà szukał plastycznej formy, która najlepiej oddawałaby energię przemysłowej metropolii. Zadomowiony nad Sekwaną Gino Severini uzyskiwał złudzenie ruchu, rozbijając świat na kawałki, składane potem

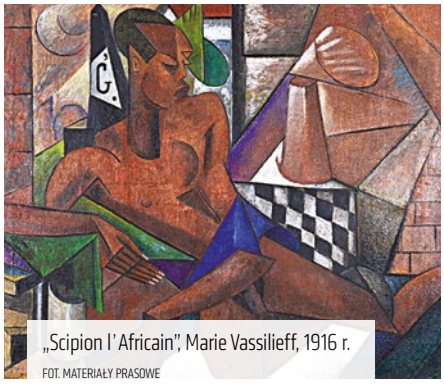


„La Femme et la Tour Eiffel", Robert Delaunay, 1925 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w innym porządku – jak w dziecięcym kalejdoskopie.

Dadaizm reprezentuje w Petit Palais Niemiec Max Ernst, abstrakcję – Belg Piet Mondrian. Co tu kryć, coraz większy wpływ na kulturowe oblicze Paryża mieli cudzoziemcy. Gospodarzom odpowiadała rola arbitrów, lecz i tu stracili monopol. Rzecznikiem awangardy mianował się literat Guillaume Apollinaire, syn włoskiego oficera i polskiej szlachcianki. Duszą towarzystwa – Jules Pascin, urodzony w bułgarskim Widyniu. Jego ojciec był Żydem hiszpańsko-sefardyjskim, a matka Serbowłoszką. Edukację artystyczną rozpoczął w Wiedniu.

Najwięksi mecenasi również pochodzili z zagranicy. O Gertrudzie Stein i milionerach z Ameryki, inwestujących



„Scipion l'Africain", Marie Vassilieff, 1916 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w sztukę, którą Europa przyjmowała z rezerwą, słyszał chyba każdy. Mniej znany jest fakt, że Siergiej Szczukin, kupiec z branży tekstylnej, tuż przed wybuchem wielkiej wojny dysponował najlepszą kolekcją dzieł Picassa.

Z nastaniem nowego stulecia kończy się epoka Montmartre – mekki malarzy. Teraz wypada mieszkać i pracować w Montparnasse. Peryferyjną wówczas dzielnicę upodobali sobie najpierw Niemcy, Skandynawowie i Brytyjczycy, a potem przybysze ze wschodnioeuropejskich sztetli. Tych ostatnich bieda lub oszczędność skłaniały do gnieżdżenia się w artystycznych komunach typu La Ruche.

Początki mieli trudne. Ekspresjonizm, któremu hołdowali, Francuzom kojarzył się z odwiecznym wrogiem, czyli Germanią. Co zdolniejsi szybko zdołali wypracować sobie własny styl, ale krytyka i tak wrzuciła wszystkich do jednego worka z napisem „szkoła paryska".

Sądząc z liczby wystawionych prac, najlepiej zniosła próbę czasu twórczość ekscentrycznego Japończyka Léonarda Foujity.

POŻEGNANIE Z GORSETEM

Wiek XX odziedziczył po poprzednikach słabość do muzyki. Gdy się zaczynał, wciąż modne były utwory neoromantyczne, lecz nad Sekwaną działali już twórcy optujący za zmianą. Z nowymi, prostszymi brzmieniami eksperymentował Erik Satie. Kompozytorzy z grupy Les Six natchnienia szukali w jazzie. Twórcy wystawy nie mogli też pominąć „Święta wiosny". Historyk Modris Eksteins uznał wszak paryską premierę baletu Strawińskiego (29 maja 1913 r.) za moment narodzin modernizmu.

Pozbawiona fabuły i melodii, hałaśliwa apoteoza pogańskiej Rusi nie od razu zdobyła serca melomanów. Recenzje były miażdżące. Pisano o kakofonii i obrazie dobrego smaku. Sztuka awangardowa miała nieuleczalną skłonność do prowokowania skandali. To, że scenografię i kostiumy do nowatorskich spektakli zamawiano u plastyków o rewolucyjnym temperamencie, należy więc uznać za oczywistą oczywistość.

„Świętą wiosnę" wystawiono w świeżo zbudowanym Théâtre des Champs-Élysées, który sam w sobie był wyzwaniem rzuconym tradycji. Budynek, prawie pozbawiony ozdób, wzniesiono ze stali i z betonu, zamiast z cegły i kamienia. Paryżanie nazwali ten styl niemieckim, niechcący przyznając, że duch innowacji znad Sekwany przeniósł się nad Ren i Sprewę. Przyszłość architektów, czerpiących natchnienie z przeszłości, zaczęła się rysować w ciemnych barwach.

Istniały jednak branże, w których Francuzi wciąż byli bezkonkurencyjni: ga-



„La mort et la femme", Marevna, 1917 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



stronomia, moda, rozrywka i tzw. sztuka życia. Nie przypadkiem jednym z bohaterów wystawy jest projektant Paul Poiret, który wyzwolił kobiety z niewoli gorsetów (po to, by spętać je wąskimi spódnicami). Miłośnik sztuki orientalnej, zwany „paszą Paryża", urządzał bale kostiumowe, na których bawiły się artystyczna bohema i złota młodzież. Bankructwo Poireta, geniusza autoreklamy, zwiastowało koniec epoki beztroski.

CHERCHEZ LA FEMME!

Posłuszni temu wezwaniu kuratorzy zadbali, by większość eksponatów miała związki z płcią piękną. Poczet modernistek otwiera Fernande Olivier. Pierwsza paryska muza Picassa pozowała również jego sąsiadom z Bateau-Lavoir. Pablo patrzył na to krzywym okiem, a gdy dowiedział się, że została modelką ulubieńca kobiet, Holendra Keesa van Dongena, zrobił lubej karczemną awanturę. Kochanka Modiglianiego Jeanne Hébuterne, mając lat 18, sama chciała zostać artystką. Pamiątką owych niespełnionych pragnień jest autoportret sprowadzony z Genewy.

Prace Marie Laurencin – flamy Apollinaire'a – dowodzą, że obcując z tuzami awangardy, można było zachować własny styl. W jej przypadku trochę przesłodzony. Mela Muter załapała się na wystawę tylko dlatego, że namalowała „Sudańczyków". Francuzi, odcinając się od rasistowskiej przeszłości, oddają hołd czarnoskórym żołnierzom, którzy walczyli i umierali za Republikę.



„La Danse du pan-pan", Gino Severini, 1911 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Po zawarciu przymierza z carem Paryż (ku zgrozie Polaków) oszalał na punkcie wszystkiego, co rosyjskie. Beneficjentkami tego zauroczenia były baleriny, takie jak Tamara Karsawina i Olga Kokłowa – pierwsza żona Picassa. Do legendy Montparnasse przeszły malarka Maria Wasiljewna, która przechwalała się, że jest stypendystką samej carowej, jej uczennica – rzeźbiarka Chana Orłow tudzież Maria Worobiowa, bardziej znana jako Mariewna.

Francuskie rusofilstwo po części czerpało siłę z typowej dla Zachodu fascynacji egzotyką. Zanim na horyzoncie pojawiła się Joséphine Baker, gwiazda Rewii Murzyńskiej (wystawianej – a jakże – w Théâtre des Champs-Élysées), maskotką Paryża była mulatka Aïcha Goblet, publicznie paradująca w spódniczce z rafii. Rekordy powodzenia bił zaś Bal Nègre – nocny klub, gdzie w oparach rumu i dymu z cygar do upadłego tańczyli potomkowie karaibskich niewolników.

Kuratorzy nie zapomnieli również o bezpruderyjnej Kiki, zwanej królową Montparnasse. Naprawdę nazywała się Alice Prin i pozowała bodaj wszystkim luminarzom szkoły paryskiej, ale unieśmiertelnił ją amerykański fotograf Man Ray. Reprodukcje „Skrzypiec Ingresa" tudzież zdjęcia, na którym Kiki trzyma afrykańską maskę, nadal są sprzedawane w sklepach z pamiątkami.

JAK STRACIĆ ORDER

Wystawę podzielono na dwie części: przed- i powojenną. Sam konflikt, nazwany poniewczasie „samobójstwem Europy", w kulturze zaistniał słabo. Wszystkie modernistyczne tendencje pojawiły się wcześniej. Cenzura tropiła objawy defetyzmu, zresztą panowała opinia, że w obliczu tragedii o takich rozmiarach należy poprzestać na dokumentowaniu zniszczeń. Choć wielu artystów zgłosiło się do wojska (nawet gruźlik Modigliani, któremu komisja lekarska kazała wracać do domu), to muzy całkiem nie umilkły. W Paryżu otwierano wystawy, odbywały się koncerty, działały teatry i kina.

Gdy ucichły działa, miasto przeżyło najazd bogatych trutni z całego świata, którzy chcieli odreagować chude lata. Alkohol lał się strumieniami. Ceny na rynku sztuki poszły gwałtownie w górę. Apostołowie modernizmu obrośli w piórka, wyprowadzili się z Montparnasse, który przeistoczył się w obleganą przez turystów dzielnicę knajp i burdeli. W kawiarniach, w których rodziły się i umierały plany estetycznej rewolucji, handlowano narkotykami i żywym towarem.

Sztandarową postacią epoki stał się trzpiot, salonowiec i okazjonalny artysta Jean Cocteau, autor bon motów w rodzaju: „Jestem kłamstwem, które zawsze daje prawdę". Głośne skandale wywoływali teraz literaci: Victor Margueritte, któremu za „Chłopczycę" odebrano Order Legii Honorowej, i młodziutki Raymond Radiguet, szokujący autobiograficzną powieścią „Diabeł wcielony" o romansie połowicy żołnierza walczącego na froncie z nastolatkiem.

SNOBIZM I POSTĘP

28 kwietnia 1925 r. otworzyła podwoje Międzynarodowa Wystawa Sztuk Dekoracyjnych. Miała udowodnić, że Republika otrząsnęła się z wojennego koszmaru i znów będzie prymusem, przynajmniej w sztuce designu. Impreza bardziej niż Francję sławiła jednak luksusowy styl życia. Pawilon Elegancji oddano we władanie paryskim jubilerom i dyktatorom mody. W Pawilonie Perfum pyszniła się szklana fontanna autorstwa René Lalique'a, weterana Wystawy Światowej z roku 1900. W ogrodzie „rosły" kubistyczne drzewa z betonu braci Martel.

W architekturze „powrót do porządku" objawiał się pompatycznym pseudoklasycyzmem. W malarstwie – rozerotyzowaną twórczością Tamary Łempickiej. Wówczas mało kto traktował ją poważnie, dziś jest idealną ilustracją szalonych lat 20. nazywanych przez Francuzów „dekadą złudzeń". Także w Petit Palais przed obrazami baronowej zwiedzający zatrzymują się dłużej niż obok repliki „Koła rowerowego" Duchampa, pierwszego w historii ready-made.

Po latach od nazwy wystawy ukuto termin „art déco". Rzemiosło, podszywające się pod sztukę, pretendujące do nowoczesności, lecz tak naprawdę zachowawcze, podbiło Amerykę. W Polsce art déco stał się poniekąd stylem państwowym.

Wystawa z 1925 r. nie była pogrzebem awangardy. Z popiołów dadaizmu powstał surrealizm, wyobraźnię budowniczych ukształtowały niemiecki Bauhaus i holenderski de Stijl. Francja zdradziła ideały kulturalnej rewolucji. Gdy Szwajcar Le Corbusier, tytułowany „Picassem architektury", zaproponował, by wyburzyć centrum Paryża i w tym miejscu wznieść wieżowce z wielkiej płyty, podano mu czarną polewkę. Duchamp, stwierdziwszy, że „sztuka europejska jest martwa", przeprowadził się do Nowego Jorku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

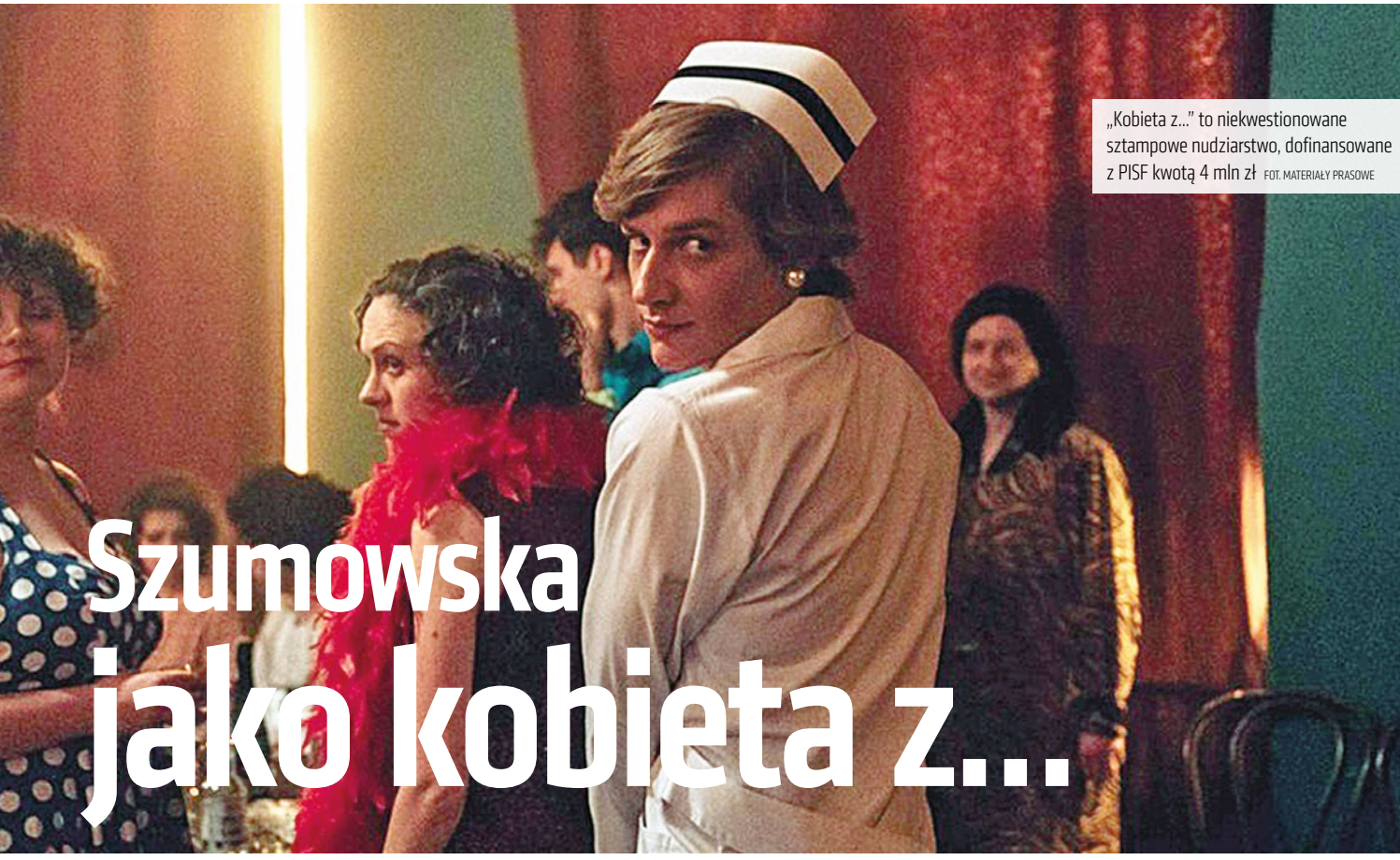
Wystawa „Le Paris de la Modernité, 1905–1925" jest otwarta do 14 kwietnia.



Fragment sali wystawowej
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



„Ours blanc", François Pompon, 1922–1925 FOT. MATERIAŁY PRASOWE



„Kobieta z...” to niekwestionowane sztampowe nudziarstwo, dofinansowane z PISF kwotą 4 mln zł FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Szumowska jako kobieta z...



Remigiusz Włast-Matuszak

Szumowska przetarła szlak dla filmów, dzięki którym prawica traciła głosy w kolejnych wyborach. Jej najnowsze dzieło to monotonna medyczna instrukcja dotycząca tego, jak w Polsce zmienić płeć

W filmie pt. „Kobieta z...” Małgośka Szumowska ujawnia nam całą „wstrząsającą prawdę” o nas samych. Około 10 proc. mężczyzn (ponoć) pragnie zmienić płeć narzuconą im przez opresyjny katolicki patriarchat. W przypadku kobiet ok. 50 proc. (?) chce zostać mężczyznami. Żyliśmy dotąd w nieświadomości, ale na szczęście reżyser Szumowska, wkraczając w swoją drugą połowę życia, postanowiła nas oświecić.

Artystka Szumowska jest głośną reżyserką, tak głośną jak jej filmy. W 2011 r. popełniła instruktażowy film fabularny pt. „Sponsoring”, w którym oglądaliśmy młode ciało Joanny Kulig. Epizody na blacie w kuchni i na linoleum, gdy w zbliżeniu francuski Żyd klient oddaje mocz na gołe piersi naszej aktorki, są już kultowe. Jednak prawdziwe międzynarodowe uznanie Europejczyków w 2013 r. przyniósł Szumowskiej film pt. „W imię...”, w którym aktor Andrzej Chyra gra katolickiego kapłana, który odkrywa w sobie „pociąg homoseksualny do nieletniego wychowanka z zakładu poprawczego”. Środowisko nagrodziło reżyserkę na FPFF w Gdyni oraz na Berlinale.

Szumowska przetarła szlak dla filmów takich jak „Kler”, „Wesele 2” i wszelkich innych, dzięki którym prawica traciła głosy w kolejnych wyborach, a słowo „ksiądz” zaczęto stosować wymiennie ze słowem „pedofil”. Bo oto przecież mamy kolejny fakt – ksiądz uwiódł syna posłanki PO ze Szczecina. Chłopiec popełnił samobójstwo. Coś pokręciłem? Nie był to ksiądz, ale działacz PO? Lista nagłaśnianych przez Onet i „GW” występków księży jest tak monotonnie długa, że fikcja filmowa zaczyna mi się mylić z faktami.

Rok 2015 to film pt. „Body/Ciało” – prokurator i anorektyczka oraz bezdomna, rodząca dziecko w WC. A może Janusz Gajos jako anorektyk ma seks z prokuratorką, która poddaje się aborcji? Nieważne – środowisko nagrodziło film Złotymi Lwami w Gdyni i niemieckim Srebrnym Niedźwiedziem w Berlinie. Status nagród na Biennale i w Gdyni zaczyna przypominać słynne polityczne Nagrody Stalinowskie – 1940–1954 (Stalinowskaja premia), które otwierały artystom wszelkie drzwi do zaszczytów i kasy.

Kolejnego niemieckiego Niedźwiedzia dostała Szumowska za film pt. „Twarz” – Berlinale 2018 r. – niemieccy lewacy nie mogli nie nagrodzić prymitywnej szydery z polskiego katolicyzmu.

NAJWYŻSZA FORMA POLITYCZNEJ POPRAWNOŚCI

Uczestniczyłem w kolaudacji jej kolejnego smętnego gniota pt. „Śniegu już nigdy nie będzie” w 2020 r., w którym

ukraiński masażysta przemierza polskie bogate i zamknięte osiedle, spotykając „typowych" nieznośnych Polaków. Nawet byłego oficera WP – faszystę bijącego wietnamską emigrantkę. Słowem: najwyższa norma poprawności politycznej zakończona proroczą planszą, że w Europie po zmianach klimatycznych śniegu już nigdy nie będzie. Ponoć film miał inne zakończenie. Masażysta znajduje w końcu normalną polską rodzinę – szczęśliwy związek Polki i Afroamerykanina. Film był również polskim kandydatem do Oscara. Wpływowa producentka filmowa Ewa Puszczyńska, sterująca w PISF trybem kwalifikacji, kolejny raz potwierdziła utratę swojej kobiecej intuicji. Szumowska nie otrzymała nawet nominacji do Oscara.

„Infinite Storm" z 2022 r. to już zupełny niewypał. Mimo głównej roli granej przez Naomi Watts film nie znalazł zachodnich dystrybutorów, a w Polsce miał ledwie 11 001 widzów. W tymże roku, jak głosi jedna z miejskich legend, Szumowska wraz z lewicowym publicystą Jakubem Majmurkiem, w czasie wakacji w Maroku, zrealizowała „All inclusive" – satyrę o polskich turystach bawiących w Casablance. („Casablanca 2"?). Jestem pewien, że teraz, po 13 grudnia 2023 r., kiedy naród pokonał faszystowską dyktaturę, PISF znajdzie środki, by film ukończyć i zaprezentować. Kolejny niemiecki Niedźwiedź murowany.

W 2022 r. scenariusz Szumowskiej i Englerta zmienił tytuł z „Lubię wracać tam, gdzie byłem już" na „Kobieta z…" (oczywiście: Kobieta z żelaza, Kobieta z nadziei, a być może z małego katolickiego miasteczka).

W 2012 r. PISF sfinansował dokument Piotra Wysockiego pt. „Aniela", gdzie w naturalistyczny sposób pokazano przebieg operacji zmiany płci u mężczyzny, który fizycznie i prawnie stał się Anielą. Ten dokument wyczerpał temat, i to 12 lat temu. 5 kwietnia 2024 r. w piątek na ekrany polskich kin wszedł nowy i jak zwykle głośny film Małgośki Szumowskiej pt. „Kobieta z…" o 45-letnim robotniku budowlanym, który z Andrzeja, po operacji, staje się Anielą.

Szumowska popełniła długi (2 h 12 min) pseudodokument, a praktycznie katatoniczną, monotonną, medyczną instrukcję postępowania dotyczącą tego, jak w Polsce, krok po kroku, zmienić płeć. W scenariuszu „Kobiety z…" z lat 2021/2022 akcja filmu miała mieć szczęśliwe zakończenie w 2025 r. (!), kiedy Andrzej/Aniela rozpoczyna udane małżeńskie życie w nowej demokratycznej Polsce. Film jest niekwestionowanym, sztampowym nudziarstwem.

TRAUMA DOBRYCH AKTORÓW

Wyśmiałem na kolaudacji w PISF osoby liczące na nagrodę w Wenecji. Film spotkał się na festiwalu ze wzruszaniem ramion i nie doczekał się jakichkolwiek recenzji (ostatnio zdobył nagrodę na drugorzędnym festiwalu w Sofii).

Dobrzy aktorzy w „Kobiecie z…" przeżywają traumę. Joanna Kulig grająca żonę Andrzeja/Anieli, z którym ma dwoje dzieci, wyraźnie nie wczuwa się w rolę, ma problemy. Scena pt. „A masz, łobuzie, torebką przez łeb" jest wprost żenująca. Aktor Jacek Braciak nawet nie usiłuje grać, wchodzi w kadr i coś tam mówi. Szumowska jawnie zapożycza sceny z klasyki filmowej – „Hair" – z 1979 r. Miloša Formana, scena z komisji poborowej w armii USA: goły chuderlak nie chce zdjąć skarpetek; dwaj sierżanci podnoszą go do góry i ściągają skarpetki; poborowy ma paznokcie pomalowane na czerwono. Podobnie jest w „Kobiecie z…". Cytat czy plagiat? W kilku innych scenach mamy podobne zapożyczenia, a dwa seksepizody są zwyczajnie niesmaczne.

Profesor Piotr Gliński, były minister kultury i wicepremier, w wywiadzie zamieszczonym w jednym z tygodników, stwierdził: „Tak było kiedyś i tak ma być znowu. Przecież pani Holland mówiła o tym otwarcie. Najważniejszym celem aktywności w wielu obszarach sztuki jest wyjazd na zagraniczny festiwal, kariera zagraniczna…"; „Do tego małpowanie tematów, które na Zachodzie wybrzmiały 20 lat temu albo i dawniej".

Co Szumowska mówi sama o swoim o filmie? „Jest jakaś zaskakująca paralela w jego walce (Andrzeja/Anieli) o bycie sobą i w walce Polski o swoje ważne miejsce na mapie nowoczesnej Europy". „Chyba trudno wyobrazić sobie ostatnio bardziej aktualny temat, a nasza historia pokazuje fenomen transseksualizmu…". Bez komentarza.

Co mówią bohaterki filmu w czasie wizyty na szpitalnej sali, gdzie leży również Andrzej/Aniela? „Jestem transką, ale po detranzycji. I teraz dobrze mi z kobietami cis i trans…"; „Cismęskość, ciskobiecość to są fikcje kulturowe, kody biokapitalizmu zresztą narzucone przemocowo…".

Jestem pełen empatii dla osób pragnących zmienić płeć. Tak się zdarza na ok. 10–12 tys. urodzeń. Zapewniajmy leczenie psychologiczne takim osobom, ale nie propagujmy zjawiska, bo za chwilę, dzięki filmowi Szumowskiej, będziemy mieli epidemię tranzycji, a po paru latach próbę detranzycji, która jest niemożliwa, gdyż po chirurgicznym usunięciu członka i jąder nie można ich powtórnie operacyjnie przywrócić, tak jak i po usunięciu pochwy i jajników. Lewicowe, zawodowe feministki postulują by 8–12-letnie dzieci samodzielnie decydowały o zmianie płci. Owe feministki i Szumowska szykują piekło setkom dzieci, a później dorosłych ludzi. Jak pokazują twarde dane zachodnich specjalistów, aż 82 proc. osób, które dokonały zmiany płci, pragnie wrócić do swojej pierwotnej biologicznej płci, co jest niemożliwe.

Pisząc powyższy tekst, mam cały czas dyskomfort, że też uczestniczę w nagłaśnianiu tematu i filmu Szumowskiej. Canal+ od tygodni i do znudzenia emituje film pani Holland pt. „Zielona granica", ledwie pół roku po jego kinowej premierze we wrześniu 2023 r. Za parę miesięcy „Kobieta z…" też będzie do oglądania na tym „postępowym i europejskim" kanale. W domowych pieleszach, po znudzeniu filmem będziecie mogli sobie zmienić kanał TV.

Film Szumowskiej kosztował 20 mln zł. Z tego PISF dyrektora Radosława Śmigulskiego dał 4 mln zł. Budżet filmu można dowolnie rozszerzać. W przypadku „Kobiety z..." to mistrzostwo Polski. Oprócz nagrody Złotych Węży można wprowadzić nagrodę Złotej Pompki.

MKiDN było negatywnie nastawione do realizacji filmu Szumowskiej. Niestety, decydujące procedury były realizowane w PISF. Można było odnieść wrażenie, że jest to przykład na to, gdy „ogon merdał psem". Przypomnijmy, że w grudniu 2022 r. Małgorzata Szumowska była prominentnym członkiem komisji konkursowej, która wybrała Śmigulskiego na drugą pięcioletnią kadencję szefa PISF. „Da liegt der Hund begraben???".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Od Chaplina do Martina



Piotr Gociek

Dwuczęściowy film dokumentalny, którego bohaterem jest Steve Martin, ma tylko jedną wadę – jest zbyt krótki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Żadnych talentów nie posiadał, a marzył o scenie. Co robić? Trzeba nie tylko ciężko pracować, ale też wymyślić siebie na nowo. Steve Martin uczynił to kilkukrotnie. Sprzedawca gazet w Disneylandzie, ekspedient w sklepiku z magicznymi gadżetami, a potem kiepski magik sceniczny; pilny student filozofii, wędrowny komik, który zamiast zarabiać, dokłada do interesu i kolekcjonuje fatalne recenzje. A przecież pamiętamy, jak daleko zaprowadzi go ta droga: w latach 80. i 90. jeden z najbardziej kasowych aktorów Hollywood, choć sukcesy przeplatał porażkami. Dziś to już powszechnie szanowany klasyk, któremu hołdy składają inni wielcy, jak choćby Jerry Seinfeld.

Reżyser Morgan Neville (Oscar za dokument „O krok od sławy") podzielił swoją opowieść o Martinie na dwie zupełnie różne części. Pierwsza to historia trudów, przełomu i triumfu, historia kariery komika. Pełna archiwalnych zdjęć, amatorskich nagrań audio i wideo; ułożona chronologicznie, od dzieciństwa do występów przed wielotysięcznym tłumem zakochanych w nim fanów. Był czas, kiedy Steve Martin wypełniał stadiony szybciej niż Fleetwood Mac. Dla polskiego widza to lekki szok, przecież dla nas ów sympatyczny siwawy dżentelmen jest – w zależności od pokolenia, do którego należymy – albo ikoną szurniętej komedii kinowej, albo gwiazdą familijnej rozrywki.

„Moja kariera komika ma początek, środek i koniec – opowiada Steve Martin – podczas gdy kariera filmowa to tylko zbiór anegdot". W części drugiej widzimy go na ekranie próbującego porządkować wspomnienia. Metoda jest nieoczywista – Martin wymyśla rysunki satyryczne opisujące jego aktualny stan umysłu oraz pracuje nad podsumowaniem kariery filmowej w formie komiksu. Siedzi więc nad papierami wraz z redaktorką i rysownikiem Harrym Blissem. Efekt ich współpracy ukazał się ostatecznie na rynku jako „Number One Is Walking: My Life in the Movies and Other Diversions".

WSZYSTKO NA OPAK

Podczas gdy pierwsza część filmu to klasyczna biografia, część druga jest komentarzem do całej kariery rozpisanym na głosy. Kamera towarzyszy m.in. rozmowom Steve'a Martina z wieloletnim

przyjacielem i współpracownikiem Martinem Shortem (scena, w której układają scenariusz wspólnego występu, jest przekomiczna). Pojawiają się kolejne głosy, tu dyskusja z Seinfeldem, tam wielogłos o tym, jak bardzo skrytą osobą pozostawał zawsze bohater dokumentu. „Nie znam innej osoby, która tak bardzo zdołałaby się zmienić" – mówi jeden z przyjaciół Martina.

Sam Steve wyznaje, że w jego życiu wszystko ułożyło się na opak: gdy był młody, nękały go straszliwe traumy, martwił się o wszystko i nieustannie walczył z lękiem, podczas gdy mając lat 75, czuje się szczęśliwy. Oczywiście złośliwie można odpowiedzieć, że z taką fortuną każdy mógłby się czuć zrelaksowany. Kiedy Martin Short odwiedził Martina po raz pierwszy, a było to przed kręceniem filmu „Trzej amigos", na ścianie domu komika wisiał już oryginalny Picasso. Dziś pytany o swoją kolekcję dzieł sztuki Martin odpowiada, że akurat na ten temat rozmawiać nie chce. Zrozumiała ostrożność u kogoś, kto w kolekcji ma prace takich artystów jak Roy Lichtenstein, Edward Hopper, Georges Seurat czy Francis Bacon. Kolekcjonować dzieła sztuki zaczął jeszcze jako student, w wieku 21 lat, kiedy kupił obraz Jamesa Gale'a Tylera, XIX-wiecznego amerykańskiego marynisty.

Wątków jest w tych obu filmach (zatytułowanych „Wtedy" i „Teraz") bardzo wiele, niektóre ledwie zasygnalizowane. Chciałoby się usłyszeć więcej o karierze Martina w „Saturday Night Live" (poprowadził kultowy program satyryczny aż 16 razy), o jego wzlotach i upadkach w Hollywood, bo wielkie kasowe hity przeplatały się przecież z wielkimi klapami. Martin to także autor książek dla dorosłych i dla dzieci (kilka ukazało się w Polsce: „Ekspedientka", „Piękny przedmiot" i „Cała przyjemność po waszej stronie") – tej strony talentu komika film nam nie przedstawia.

Autorzy filmu dostrzegają za to, że prócz scenariuszy filmowych jest też autorem sztuk teatralnych, fragmenty inscenizacji jednej z nich (najbardziej autobiograficznej) służą jako komentarz do opowieści o trudnych relacjach Martina z ojcem. Pod koniec opowieści dowiadujemy się więcej o życiu prywatnym Martina. Życie wędrownego komika nie sprzyjało stałym relacjom, ale w ostatnich dekadach odkrył uroki małżeństwa i późnego ojcostwa. Pilnie strzeże prywatności, gdy na chwilę córka pojawia się na ekranie, jest zasłonięta dziecięcym rysunkiem. Gdyby produkcja Morgana Neville'a liczyła sześć odcinków, a nie dwa, też oglądałoby się to świetnie, jestem o tym głęboko przekonany.

PISAĆ, CZYLI ŻYĆ

Czy jest coś, na co należałoby szczególnie zwrócić uwagę? Wskazałbym trzy rzeczy i zacznę od najbardziej oczywistej. Steve Martin wyznaje w rozmowie z Jerrym Seinfeldem, że nie czuje się emerytem, że wciąż pisze każdego dnia. „Ja również" – odpowiada Seinfeld, który niczego już nie musi udowadniać, bo jest jednym z najsłynniejszych komików w historii. Ale pisanie to nie hobby, to nie życiowa konieczność, to po prostu sposób widzenia świata, sposób jego oswajania i opowiadania. Nie pisać to trochę nie żyć. Dobra rada dla młodszych adeptów pisarskiego fachu.



★★★★★★
REŻ. MORGAN NEVILLE
„STEVE! (MARTIN): DOKUMENT W 2 CZĘŚCIACH" („STEVE! (MARTIN) A DOCUMENTARY IN 2 PIECES")
USA 2024, APPLE TV+

Rzecz druga, która jest zasygnalizowana w pierwszej części dokumentu, ale więcej na ten temat znajdujemy w autobiografii Martina (jeszcze w Polsce niewydanej) „Born Standing Up" (2007) – jak właściwie udało mu się wynaleźć na nowo, kiedy był pogrążonym w depresji dwudziestoparolatkiem, na którego występy przychodziło po kilka, kilkanaście osób, a recenzje były miażdżące (jeśli w ogóle)? Upór nie wystarczy, trzeba jeszcze wiedzieć, w jakiej dziedzinie i po co być upartym. Młody Martin maszeruje na studia, gdzie zgłębia filozofię i logikę. Niesłychanie imponuje mu, że filozofia to nieustanne kwestionowanie tego, co wiemy, a zarazem konstruowanie nowych wytłumaczeń.

Martin zaczyna zajmować się teorią humoru, rozkłada na części pierwsze żarty, zastanawia się nad tym, dlaczego jedne działają, a inne nie. Szuka głębszych przyczyn, studiuje zasady sztuki w ogóle – nie tylko sztuki rozśmieszania. Dopiero to, połączone z głęboką autorefleksją, prowadzi go do odkrycia takiej satyry, którą po pierwsze, odróżnia się od innych, a po drugie, prowadzi grę z odbiorcą na własnych zasadach. Oglądane po latach fragmenty jego występów wydawać się mogą głupiutkie, tymczasem on po prostu znalazł własny głos, własny sposób uwodzenia publiczności, wywiedziony trochę z numerów komików, których sam oglądał i podziwiał jako dziecko, a także z teatru absurdu.

Prowadzi to do wielkiego finału jego komediowych występów. Oto widzimy, jak na wielkim stadionie tysiące ludzi powtarzają za nim chóralnie słowa „Przysięgi nonkonformisty", której częścią jest obietnica, że nie będą nigdy niczego za nikim powtarzać. To koniec, dalej pójść już nie można, Martin w pełni zapanował nad materią – i nad widownią. A jednocześnie raz jeszcze odkrywając fundamenty komediowego fachu, pracuje nad fizycznością, nad tym, co czyniło wielkimi komediantów epoki kina niemego: ruch, gra ciałem, gagi, slapstickowe numery. Wtedy, u szczytu sławy gwiazdy stand-upu, porzuca publiczne występy i przenosi się do świata filmu. Na scenie osiągnął już wszystko.

I trzecia rzecz: gdy zaczynał karierę, królowała satyra polityczna. Gniewni komicy Ameryki brnęli w monologi o Wietnamie, buncie młodych i złych politykach. Martin z tym zrywa. Obcina włosy, zakłada trzyczęściowy garnitur i daje widzom czystą satyrę. Żarty polityczne starzeją się szybko. Czysty komizm – nigdy.

KLAUN, KTÓRY WSZYSTKO WIE

Po premierze pierwszego wielkiego kinowego przeboju, filmu „Szajbus" („The Jerk", 1978), ojciec Martina mówi do niego z przekąsem: „No, Charliem Chaplinem to ty nie jesteś". Po latach, w filmie Neville'a, widzimy, jak bardzo krzywdząca była to opinia. Podobnie jak Chaplin Martin wie o ludzkiej naturze wszystko, potrafi o tym opowiedzieć w sposób czasem głupkowaty, ironiczny, zawadiacki, a także czuły, słodko-gorzki. Tak, to znów twarz starego klauna, który wszystko wie. I uśmiecha się, lecz smutno. Oto on. Steve Martin.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK



★★★★★★

REŻ. GEORGE CLOONEY „ÓSEMKA ZE STERNIKIEM” („THE BOYS IN THE BOAT”)
USA 2023

wyst. Joel Edgerton, Callum Turner, Hadley Robinson

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Złote chłopaki

Pobili Niemców w dyscyplinie wymagającej nieludzkiej precyzji, ciężkiej pracy, wytrzymałości i najwyższej dyscypliny – nowy film George’a Clooneya przypomina dzieje amerykańskich wioślarzy, którzy w roku 1936 na igrzyskach olimpijskich w Berlinie zepsuli humor Hitlerowi.

Choć na ekranie widzimy i Niemcy, i Führera, to nie jest to opowieść o wielkiej historii, lecz o małych historiach zwykłych ludzi. Ameryka wciąż dotknięta jest wielkim kryzysem; jedni stoją w kolejce po darmową zupę, inni wędrują po kraju, szukając jakiegokolwiek zajęcia. Joe Rantz (Callum Turner, którego niedawno widzieliśmy w serialu „Władcy przestworzy”) studiuje, ale głoduje. Za dwa tygodnie trzeba wpłacić resztę czesnego, tymczasem on ma płótno w kieszeni i mieszka we wraku samochodu. Gdy trener Al Ulbrickson (Joel Edgerton) zacznie nabór do nowej drużyny wioślarskiej, Rantza interesować będzie jedynie, czy dostanie za swój wysiłek parę gorszy i dach nad głową.

Reszta przebiega wedle doskonale znanego nam schematu sportowego filmu o niespodziewanym sukcesie outsiderów, na których nikt nie liczy. Chłopcy Ulbricksona pokonają krajową konkurencję i ruszą na igrzyska. Wcześniej wygrać muszą nie tylko z załogami innych uczelni, lecz także z własnymi ograniczeniami. Nie wiem, czy ósemka ze sternikiem to rzeczywiście najtrudniejszy sport na świecie, ale reżyser Clooney i autor zdjęć Martin Ruhe sprawili, że na dwie godziny w to uwierzyłem. Rantz ma dodatkowo własne demony do zwalczenia. Dobrze więc, że trafił na mądrych trenerów i cierpliwą dziewczynę (szkolną miłość gra Hadley Robinson).

Czasem historia wydaje się opowiedziana zbyt pobieżnie, brakuje czasu na pogłębienie portretów bohaterów, za to wiele miejsca poświęcono temu, jak wiosła nurzają się w wodzie. Ale ten staroświecki i przewidywalny – ktoś powie banalny – film dostarcza widzowi zaskakująco wielu przyjemności, co już jest dowodem na to, jak zwyrodniała współczesna kinowa rozrywka. Niesie też ze sobą wołanie o współpracę, której Ameryce dziś bardzo brakuje, a przecież to wspólny wysiłek i wspólne marzenia wznoszą nas na wyżyny i pozwalają osiągnąć niemożliwe. „Nigdy nie płynęło nas ośmiu – wspomni po latach Rantz – byliśmy jednością”. ©℗



NOWE SERIALE: „VERONIKA”

Policjantka w depresji. Umarli nie dają spokoju Veronice. Manifestują, że jest obdarzona niechcianym talentem? Chcą, by rozwiązała zagadkę ich śmierci? A może grana przez Alexandrę Rapaport (świetnie!) pani detektyw po prostu traci zmysły?

skySHOWTIME

To też możliwe, wszak łyka proszki garściami. Nastrojowy, lecz mroczny kryminał skandynawski z dodatkiem horroru. Osiem odcinków dla smakoszy. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Veronika”, Szwecja 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Sugar”,*** *USA 2024* tv+
- *miniseria* ***„Sympatyk” („The Sympathizer”),*** *USA 2024* max
- *reż. Zack Snyder* ***„Rebel Moon: Zadająca rany” („Rebel Moon – Part Two: The Scargiver”),*** *USA 2024*

Rakuten

Artysta przez małe „a”

To nie sztuka przetrwać wojnę i okupację, zakąszając szampana kawiorem. Sztuką jest uniknąć po tym wszystkim zemsty rodaków i aż do śmierci cieszyć się opinią kryształowego patrioty. Francja? Ciepło, ale nie gorąco. Akcja filmu wyreżyserowanego przez Dana Friedkina (na co dzień producenta) rozgrywa się w Amsterdamie. Cięty na kolaborantów kpt. Piller sądzi, że udało mu się złowić grubą rybę, może nawet szefa niemieckiej siatki wywiadowczej. Niestety, doznaje srogiego zawodu. Jedyną zbrodnią, którą Han van Meegeren ma na sumieniu, wydaje się sprzedaż Goeringowi malowidła „Chrystus i jawnogrzesznica”. Obraz, uznawany za dzieło Vermeera, po kapitulacji III Rzeszy wraca do ojczyzny. Holendrzy zaś (zwłaszcza ci, którzy sami zachowywali się haniebnie) żądają głowy rozpustnika wzbogaconego na handlu narodowym dziedzictwem.

Każdy, komu obiło się o uszy nazwisko marszanda, zna kulisy i finał sprawy. Rzecz jest więc adresowana do ignorantów oraz ludzi wierzących, że fatalne zauroczenia są możliwe również w relacjach męsko-męskich. Bo jak inaczej wyjaśnić, że pryncypialny kapitan uczyni wszystko, by wyrwać ze szponów Temidy kabotyna, który przestał być artystą, bo krytycy odmówili uznania jego geniuszu? Gdyby nie przedostatnia scena, żałowałbym tych dwóch godzin spędzonych przed ekranem. ©℗



★★★☆☆☆

REŻ. DAN FRIEDKIN
„OSTATNIE WIELKIE DZIEŁO” („THE LAST VERMEER”)
USA 2019

wyst. Claes Bang, Guy Pearce, Minna Holmberg



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KWIATY NA HAŁDACH



★★★☆☆☆

REŻ. MACIEJ PIEPRZYCA
„DRZAZGI”
POLSKA 2009

wyst. Antoni Pawlicki, Karolina Piechota, Marcin Hycnar

Dylematy młodych w postprzemysłowej scenerii. Nie wiedzą, kim był Gierek, ale nie rozdzierają też szat nad kolapsem górnośląskich hut i kopalni. Robert jest fanatycznym kibicem Górnika Zabrze. Martę, córkę biznesmena, nęka podejrzenie, że lepiej wyjść za mąż z miłości niż z wyrachowania. Bartek, student biologii, stawia tezę, że ewolucja preferuje skrajnych egoistów. Za chwilę będzie miał okazję przejść od teorii do praktyki. Po premierze „Drzazgi” uznano za zwiastun odrodzenia naszego kina. Pieprzyca i Piechota wrócili z festiwalu w Gdyni z tarczą, czyli z nagrodami. Film nie jest pozbawiony mankamentów: za dużo tu jazdy po stereotypach, gwiazdorskie epizody po latach śmieszą umiarkowanie. Na tle innych fabuł, przypomnianych w ramach przeglądu „Na peryferiach”, ta wyróżnia się jednak pomysłową konstrukcją tudzież prostotą. Prawie uwierzyłem, że nad familokami też czasem świeci słońce. ©℗

SZAŁ UNIESIEŃ



★★★☆☆☆

REŻ. MAREK NOWICKI
„WIDZIADŁO”
POLSKA 1984

wyst. Roman Wilhelmi, Dorota Kwiatkowska, Mariusz Benoit

Impotencja w szlacheckim dworku, czyli nie taki horror straszny, jak go malują. A.D. 1984 na polskich ekranach królowało tzw. kino komercyjne. A co się sprzedawało najlepiej? Erotyka. Marek Nowicki, ceniony operator, chcąc pogodzić snobów i podglądaczy, zekranizował powieść Irzykowskiego, zaprzysięgłego wroga młodopolszczyzny, w konwencji kojarzącej się z Przybyszewskim. Pan Karol zapewne do dziś przewraca się w grobie, lecz publiczność przyjęła film 49-letniego debiutanta nader życzliwie. Recenzenci obficie cytowali klasyków psychoanalizy. „Widziadło” było namiastką zakazanej w PRL pornografii, zjawiskiem pokrewnym do wystawy „Venus”, która gorszyła konserwatywny Kraków. Nowicki oprócz aktorek (Kwiatkowska, gdyby nie wyemigrowała, byłaby groźną konkurentką Szapołowskiej) obnażył reżyserski antytalent. Film ratują zdjęcia Witolda Sobocińskiego i złota polska jesień. ***Wiesław Chełminiak***

GRA TYGODNIA: „RISE OF THE RONIN”

Ach, gdyby wszystko w tej grze było tak dobre, jak: odwzorowanie realiów historycznych epoki Bakumatsu, czasu schyłku 300-letniego szogunatu Tokugawów (w grze mamy rok 1863), świetny i wymagający system walki czy wreszcie klimat XIX-wiecznej Japonii... Tak jednak nie jest i długiej liście zalet towarzyszy kilka trudnych do przeoczenia wad, by wspomnieć tu tylko o mocno niedoskonałej oprawie graficznej. Na Zachodzie gra oceniana jest gorzej, w Japonii przyjęto ją bardzo ciepło i doceniono wysiłek włożony w kreację wiarygodnego świata. Warto się w nim zanurzyć. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5*
- ***Producent; wydawca PL:*** *Team Ninja; Sony*



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Miłość w czasach zarazy

Debiut po siedemdziesiątce to, przyznajmy, nieczęste wydarzenie w literaturze. Ale też – uściślijmy – chodzi o debiut autora dla tejże literatury niezmiernie zasłużonego, twórcy ok. 30 tomów poetyckich, wielu znaczących książek eseistycznych, biografa i wydawcy, nauczyciela akademickiego, profesora. Do tego wszystkiego księdza.

A jednak, wydając „Jedenaste przykazanie", jest ks. Jan Sochoń debiutantem. Mamy tu bowiem do czynienia z pierwszą w jego dorobku powieścią. Najbardziej osobistą z możliwych, gdyż osadzoną w historii rodzinnej, opowiadanej ustami najbliższych krewnych, przy tym okraszonej fotografiami z rodzinnego albumu.

Akcja tej powieści rozgrywa się w rodzinnym miasteczku autora – Wasilkowie, w pobliskim Białymstoku, sąsiedniej wsi, nomen omen, Sochonie, a przenosi się m.in. na Daleki Wschód, na Syberię, do Iraku czy Włoch, bo takie też były tułacze losy jej bohaterów. Ukazani są oni na tle największej XX-wiecznej tragedii – wojny, która na rodzinnej ziemi ks. Sochonia miała swój szczególny wymiar, jako że dotknęły ją dwie okupacje – hitlerowska i sowiecka. Dlatego powieściowy Józef, szykujący się na wojnę z Niemcami, będzie bronił Grodna przed innym najeźdźcą. Cudem przeżyje, jako że „trwało mordowanie miasta. Wziętych do niewoli natychmiast rozstrzeliwano. W kościele garnizonowym znajdującym się na rogu ulic Zamkowej i Dominikańskiej, nazwanym później »kościołem łez i męczenników«, stłoczono niemal pół tysiąca ludzi, których z niebywałą furią zamordowano gazem trującym i zakopano w zbiorowej mogile cmentarnej".



FOT. MARTA DAROWSKA/REPORTER

Na zagrabionej ziemi Sowieci natychmiast zaczęli wprowadzać swój barbarzyński, bolszewicki porządek: „Pozmieniali nazwy ulic, wprowadzili w szkołach podstawowych naukę języka rosyjskiego i białoruskiego, zakazali nauki hebrajskiego, ogłosili czas okupacyjny i odtąd nie wolno było wychodzić z domów po zmroku. Pobudowali prowizoryczne koszary, stajnie, kantynę oficerską dla swoich żołnierzy, z których wielu pochodziło z dalekiej Azji. Wzbudzali oni, zwłaszcza wśród dzieci, wielkie zainteresowanie, poubierani w długie szynele i spiczaste czapki ze zwisającymi nausznikami i czerwoną gwiazdą. W Białymstoku rozebrano stary ratusz, stawiając w tym miejscu pomniki Lenina i Stalina".

Ludzie przyglądali się temu wszystkiemu ze zdumieniem, pytając, jak to możliwe, że Niemcy dogadali się z bolszewią i oddali jej władzę, co przypieczętowali na raucie w hotelu Ritz i na defiladzie na Lipowej, głównej ulicy Białegostoku. Miejscowi komuniści, „w większości Żydzi, udekorowani w karminowe kokardy, na ulicy Grodzieńskiej zbudowali na ich [Sowietów – przyp. K.M.] powitanie bramę ozdobioną kwiatami. Niesiono zrobione z czerwonego płótna transparenty z napisami »Witajcie, oswobodziciele«, radowano się i śmiano".

Do czasu: „–Słyszałaś? – nawiązała przerwaną rozmowę Teofila – o pogromie, jaki rok temu urządzili nasi współmieszkańcy. Krzyczeli: »Wasilków bez Żydów!«, nie zważając na jęki bitych żelaznymi prętami. Nasi rodacy spędzili ich nad rzekę i mordowali. Świadkowie widzieli, jak w powietrzu fruwały rozdarte fotografie i puch z pierzyn, a Niemcy wszystko to filmowali, by pokazać światu, że to oni stają w obronie Żydów". No cóż, autor sięgnął tu do jedynego zeznania odnoszącego się do rzekomego pogromu, który miał miejsce w Wasilkowie 6 lipca 1941 r. Z pewnością miały miejsce napady rabunkowe na domy żydowskie, bohaterka i narratorka powieści Sochonia twierdzi zaś: „O pogromach w Wasilkowie nigdy nie słyszałam. Jeżeli mówiono o nich, to tylko w gronie samych Żydów, którzy chyba przesadnie akcentowali swoje cierpienia i swoją tułaczkę".

„Jedenaste przykazanie" wpisuje się w ciąg tych arcypolskich książek ukazujących ogrom cierpień, gehennę, którą przeszli nasi przodkowie, i to nie przed wiekami, a całkiem niedawno. Autor unika wielkich słów, ale w trakcie lektury tej powieści wielokrotnie przypomina się zdanie o tym, że bez martyrologii nasza historia nie istnieje. Tak jak nie istnieje literatura bez biografii. I ta ostatnia jest najciekawsza, stąd też blado wypadają fragmenty odnoszące się np. do dziejów Armii gen. Andersa, doskonale przecież nam znane.

Ale to, co jest dominantą powieści, dotyczy miłości: i tej rodzinnej, i tej czysto fizycznej, i – powiedziałbym – ogólnoludzkiej, a wreszcie tej najpiękniejszej może – miłości do ziemi ojczystej. Tak że poza wszystkim innym mówi „Jedenaste przykazanie" o marzeniu o wolnej, szczęśliwej Polsce. Czy aby spełnionym? ©℗



★★★★★★

KS. JAN SOCHOŃ „JEDENASTE PRZYKAZANIE" TEOLOGIA POLITYCZNA, WARSZAWA 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Noc na Ziemi

Gdzie się podziały londyńskie noce?" – pyta Sukhdev Sandhu. „Były takie czasy, dobrze ponad sto lat temu, kiedy londyńską noc okrzyknięto jednym ze wspanialszych wiktoriańskich cudów" – przypomina. Dziś urzędnicy smarują raporty o tym, co ile ma kosztować, pijana młodzież rzyga na siedzenia taksówek, a klasa średnia wydaje pieniądze na jasno oświetlonych ulicach uznawanych akurat za najmodniejsze.

To nie jest londyńska noc, której szuka Sandhu. Woli wędrować po ciemnych zaułkach, z dala od świateł, gdzie sprawy toczą się mniej radośnie i innym rytmem. Kanalarze czyszczą trzewia miasta, flisacy wciąż pływają po Tamizie, łowca lisów tropi i wybija te zwierzęta z uporem dawnego hycla. Grafficiarze dzielą się z nim emocjami – ileż czasu i wysiłku trzeba, by wyczekać i upolować „swój" upatrzony wagon, w jakąż dumę wprawia ich, gdy widzą jak pomalowany rusza rankiem na stałą trasę. I tak dalej. Każda metropolia to przede wszystkim zwykli ludzie, światła wielkiego miasta to miraż.

Zakochałem się w tej niewielkiej książeczce, bo jestem nieuleczalnym anglofilem i londynofilem, ale podziwiam też styl, którym snuje swą opowieść Sandhu. Książkę „Miasto nocą. Londyn" czyta się miejscami jak poemat pisany prozą; bez wątpienia brytyjski profesor literatury wie, jak obchodzić się ze słowami. Wiele partii musi nam przypomnieć Dickensa (zwłaszcza tego ze „Szkiców Boza"), ale – jak wyznaje sam autor – jego przewodnikiem po stolicy Anglii był inny pisarz. Chodzi o „The Nights of London" H.V. Mortona (1926), który schodził miasto „wzdłuż i wszerz w drodze do sal koncertowych, szemranych pubów czy na obchody chińskiego Nowego Roku – albo odwiedzającego o drugiej w nocy ogrody zoologiczne, szpitale i policję rzeczną".

W finale dostajemy też ważny dla nas akcent, który każe spojrzeć na obce miasto innym okiem. W Tyburn od wieków modlą się mniszki, ale ważniejsze jest to, co dzieje się na ulicach: „Stare kościoły znikają, jednak cały czas niczym grzyby po deszczu wyrastają nowe. Polacy, Litwini i Brazylijczycy, którzy wyemigrowali do Londynu, odnawiają dogorywające miejsca modlitw lub tworzą je od zera [...]. Wiara to część ich zestawu do przetrwania, gdy się krzątają, próbując zapuścić korzenie w tym ich nowym mieście na tej nowej ziemi". Cieszę się, że i ich Sandhu zauważył. ©℗



★★★★★★

SUKHDEV SANDHU „MIASTO NOCĄ. LONDYN" KSIĄŻKOWE KLIMATY 2023

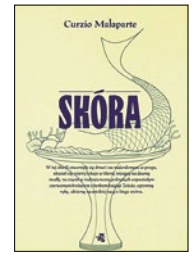
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

1381 cytatów z mistrza wybrał Wiktor Jaźniewicz. Selekcja kontrowersyjna: za dużo banałów o polityce, na szczęście, gdy idzie o opinie o literaturze i nauce, bywa błyskotliwie. Plus rysunki autora „Solaris".



STANISŁAW LEM „W STRACHU PRZED ANTYMATERIĄ" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Dyskretny urok dekadencji, smród dawnego ustroju i zapaszek nowej okupacji – powojenny Neapol wyzwolony przez Amerykanów widziany okiem autora „Kaputt!". „Skóra" to jego druga wielka powieść.



CURZIO MALAPARTE „SKÓRA" W.A.B.

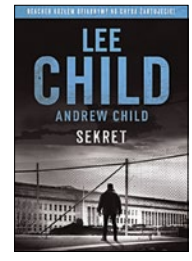
Czytając tytuł, chciałoby się zakrzyknąć: „Główne nurty marksizmu!", ale prof. Roszkowski oferuje nam nie rozważania filozofa o idei, lecz opowieść o tym, jak świat oszukano i jak krwawe były tego konsekwencje.



WOJCIECH ROSZKOWSKI „BEZBOŻNOŚĆ, TERROR I PROPAGANDA" BIAŁY KRUK

Co kryje się za Projektem 192 amerykańskiego Departamentu Obrony? Dlaczego po latach giną związani z nim naukowcy? Jest rok 1992, do wyjaśnienia sprawy zabiera się kpt. Jack Reacher. ©℗

recenzuje Piotr Gociek



LEE CHILD, ANDREW CHILD „SEKRET" ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „DROGA"

Powieść graficzna, która jest efektem spotkania dwóch wybitnych artystów. Emmanuel (Manu) Larcenet, wybitny francuski rysownik („Blast", „Raport Brodecka"), przełożył na język komiksu arcydzieło Cormaca McCarthy'ego „Droga" (pamiętamy też wersję filmową w reżyserii Johna Hillcoata z 2009 r.). Kto zna inne prace Larceneta, ten szybko zrozumie, dlaczego był idealnym adaptatorem tej depresyjnej powieści. ©℗

Piotr Gociek



MANU LARCENET „DROGA" MANDIOCA 2024



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Wawel Wyspiańskiego

Mija 120 lat od opublikowania dramatu „Akropolis" Stanisława Wyspiańskiego, którego akcja rozgrywa się w wawelskiej katedrze. Utwór ogłoszono wiosną 1904 r., natomiast jesienią Wyspiański wraz z Władysławem Ekielskim rozpoczął pracę nad wielkim projektem zabudowy wzgórza, również nazwanym Akropolis. Projekt łączył się ściśle z odzyskiwaniem wzgórza wawelskiego z rąk wojska zaborcy.

„Wawel Wyspiańskiego" to wielka wystawa, na której prezentowanych jest niemal 300 obiektów. Ekspozycję podzielono na trzy bloki tematyczne: „pierwszy prezentuje motywy wawelskie obecne w dziełach plastycznych Wyspiańskiego (zamek), drugi – w jego utworach literackich (budynek nr 9), trzeci zaś (budynek nr 7) ukazuje oddziaływanie artysty, bezpośrednie i pośrednie, na innych twórców. Ideowym centrum wystawy są dwie części: omawiająca projekt Akropolis i druga, poświęcona dramatowi o tym samym tytule". ©℗



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

GDZIE? ***Zamek Królewski na Wawelu***
KIEDY? ***do 21 lipca***



FOT. TEATR LALEK ARLEKIN W ŁODZI

LALKI W AKCJI

„Nasi widzowie doskonale orientują się w rodzajach i charakterze lalek, które używane są w spektaklach »Arlekina«. Ale lalki nie są domeną tylko teatru formy. Drugą dziedziną, która nie może się bez nich obejść, jest film animowany" – piszą organizatorzy wystawy prac studentów Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi na kierunku animacja. Powstały w latach 2019–2023, a większość z nich to lalki, od których zaprojektowania i wykonania zaczyna się proces kształcenia i wchodzenia na zawodową ścieżkę związaną z filmem animowanym. ©℗

GDZIE? ***Łódź, Teatr Lalek Arlekin, Galeria Akwarium***
KIEDY? ***do 30 czerwca***



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

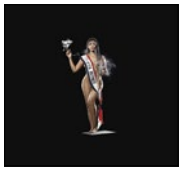
NA SŁUCH

Imperatorka

Dwa lata temu Beyoncé rozpoczęła krucjatę, której celem jest podbicie gatunków muzycznych niekojarzonych z czarną tradycją artystyczną. W ramach aktu pierwszego (album „Renaissance") zawładnęła muzyką klubową. Celem drugiej inwazji jest muzyka country. Jest to nie lada wyzwanie dla czarnoskórej wokalistki, tyle że Beyoncé pochodzi z Teksasu.

Na „Cowboy Carter" Beyoncé w niekonwencjonalny sposób podchodzi nie tylko do country, lecz także do folku, gospel czy americany. Wokalistka, zakładając kowbojskie buty, zaprasza na intensywny kurs historii „czarno-białej" popkultury. Jako drugą piosenkę wykonuje „Blackbird" Beatlesów, a w innych pojawiają się motywy z utworów Beach Boysów, Nancy Sinatry czy Patsy Cline. Do współpracy piosenkarka zaprosiła artystów wywodzących się z country (Miley Cyrus, Post Malone) oraz czarnoskóre wokalistki – Tanner Adell i Lindę Martell – które tworzą w ramach współczesnego country. Natomiast w serii interludiów wspomagają ją giganci country – Willie Nelson i Dolly Parton.

Na „Cowboy Carter" Beyoncé celebruje przeszłość z nadzieją na zmianę przyszłości. To rodzaj requiem dla amerykańskiego snu o krainie równych sobie, o braku dyskryminacji i nienawiści. Wszystko wskazuje na to, że akt trzeci z zaplanowanej trylogii będzie dotyczył podboju krainy rocka. ©℗



★★★★★★

BEYONCÉ
„COWBOY CARTER"
PARKWOOD



★★★★★★

GARY CLARK JR.
„JPEG RAW"
WARNER

Gary od 20 lat, mieszając blues, hard rock, funk, jazz i hip-hop, tworzy nową historię czarnego rocka. Nie zapomina o dawnych bohaterach i do studia zaprosił George'a Clintona oraz Steviego Wondera. W rękach Clarke'a gitara elektryczna znów ma moc boskiego pioruna.



★★★★★★

CHRISTIAN MCBRIDE/EDGAR MEYER
„BUT WHO'S GONNA PLAY THE MELODY?"
MACK AVENUE

McBride wywodzi się z jazzowej tradycji, a Meyer ze świata muzyki klasycznej. Wirtuozi kontrabasu wykonują własne utwory na przemian z coverami. Humor, wirtuozeria, a całość brzmi tak, jakby śpiewali przez struny.



„Nic na siłę" to nowa komedia romantyczna na Netflixie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wsi spokojna, wsi wesoła



Krzysztof Masłoń

Podrabiany folklor, dialogi na cztery nogi, nieudolna kalkomania, czyli „Nic na siłę"

W poświąteczny wtorek już koło południa zebraliśmy się Pod Antenką.

– Karczmarzu, podaj szkło i jakiegoś popychacza – zaordynował Pan Gienio, wyjmując z torby artykuł pierwszej potrzeby.

– A na zakąskę co? Mam pyszną kiełbaskę, palcóweczkę – Złodziej Korony Polskiej wszczął bezsensowny dialog.

Pan Gienio tylko machnął ręką. Po świętach byliśmy przeżarci, a na kiełbachę oberżysty i tak nikt by się nie połakomił. Dostał ją, chamidło, od rodziny z Podlasia, gdzie spędził Wielkanoc i teraz chciałby nam wcisnąć ten firmowy, obok babki ziemniaczanej, wytwór kuchni białostockiej. Jeszcze czego! Niech platformers sam żre swoją palcówkę!

– A gdzie ty właściwie świętowałeś, Złodzieju? Nie w Krynkach aby? – zainteresowała się Mańka Dzyndzel.

– Nie, ale niedaleko, pod Knyszynem – wyjaśnił szynkarz, stawiając na ladzie butelki z wodą. Niegazowaną.

– A czemu się pytasz?

– Bo obejrzałam w święta na Netflixie nową polską komedię romantyczną „Nic na siłę", kręconą właśnie w tamtych stronach.

Pan Gienio cały się zatrząsnął, wpadając nieomalże w taniec św. Wita. Patrzyliśmy na niego z troską, przeholował chłop z gorzałą czy co?

– Ja też widziałem ten film – wykrztusił wreszcie. – Żona powiedziała, że to coś w klimacie „Samych swoich", a zwłaszcza „U Pana Boga...", a to tylko obraza boska, że o inteligencji ludzkiej nie wspomnę. Podrabiany folklor, dialogi na cztery nogi, nieudolna kalkomania. I to od samego początku, gdy babcia ze wsi Boćki udaje swoją śmierć, by ściągnąć miastową wnusię na gospodarkę. Niczym Pawlak w „Nie ma mocnych".

– „Nie ma mocnych", „Nic na siłę" – to nawet pasuje – wtrącił się Wsiowy Sceptyk. – A swoją drogą, kiedy będzie premiera „U Pana Boga w Królowym Moście"? Zapowiadają ją od roku chyba. Podobały mi się wszystkie trzy części tego filmu, to może i czwarta będzie udana.

– Też miałem taką nadzieję, gdy jednak dowiedziałem się, że gra w niej Andrzej Seweryn, powiedziałem: basta. Trzeba mieć jakieś zasady – Pan Gienio po Wielkanocy wydawał się jeszcze bardziej bezkompromisowy niż zwykle. – Co ten facet od napier.alania ma wspólnego z polską wsią?! Niech gra tytułową rolę w filmie „Tusk – bohater naszych czasów".

– A co, będzie taki? – Wsiowy Sceptyk udawał pierwszego naiwnego. – Według czyjego scenariusza? – dopytywał się.

– Sienkiewicza.

– A ja myślałem, że to Tusk pisze Sienkiewiczowi scenariusze – Sceptyk nadal, jak mawiają na Podlasiu, durnia walał.

– Skończcie z tą tandetną polityką – Złodziej Korony Polskiej zdobył się na odwagę. – W końcu wyrzucę was stąd i będziecie chlali na ławce, jak w „Ranczu".

– Po pierwsze, nie „chlali", a „chleli", bo tak mawia Tusk, a po drugie, wtedy to już nikt do ciebie, Złodzieju, nie przyjdzie – przytomnie zauważył Element Antydemokratyczny i ni z tego, ni z owego wyrecytował:

Wsi spokojna, wsi wesoła!
Który głos twej chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki
Może wspomnieć za raz wszytki?

Nawet się nie zająknął. I kiedy ten ochlapus wyuczył się „Pieśni świętojańskiej o Sobótce"?

– Jak takiś uczony w piśmie, to powiedz mi, Elemencie, dlaczego ci nasi podopieczni dziesiątej muzy nie są w stanie zrobić czegoś choćby w niewielkim stopniu oryginalnego? Nie będącego powtórką, kontynuacją, nową wersją, ale zawsze za to, tak czy inaczej – podróbą. Co najwyżej możemy liczyć na to, że Adasia Niezgódkę w „Akademii Pana Kleksa" zamieni Ada Niezgódka, a bohaterka „Nic na siłę" na kozy wołać będzie: „Hej, dziewczyny". Polską wieś pokazują jak agroturystyczny skansen, polskie miasto jak kopię zachodniej metropolii, a z naszej historii, że wspomnę serial „1670", robią bekę – Pan Gienio po kolejnym kieliszku wyraźnie wpadł w słowotok.

– A wy byście tylko furt oglądali „Korony królów" i śnili o Jagiellonach i „Cudach nad Wisłą" – Złodziej Korony Polskiej wydął pogardliwie wargi. – Tymczasem rzeczywistość skrzeczy i dlatego ja np. z przyjemnością oglądam co tydzień odcinki „Będziemy mieszkać razem" – oświadczył szynkarz, zręcznie uchylając się przed nadlatującą pustą flaszką rzuconą przez zwykle spokojnego Wsiowego Sceptyka.

– Nie zdzierżyłem – tłumaczył się agresor. – No bo żeby wychwalać tak prymitywną, zakłamaną propagandę, która wcale nie wzbudza sympatii do Ukraińców, bo jeśli już, to niechęć? Przy tym jest to fatalnie zagrane i to przez, podobno, profesjonalnych aktorów. Powiedzcie mi, kto ich uczył w szkołach teatralnych czy filmowych?

– Nikt – zaryzykowałem odpowiedź. – Wykładowcy byli zajęci obroną praworządności zagrożonej przez pisiorów. Aktor bowiem niekiedy bywa artystą w swym fachu, ale przede wszystkim jest obywatelem i ma swoje obywatelskie obowiązki.

Pan Gienio popukał się w czoło i sięgnął do swojej przepastnej torby. ©℗

Koślawa



Marek Kamiński

Egzekucje skazanych na śmierć zbrodniarzy, którym najpierw podawane są dożylnie środki uspokajające, a potem zatrzymujące krążenie, nie pretendują do bycia „świadczeniem zdrowotnym". I tak samo nie będzie nim nigdy aborcja

Obowiązującą do dziś ustawę antyaborcyjną Sejm przegłosował w 1993 r. Od tego czasu wniesiono blisko 30 projektów w tej sprawie, ponad dwa na kadencję. Teraz Lewica i Koalicja Obywatelska przedłożyły dwa radykalnie proaborcyjne projekty ustawodawcze. Reprezentują one kolejne akty dramatu ciągnącego się od lat 90. i mają być rozpatrywane przez Sejm już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy" – 11 kwietnia. Poprzednie dwa akty miały miejsce w 2022 r. w postaci przeciwstawnych obywatelskich inicjatyw o niebudzących wątpliwości tytułach: „Aborcja bez kompromisu" Marty Lempart i „Aborcja to zabójstwo" Kai Godek.

Obecny projekt Lewicy jest kopią „Aborcji bez kompromisu" Marty Lempart. Wersję KO podrasowano redakcyjnie w podrzędnych kwestiach. Wspólny klucz wszystkich trzech to aborcja bez ograniczeń do 12. tygodnia ciąży. To bezkrytyczne naśladownictwo „Aborcji bez kompromisu" traktuję jako swego rodzaju aklamację Marty Lempart na wiodący aborcyjny autorytet III RP. Zgodnie z tym założeniem przestrzegam wyznaczony przez nią zakres argumentacji.

OPARCIE NA NAUCE

Marta Lempart, przedstawiając Sejmowi „Aborcję bez kompromisu", na samym wstępie oświadczyła: „Przychodzę z projektem ustawy, której regulacje wynikają wyłącznie z twardych danych, które są oparte wyłącznie na faktach. Ustawy, która jest oparta na tym, na czym powinna być oparta – na nauce, jaką jest medycyna".

Aby rozwiać jakiekolwiek wątpliwości co do doniosłości swojej deklaracji, Lempart obwieściła, że występuje „[…] w roli bardzo formalnej i bardzo znaczącej jako pełnomocniczka komitetu obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej »Legalna aborcja. Bez kompromisów«. Reprezentuję dziś nie tylko siebie, ale ponad 200 tys. osób, które złożyły swój podpis pod projektem […]".

Dziś oczywiste jest, że Lempart już wtedy reprezentowała Lewicę i Koalicję Obywatelską, które jednogłośnie głosowały przyjęciem jej projektu do dalszego procedowania. W PO wychyliła się jedynie Joanna Fabisiak i na tym się jej posłowanie z ich listy skończyło.

Okoliczności te są o tyle istotne, że nie jakaś tam oszołomiona wiecowym tumultem szeregowa fanatyczka zadeklarowała Wysokiej Izbie nadrzędność medycyny w formułowaniu aborcyjnego ustawodawstwa, ale samo ostateczne, intelektualne i ideologiczne wcielenie bezkompromisowego polskiego, a może nawet i europejskiego aborcjonizmu.

Pomimo deklaracyjnej stanowczości Lempart, że jej propozycja oparta jest na twardych faktach zaczerpniętych „z nauki, jaką jest medycyna", żadnych twardych, miękkich, a nawet zmyślonych danych medycznych jej projekt nie zawiera. Nie ma też żadnych medycznych odnośników, a w kategorii cytatów znajdują się wyłącznie krytyczne pod adresem Polski uwagi i rekomendacje Trybunału Europejskiego i Rady Europy.

Rozumiem, że niemalże mesjański status Marty Lempart uprawnia ją do wyłącznie deklaratywnego przedstawiania aborcyjnych postulatów. Dlatego pozostawiła wyznawcom oparcie ich „na tym, na czym powinny być oparte – na nauce, jaką jest medycyna". Ci zaś, reprezentowani w obecnym Sejmie przez Lewicę i KO, zamiast pogłówkować, wyłącznie skopiowali z „Aborcji bez kompromisów" konstytutywne dla obecnej proaborcyjnej ofensywy artykuły: „Każda osoba w ciąży ma prawo do świadczenia zdrowotnego w postaci przerwania ciąży w okresie pierwszych 12 tygodni jej trwania".

Te 12 tygodni to fikcja. Żadna z ustaw nie wymaga weryfikacji zaawansowania ciąży na żądanie metodą USG.

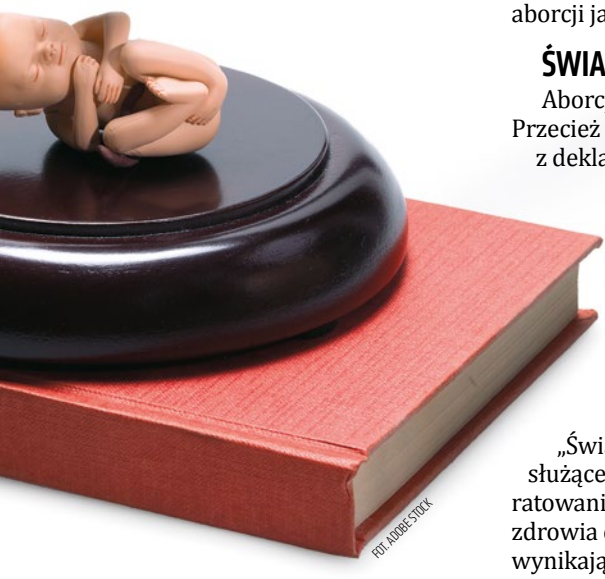


Badanie krwi daje wynik bardzo przybliżony, a wiarygodność badania fizykalnego to plus minus dwa tygodnie w czysto subiektywnej ocenie. Czy zatem komuś, kto bez skrupułów rozrywa na kawałki 12-tygodniowe dziecko, dwa, trzy, a nawet cztery tygodnie zrobią zasadniczą różnicę? W końcu dowody przeszacowania usuwa sam zabieg. A ubezpieczenie płaci i tak.

Przykładem ginekologicznej dezynwoltury jest ginekolożka dr Anna Orawiec. W aborcyjnej debacie w Kanale

ustawa





FOT. ADOBE STOCK

Zero na YouTube z całą powagą oświadczyła ona, że z punktu widzenia biologii płód jest pasożytem. Płód pasożytem. Dokładnie tak.

To, że dr Orawiec skończyła medycynę i nawet zrobiła specjalizację, można od biedy zrozumieć. Ale, na litość Boską, kto jej dał maturę? Przecież już w liceum uczą na biologii, że pasożyt musi należeć do odrębnego gatunku. Nie wiem, jak rzecz ma się z ustawowymi „osobami w ciąży", ale z tego, co mi wiadomo, normalne kobiety gatunku *Homo sapiens* z tasiemcami w ciążę raczej nie zachodzą. Chyba że chodzi tu o jakieś najnowsze osiągnięcie refundowanego od niedawna in vitro? Jeśli tak, to przepraszam i zwracam honor.

Jednak największy sprzeciw budzi postulowana we wszystkich trzech projektach jednoznaczna kwalifikacja aborcji jako świadczenia zdrowotnego.

ŚWIADCZENIE ZDROWOTNE

Aborcja świadczeniem zdrowotnym? Przecież to ewidentna sprzeczność z deklarowaną równocześnie „zgodnością z aktualnym stanem wiedzy medycznej". Lewica to po prostu autorytatywnie oświadcza (art. 2.1), KO natomiast (art. 2.2) cytuje jurystyczne źródło – art. 5 pkt 40 ustawy z dnia 27 sierpnia 2004 r.

Oto odnośne prawo:

„Świadczenie zdrowotne – działanie służące profilaktyce, zachowaniu, ratowaniu, przywracaniu lub poprawie zdrowia oraz inne działanie medyczne wynikające z procesu leczenia lub przepisów odrębnych regulujących zasady ich udzielania".

Wszystko się tu zgadza do słowa „lub". Bo co to znaczy „lub przepisów odrębnych regulujących zasady ich udzielania"? O tym jednak za chwilę.

Udokumentowanie przez klub KO źródła kluczowego stwierdzenia ustawy implikuje legislacyjną rzetelność. Do tego dochodzi medyczna ekspertyza w postaci aż sześciu lekarzy w klubie. W połączeniu z polityczną tężyzną premiera Tuska i jego partii jedynie ten projekt wart jest dalszej analizy i do niego się ograniczę.

Lekarze w klubie PO to: Rajmund Miller (laryngolog), Włodzisław Giziński (psychiatra), Krzysztof Bojarski (chirurg), Marek Hok (ginekolog) oraz pediatrzy: profesor pediatrii Alicja Chybicka i aborcyjny Zeus ciskający ze swego poselskiego Olimpu krwawe pioruny – Bartosz Arłukowicz.

Pierwszym trzem naturalnie odpuszczam. Nie ich to działka. Z ginekologiem rzecz też wygląda na oczywistą. Rok aborcji bez ograniczeń i w garażu nowiutkie elektryczne 2025 bmw XM SUV.

Problem jest z pediatrami. Na jakiej podstawie zakwalifikowaliście przerwanie normalnej ciąży jako „świadczenie zdrowotne, czyli działanie służące profilaktyce, zachowaniu, ratowaniu, przywracaniu lub poprawie zdrowia oraz inne działanie medyczne wynikające z procesu leczenia […]"?

W jaki sposób umknął waszej lekarskiej, a zawłaszcza profesorskiej uwadze fakt, że leczy się wyłącznie stany chorobowe? Wobec zdrowych stosujemy profilaktykę. Zdrowych leczyć nie można. Wyłącznie krzywdzić albo oszukiwać. Najczęściej to i to. A tu dwoje pediatrów, w tym profesor, których obiektem lekarskiej opieki i troski są bezpośrednie rezultaty donoszonej ciąży, uznają tę ciążę za chorobę. Skoro ciąża jest patologią uzasadniającą radykalną i nierzadko ryzykowną interwencję, to z definicji jest nią jej rezultat – noworodek, a potem dziecko. Inaczej nie można. A zatem jeśli ciąża jest patologią, to patologią jest również człowieczeństwo, a profilaktyką… Dalej chyba nie muszę?

Czyżby państwo zapomnieli wpajany nam – jeśli nie od pierwszego, to na pewno od drugiego roku studiów – dogmat, że ciąża to nie żadna choroba, a odmienny, przejściowy, absolutnie fizjologiczny stan? Jego kluczowe znacznie dla istnienia gatunku *Homo sapiens* odzwierciedla dziś nieco archaicznie brzmiące określenie „błogosławiony".

Ponieważ normalna ciąża pod żadnym pozorem nie może być patologią, nie może również podlegać leczeniu. Tym samym jej przerwanie nie jest świad-

czeniem zdrowotnym. Natomiast bywa procederem krzywdzącym. Udokumentowane w literaturze fachowej powikłania aborcji – krwotoki wymagające transfuzji, niekompletne poronienia, infekcje łącznie z sepsą, a nawet śmierć – to bezdyskusyjne fakty. Debata dotyczy wyłącznie częstości występowania. Podkreślam, że ciąża i poród też noszą ryzyko podobnych powikłań. Zasadnicza różnica polega na tym, że do powikłań ciążowych dochodzi pomimo, często heroicznych, interwencji medycznych. W przypadku aborcji są one wyłącznie interwencji tej udokumentowanym ryzykiem.

„LUB"

Tak oto dochodzimy do wyszczególnianego powyżej „lub". Jakie mogą być działania medyczne będące świadczeniami zdrowotnymi, które równocześnie nie służą profilaktyce, zachowaniu, ratowaniu, przywracaniu lub poprawie zdrowia ani nie wynikają z procesu leczenia? Nie ma takich. Stąd konieczność odrębnych przepisów regulujących zasady ich udzielania.

Jeśli chodzi o działania medyczne wymagające odrębnych przepisów regulujących zasady udzielania – to w grę wchodzi zasadniczo jedno: aborcja na żądanie. Natomiast prawne zakwalifikowanie przerywania ciąży jako zdrowotnego świadczenia ma ułatwić zniesienie ograniczeń względem tej interwencji. Kamufluje ono rzeczywistą naturę procederu troską o zdrowie. Tym samym ma łagodzić moralne obiekcje i przynajmniej częściowo usunąć potencjalną przeszkodę legislacyjną.

Autorami tego prawa są premier Marek Belka i rządzący wówczas (sierpień 2004 r.) SLD. Godna podziwu jest jego polityczna dalekowzroczność. Wątpliwości budzi merytoryczna i etyczna zborność.

Działania medycznie niepodyktowane „profilaktyką, zachowaniem, ratowaniem, przywracaniem lub poprawą zdrowia ani niewynikające z procesu leczenia" i dla tego „regulowane odrębnymi przepisami", choć dalej pozostają działaniami medycznymi, to świadczeniami zdrowotnymi nie są. Ani nawet nie bywają. Z rzeczywistymi świadczeniami zdrowotnymi nie łączy ich nic poza nierzadko kryminalnym udziałem fachowców z lekarskimi dyplomami.

Sytuacji tych w historii medycyny było sporo, jak chociażby polityka eugeniczna (III Rzesza, USA), niemieckie komory gazowe i eksperymenty medyczne na więźniach (III Rzesza), psychiatria karna (ZSRS). Wszystkie te poczynania kwalifikują się jako medyczne, bo przebiegały z udziałem – jeśli nie pod kierownictwem – lekarzy korzystających z medycznej wiedzy i doświadczenia. Postacią emblematyczną jest SS-Hauptsturmführer – dr Joseph Mengele.

Do powikłań ciążowych dochodzi pomimo interwencji medycznych, w przypadku aborcji są one jej ryzykiem

Nawet egzekucje skazanych na śmierć zbrodniarzy, którym najpierw podawane są dożylnie środki uspokajające, a potem zatrzymujące krążenie, nie pretendują do bycia „świadczeniem zdrowotnym". I to mimo że procedura ta opracowana została przez lekarzy wyłącznie z myślą o komforcie skazanego.

OSOBA W CIĄŻY

Koalicja obywatelska, podążając za pojęciowym radykalizmem Lempart i Lewicy, również zrezygnowała z „kobiety" na rzecz „osoby w ciąży", chociaż – i tu niespodzianka – być może nie końca.

Każdy projekt ustawodawczy składa się z dwóch części: ustawy i jej uzasadnienia. W tej pierwszej KO jednoznacznie deklaruje: „Art. 1. Ustawa reguluje udział państwa w realizacji praw kobiet i mężczyzn w zakresie świadomego rodzicielstwa oraz prawa osoby w ciąży do przerwania ciąży".

W świetle powyższego artykułu ustawy pojęcia „kobiety" i „osoby w ciąży" to dwa różne przedmioty prawne. Gdyby oznaczały to samo, zbyteczne byłyby dwa różne określania. Którego z nich zatem dotyczy ten ustawodawczy projekt?

„Kobieta" występuje w ustawie tylko raz, w zacytowanym czysto eufemistycznym kontekście art. 1. „Osoba" natomiast 14-krotnie, w tym 12 razy jako ta „w ciąży". A więc sprawa, wydawałoby się, jasna. Okazuje się, że niekoniecznie. Otóż uzasadnienie tejże ustawy w pierwszym zdaniu jednoznacznie oznajmia: „Niniejszy projekt ustawy wychodzi naprzeciw problematyce ochrony praw kobiet".

„Kobiet", a nie „osób w ciąży". Mało tego. W tymże uzasadnieniu „kobieta" występuje 10-krotnie, a „osoba w ciąży" w ogóle. Dokładnie odwrotnie niż w ustawie, którą uzasadnienie to uzasadnia.

Na tym ten ustawodawczy chaos się nie kończy. Konstytucja RP przewiduje wyłącznie „kobiety ciężarne i matki" (art. 68 ust. 3 oraz art. 71 ust. 2), w tym „matki przed i po urodzeniu dziecka" (art. 71 ust. 2). Żadnych „osób w ciąży".

A zatem tylko uzasadnienie projektu KO dotyczy konstytucyjnego przedmiotu prawnego, czyli „kobiety". Natomiast podmiotem prawnym samej ustawy jest „osoba w ciąży" – semantyczne dziwactwo niemające nic wspólnego z konstytucją, biologią czy medycyną, a przede wszystkim z jakimkolwiek sensem.

Skąd więc ten rozbrat pomiędzy ustawą i jej uzasadnieniem? W pierwszej chwili myślałem, że to jakieś leniwe aktywiszcza podpięły uzasadnienie projektu aborcyjnego sprzed genderowej pandemii do obecnej ustawy bez jej przeczytania. Podparły się jednak Trybunałem Przyłębskiej. A więc aktualne. Czyżby cichy sabotaż? Nie sadzę. Raczej chwilowe oderwanie od rzeczywistości.

I to one rządzą dziś Polską. Na szczęście atomowy guzik jest poza ich zasięgiem. Biały proszek w plastikowej torebce – jak widać – nie.

A może ta „osoba w ciąży" to kolejny etap dawno ukartowanego przemycania do polskiego prawodawstwa terminologii LGBT?

Zaczynamy od pojęć, potem będą ustawy, a następnie terror. Pełzająca rewolucja z pustym serduszkiem w herbie. Ale najpierw aborcja bez kompromisów. Żeby jakieś tam ciąże nie utrudniały progresywnym aktywiszczom ich demokratycznego pełzania ku świetlanej, wyłącznie uśmiechniętej, przede wszystkim demokratycznej przyszłości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest lekarzem i naukowcem (m.in. Harvard Medical School), autorem oryginalnego odkrycia z hematologii i książek „Ostatnia tajemnica marszałka Piłsudskiego" oraz „Zamiast ekshumacji".



Mariusz Jagóra

Wygooglowana demokracja

Jasne jest, że google'owskiej sztucznej inteligencji nie brakuje uprzedzeń, jest nimi wręcz przepełniona. Jednak jaki jest tego cel i dlaczego to ma znaczenie?

Jak donoszą amerykańskie media, algorytmy generatora obrazów Google Gemini mają zakodowane jakieś cele, ale wierność historyczna nie jest jednym z nich. Program poproszony o zaprezentowanie wizerunku ojców założycieli Ameryki pokazuje obrazy czarnoskórych podpisujących coś, co wydaje się amerykańską konstytucją. Wydaje się, że Google wie, iż nieco przeszarżował z zakodowaną polityczną poprawnością rodem z ideologii woke i krytycznej teorii rasy, bo po głosach krytyki zapowiedział pauzę w korzystaniu z narzędzia Gemini. Stało się to po tym, jak użytkownicy wrzucili w sieć wygenerowane obrazy azjatyckich i czarnoskórych niemieckich nazistów z 1940 r., czarnoskórych wikingów, papieży czy średniowiecznych rycerzy płci żeńskiej. Naukowcy ostrzegają, że sztuczna inteligencja może tworzyć problemy rasizmu, seksizmu i innych uprzedzeń w społeczeństwach.

NIC NOWEGO

Wiele osób „odkrywa Amerykę" na nowo – bo stronniczość i lewicowa tendencyjność prezentowane w wynikach wyszukiwania to nic nowego – to google'owska codzienność. Analiza stronniczości przeprowadzona przez firmę medialną AllSides wykazała, że 63 proc. artykułów, które pojawiły się w Google News w 2023 r., pochodziło z lewicowych mediów, liczba prawicowych źródeł wiadomości wybranych do prezentowania w Google News wyniosła 6 proc.

Jasne jest, że google'owskiej sztucznej inteligencji nie brakuje uprzedzeń, jest nimi wręcz przepełniona. Ale jaki jest tego cel i dlaczego ma to znaczenie? Po pierwsze, pokazuje to, że jesteśmy karmieni całkowicie fałszywym obrazem przeszłości. A fałszowanie przeszłości lub zmienianie jej całkowicie pozbawia nas możliwości nie tylko zrozumienia jej, lecz także zrozumienia teraźniejszości. Orwell ostrzegał w swojej powieści „Rok 1984": „Kto kontroluje przeszłość, kontroluje przyszłość. Kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje przeszłość". Wygląda na to, że Google, zmieniając amerykańską i zachodnią przeszłość, próbuje stworzyć „nowego człowieka". Czy coś, co nie udało się komunistycznym władcom ZSRS, może się udać wolnorynkowej globalnej korporacji?

Po drugie, ma to olbrzymie znaczenie, bo stanowi zagrożenie dla demokracji. W dniach poprzedzających wybory śródokresowe w 2022 r. firma AllSides stwierdziła, że wyszukiwane hasło „wybory" nie zwróciło żadnych wyników Google News z mediów centrowych czy prawicowych.

Właśnie na to zagrożenie, jako najniebezpieczniejsze dla przyszłości demokracji, zwraca od lat uwagę dr Robert Epstein, psycholog, który metodami badań naukowych dowodzi, jak niebezpieczne są firmy technologiczne z grupy „Google and the gang", które prowadzą eksperyment behawioralny, stosując inżynierię społeczną na skalę globalną. Gdyby w dniu wyborów w 2016 r. Mark Zuckerberg wykorzystał Facebook do wysłania przypomnień „Idź i zagłosuj" tylko do zwolenników Hillary Clinton, to, ekstrapolując na podstawie danych opublikowanych przez sam Facebook (artykuł w „Nature" pt. „Eksperyment Facebooka zwiększa frekwencję wyborczą w USA"), mogłoby to zwiększyć liczbę głosów oddanych na panią Clinton o 450 tys. lub więcej, przy czym nikt poza Zuckerbergiem i kilkoma współpracownikami nie wiedziałby o tej manipulacji.

Czy jest sposób, żeby się przed tym obronić? Politycznie to trudne do uzyskania – z kwoty 15,3 mln dol., którą spółka Alphabet, do której należy Google, przeznaczyła na wsparcie partii politycznych, 14,2 mln dol. wpłynęło na konto Partii Demokratycznej. Demokraci więc nie będą chętni na ograniczanie monopolistycznych zapędów giganta, a republikanie są z reguły niechętni ingerowaniu w mechanizmy wolnorynkowe.

Robert Epstein doszedł do wniosku, że warto spróbować jakiejś formy kontroli społecznej. Kiedy w 2016 r. udowodnił, że Google manipulował wyborami przez wysyłanie przypomnienia „Go Vote" wyłącznie do zwolenników demokratów i osób niezdecydowanych, poszedł z tą informacją do mediów, a Google się wystraszył i zaprzestał manipulowania głosami.

Jakiego rodzaju system monitorowania byłby potrzebny? Czy istnieje sposób, by zaglądać internautom niejako „przez ramię" i sprawdzać, co firmy technologiczne pokazują im na ekranach, a czego inni nie powinni wiedzieć, bo wyniki wyszukiwania są chwilowe, efemeryczne, nie są zapisywane w pamięci komputera?

W 2015 r. dr Robert Epstein rozpoczął trwający lata projekt, w którego ramach nauczył się monitorować to, co firmy Big Tech pokazują użytkownikom. Na początku 2016 r. uruchomił pierwszy system monitorowania na dużą skalę, podobny do badań prowadzonych przez firmę Neilsen, który pozwolił



FOT. ADOBE STOCK

stworzonemu zespołowi za pomocą specjalnego oprogramowania zaglądać użytkownikom „przez ramię" i za ich zgodą przechwytywać wyniki wyszukiwania, które mogli zobaczyć na ekranach komputerów, zanim zniknęły. Z powodzeniem wdrożył takie systemy w czasie wyborów w latach 2016 i 2018, a także, na znacznie większą skalę, podczas wyborów w 2020 r.

Podczas zeznania składanego przed komisją senacką Epstein ostrzegał: „Jeśli wszystkie firmy Big Tech poprą tego samego kandydata – co jest prawdopodobne – to będą w stanie przesunąć nawet 15 mln głosów na tego kandydata bez niczyjej wiedzy i bez pozostawiania śladów na papierze. Pozwolenie firmom Big Tech na niewidoczną manipulację na taką skalę oznaczałoby rezygnację z wolnych i uczciwych wyborów, kamienia węgielnego demokracji. Pozbawiłoby to demokrację znaczenia, nawet gdyby wybrany przez ciebie kandydat zwyciężył. Należy zbudować ogólnoświatową sieć pasywnych systemów monitorujących, aby chronić ludzkość i demokrację przed manipulacjami ze strony dzisiejszego Google i Google jutra. Tylko technologia może walczyć z technologią; prawa i regulacje nigdy nie nadążą".

Po latach badań i zbierania funduszy powstał ogólnokrajowy program Digital Shield (Cyfrowa Tarcza – AmericasDigitalShield.com), która ma zmusić Google do zaprzestania manipulowania wyborami oraz kontrolowania treści docierających do najmłodszych użytkowników Google.

CZY MUSK WESPRZE DEMOKRACJĘ?

Czy Epstein zyskał potężnego sprzymierzeńca w postaci miliardera Elona Muska, właściciela platformy X (dawniej Twitter)? „Problemem nie jest jedynie Gemini, lecz także wyszukiwarka Google" – napisał Musk w poście na X, który odnosił się do google'owskiej strony „często zadawanych pytań", która jest tak zaprogramowana – co sam gigant technologiczny przyznaje – aby dbać o zasady „równości" i zapobiegać „niesprawiedliwości algorytmicznej": „W niektórych przypadkach właściwe może być niepodejmowanie żadnych działań, jeśli system dokładnie wpływa na obecną rzeczywistość, podczas gdy w innych przypadkach pożądane może być rozważenie, w jaki sposób możemy pomóc społeczeństwu osiągnąć bardziej sprawiedliwy i zrównoważony stan, poprzez interwencję w produkt lub szersze działania w zakresie korporacyjnej odpowiedzialności społecznej".

„Cieszę się, że Google przesadził z generowaniem obrazu AI, ponieważ dzięki temu ich szalone rasistowskie, antycywilizacyjne programowanie stało się jasne dla wszystkich" – napisał Musk. Nie po raz pierwszy skrytykował Google, Facebook i inne główne sieci społecznościowe za ingerowanie w algorytmy i banowanie „niepożądanych" treści.

W odpowiedzi na stronniczość Google Musk zapowiedział plan stworzenia konkurencyjnej usługi XMail i wyszukiwarki, która nie będzie zawierała zaprogramowanych uprzedzeń rasowych w prezentowanych wynikach wyszukiwania. Potentat technologiczny od dawna mówi o zamiarze przekształcenia X z serwisu społecznościowego w „aplikację do wszystkiego", która obejmie przetwarzanie płatności, zakupy i wiele więcej funkcji.

Robert Epstein uważa, że istnieje inny prosty sposób, aby zakończyć monopol firmy Google (firma nadal kontroluje niemal 92 proc. wszystkich wyszukiwań w Internecie). Chodzi o przekształcenie google'owskiego „indeksu" – ogromnej i stale rosnącej bazy danych, którą buduje z treści internetowych – w rodzaj domeny publicznej. Tym bardziej że istnieje na to precedens zarówno w prawie, jak i w praktykach biznesowych samego Google.

W przeszłości rząd amerykański interweniował w kwestiach nowych technologii – chodzi o Dekret o zgodzie z 1956 r., ugodę antymonopolową zawartą między rządem Stanów Zjednoczonych a AT&T (American Telephone & Telegraph Company). Dominacja AT&T na rynku telekomunikacyjnym, który obejmował zarówno usługi telefoniczne, jak i sprzęt telekomunikacyjny za pośrednictwem jej oddziału produkcyjnego, Western Electric, skutkowała brakiem konkurencji, co tłu-



miło innowacje w sektorze telekomunikacyjnym. Spowodowało to zaniepokojenie rządu Stanów Zjednoczonych, który złożył pozew antymonopolowy przeciwko AT&T. W wyniku osiągniętego porozumienia firma AT&T zgodziła się ograniczyć swoją działalność do obszaru obrony narodowej i świadczenia usług komunikacyjnych dla przewoźników oraz do licencjonowania wszystkich swoich patentów na niedyskryminujących zasadach. W rezultacie doprowadziło to do powstania znaczących innowacji technologicznych i pobudziło konkurencję na rynku sprzętu telekomunikacyjnego. W szczególności ułatwiło wejście na rynek nowych firm i rozwój nowych technologii, w tym półprzewodników i komputerów.

Google sam udostępnia swój indeks wybranym podmiotom, np. małej, innowacyjnej firmie Startpage z siedzibą w Holandii. W 2009 r. firma Google udostępniła Startpage swój indeks w zamian za opłaty generowane przez reklamy umieszczane w pobliżu wyników wyszukiwania Startpage. Dzięki dostępowi do indeksu Google – najobszerniejszego na świecie – strona Startpage oferuje doskonałe wyniki wyszukiwania, ale tym różnią się one od Google, że ten śledzi nasze wyszukiwania, a także monitoruje nas na wiele innych sposobów, dzięki czemu dostarcza spersonalizowane wyniki. Startpage nie śledzi użytkownika – szanuje i gwarantuje jego prywatność – i podaje wyniki ogólne, bez personalizacji. Niektórzy lubią spersonalizowane wyniki, inni cenią sobie prywatność.

CZY ODDADZĄ API?

Przekształcenie zasobów Google w domenę publiczną oznaczałoby, że firma musiałaby udostępnić cały swój indeks podmiotom zewnętrznym – firmom, organizacjom non profit, a nawet osobom prywatnym – poprzez coś, co programiści nazywają interfejsem programowania aplikacji, czyli API. Nieograniczony dostęp do indeksu Google spowodowałby, że w ciągu kilku miesięcy pojawiłyby się dziesiątki wariantów Startpage. W ciągu roku lub dwóch lat mogłyby powstać tysiące nowych platform wyszukiwania, małych – skierowanych do niszowych grup odbiorców – lub dużych, ale o różnych modelach biznesowych, co stworzyłoby środowisko zdrowej konkurencji – wyszukiwanie ponownie stałoby się konkurencyjne. Ponownie, bo pewnie wielu młodszych użytkowników Internetu uważa, że termin „wyszukać" jest synonimem terminu „wygooglować", i nie pamiętają czasów, kiedy istniało 21 konkurujących ze sobą wyszukiwarek, jak Yahoo!, Ask Jeeves, Lycos czy Altavista. Założona w 1998 r. wyszukiwarka Google zaczęła dominować w wyszukiwaniach dopiero w 2003 r.

Program Digital Shield ma zmusić Google do zaprzestania manipulowania wyborami

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Franciszek rozpoczął „wielką przebudowę"



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki w Polsce zajmuje się głównie sobą: wyborami do prezydium Konferencji Episkopatu, zmianami w diecezjach, dyskusją o modelu finansowania czy organizacją lekcji religii w szkołach. To wszystko ważne rzeczy, ale o wiele istotniejsze jest to, co się dzieje w Kościele powszechnym. Papież Franciszek i jego zaplecze przygotowują właśnie opatrzony na długie lata plan, o soborowym wręcz rozmachu, który ma przynieść zmiany przekształcające również nasz polski katolicyzm

W październiku tego roku odbędzie się w Rzymie finalna sesja Synodu o synodalności, reformistycznego procesu rozpoczętego przez Franciszka trzy lata temu. Polacy uczestniczą w tych wydarzeniach, ale w naszej debacie dominuje dość ogólnikowe powtarzanie haseł o synodalnym „dynamizowaniu i włączaniu świeckich" (abp Tadeusz Wojda), „przestrzeni powszechnego spotkania" (kard. Grzegorz Ryś) albo „polifonicznym wielogłosie tworzącym harmonię" (abp Adrian Galbas).



Papież Franciszek i najważniejszy watykański synodalista, Maltańczyk kard. Mario Grech

FOT. HANDOUT/VATICAN MEDIA/AFP/EAST NEWS

Brakuje wciąż zrozumienia, czym tak naprawdę jest trwający synod.

Kilka tygodni temu obszerny artykuł na ten temat opublikował chiński kard. Joseph Zen Ze-kiun. Trudno nie zgodzić się z analizą tego zasłużonego purpurata, jakkolwiek na oficjalnej narracji synodalnej nie zostawia suchej nitki. Zen zwrócił uwagę na całą masę manipulacji towarzyszących synodowi. Na przykład: synod jest określany jako Synod Biskupów, ale uczestniczą i głosują w nim świeccy, więc de facto nie jest Synodem Biskupów – nazwa to po prostu fałsz. Dalej: protagoniści synodu z papieżem na czele mówią z jednej strony, że „synodalność" jest „konstytutywna" dla Kościoła, ale z drugiej twierdzą, że ta sama synodalność… dopiero powstaje i wciąż jest dookreślana, a – jak podkreślił chiński kardynał – jedno wyklucza drugie; jeżeli bowiem jakieś zjawisko jest konstytutywne, to musi już istnieć i być zdefiniowane. Na tym nie koniec. Problematyczny charakter ma też metodologia rozmów między biskupami i świeckimi prowadzonych na synodzie. Są określane jako „rozmowy w Duchu" i mają być zakorzenione w duchowości św. Ignacego Loyoli. Rzeczywiście – zauważa Joseph Zen – synodalna metoda dyskusji pochodzi od Towarzystwa Jezusowego, ale… chodzi tu o metodę używaną konkretnie przez jezuitów w Kanadzie do tego, by wyciszyć dyskusję i skłonić wszystkich szeregowych zakonników do skrajnie biernego przyjęcia i zaakceptowania woli przełożonych („perinde ac cadaver", „jakby byli trupami" – napisał kardynał). Chiński purpurat wspomniał również o wielkim problemie, na który narzekał niedawno najważniejszy kardynał z Afryki, Kongijczyk Fridolin Ambongo, zresztą bliski doradca Franciszka. Otóż na sesji synodalnej z października 2023 r. uczestnicy nie mogli dojść do zgody w sprawie LGBT.

Synod o synodalności to tylko wielopiętrowa maszyneria do implementowania z góry ustalonych idei skrzydła postępowego

Postanowili więc przenieść dyskusję na kolejny poziom. Papież, zamiast poczekać i zostawić im czas na refleksję, podjął arbitralną decyzję i wprowadził w Kościele błogosławienie par homoseksualnych, idąc za opinią radykalnej progresywnej części zgromadzenia synodalnego. A przecież wcześniej podobny manewr wykonano tuż przed początkiem synodu: papież ogłosił jego zwołanie w czerwcu 2021 r., a już w lipcu wydał zakazy dotyczące tradycyjnej Mszy św., choć temat ten mógłby przecież zostać najpierw „synodalnie" przedyskutowany. Ten modus operandi, jak nietrudno zauważyć, obnaża dosyć zasadniczą nieuczciwość całego procesu i pokazuje, że – niestety – jest dokładnie tak, jak obawiali się tego konserwatywni krytycy: Synod o synodalności to tylko wielopiętrowa, złożona maszyneria do implementowania z góry ustalonych idei skrzydła postępowego. Musimy uświadomić sobie to również w Polsce, bo – powtórzę – wciąż zbyt duża grupa biskupów,

księży i świeckich wygłasza w kościelnych mediach radosną synodalną „propagandę" o partycypacji, wsłuchiwaniu się i otwartości na argumenty. Nic z tych rzeczy; a problemy będą się tylko zaostrzać.

SEKSUALNOŚĆ, KAPŁAŃSTWO I ROLA KOBIET

W ostatnich miesiącach z wielkim hukiem upadł mit założycielski synodu: jakoby cały ten proces miał być poświęcony enigmatycznej i z natury rzeczy ogólnej „odnowie synodalnej". Okazało się, że chodzi o bardzo konkretne kwestie, dokładnie tak, jak już dwa lata temu niedwuznacznie sugerował jeden z najważniejszych „ludzi papieża od synodu", kard. Jean-Claude Hollerich, Luksemburczyk i wielki przyjaciel liberalnego Kościoła w Niemczech. Hollerich zapowiadał, że chociaż on osobiście nie ma „żadnej agendy" na synod, to byłoby zrozumiałe, gdyby zajęto się takimi kwestiami jak seksualność, kapłaństwo czy rola kobiet. Najważniejszy watykański synodalista, Maltańczyk kard. Mario Grech, zamiast mówić, po prostu działał – tak budował wszystkie komisje sporządzające synodalne dokumenty, by w ich treści przebiły się postulaty ważne dla środowisk skrajnie progresywnych. Na spotkaniach synodalnych nikt nie trudził się próbą zdefiniowania pojęcia „synodalności"; rozmawiano po prostu o twardych faktach: o tym, czy celibat jest jeszcze potrzebny; czy kobiety mogą być księżmi; co robić z poligamią; jak zmienić antropologię w kontekście ideologii gender; jak wprowadzić do Kościoła więcej demokracji i partycypacji świeckich.

14 marca tego roku Watykan ujawnił list, który 22 lutego Franciszek napisał do wspomnianego kard. Grecha. Papież polecił mu stworzenie 10 komisji, które będą działać jeszcze po zakończeniu Synodu o synodalności w październiku tego roku; wyniki swoich prac mają przedstawić w czerwcu 2025 r. Czym się zajmą komisje? Paleta zagadnień jest niezwykle szeroka: relacje z Kościołami wschodnimi; podejście do osób wykluczonych (ubogich, homoseksualnych, rozwodników); misja w świecie cyfrowym; rewizja kształcenia księży; nowe posługi dla kobiet, w tym diakonat; zmiana rozumienia władzy biskupa; zmiana sposobu wybierania biskupa; nowe uprawnienia Kościołów lokalnych; różnorodność doktryny i moralności; ekumenizm. Jak zauważy czytelnik, rozmach tych komisji jest naprawdę ogromny. Trudno się oprzeć historycznemu porównaniu do schematów, które św. Jan XXIII polecił przygotować przed Soborem Watykańskim II. Nie to, żeby papież Franciszek chciał koniecznie zwoływać Sobór Watykański III albo Sobór I w São Paulo – liczba biskupów na świecie jest dziś tak wielka, że organizacja soboru byłaby niezwykle karkołomna. Przy tym papieżu, oczywiście, wszystko jest możliwe, ale zgodne z jego sposobem działania byłoby raczej coś innego: opracowanie 10 „schematów odnowy synodalnej", które zostaną później „przedyskutowane" przez specjalne komisje, w teorii reprezentujące „Lud Boży" z całego katolickiego świata, ale w praktyce skrupulatnie przebrane, tak żeby dominację mieli ci co trzeba. Efektem byłby sobór bez soboru albo sobór niebezpośredni, tzn. reprezentacyjny, w którym udział biorą tylko duchowni i świeccy „delegaci".

Franciszek jest zdeterminowany, aby albo samemu przebudować Kościół aż do samych fundamentów, albo zostawić swojemu następcy rozpoczęty projekt takiej przebudowy

PRZEBUDOWAĆ KOŚCIÓŁ

Niezależnie od tego, jaką formę przeprowadzenia swoich reform wybierze papież, jedno wydaje się pewne: Franciszek jest zdeterminowany, by albo samemu przebudować Kościół aż do samych fundamentów, albo zostawić swojemu następcy rozpoczęty projekt takiej przebudowy. Wszyscy doskonale pamiętamy, jak wielkie zamieszanie zrodziły dokumenty Soboru Watykańskiego II, a jakkolwiek by je krytykować, stworzyli je ludzie mający niezrównanie bliższy kontakt z tradycyjną i rzetelną teologią niż ci hierarchowie, którzy dzisiaj odgrywają w Kościele wiodącą rolę. Proszę tylko pomyśleć o znanych państwu najbardziej wpływowych kardynałach czy biskupach ze świata. Jakie dokumenty reformistyczne mogą wyjść spod ich ręki?

Pytania, które stawiają ci ludzie – i na które, proszę mi wierzyć, mają już gotowe odpowiedzi – są m.in. takie: Jak bez ewidentnego zrywania z Tradycją Kościoła wykazać, że płeć nie powinna mieć żadnego znaczenia dla rozumienia kapłaństwa? Jak umożliwić ludziom świeckim wpływ na wybór biskupa? W jaki sposób ograniczyć władzę doktrynalną i moralną papieża, tak żeby pozostawiając go w roli głowy Kościoła, umożliwić zarazem formalną jedność z protestantami? Jak skłonić katolików do tego, by akceptowali fakt życia według zupełnie innej moralności przez różne grupy wierzących w różnych krajach? Jak zbudować Kościół powszechnego braterstwa, skupiony wyłącznie wokół kilku „elementarnych prawd", takich jak istnienie Boga, bez wywoływania nadmiernej ekscytacji „niedorozwiniętych intelektualnie" i „zapóźnionych kulturowo" ludzi z Europy Wschodniej albo Afryki? To parafraza, ale opisuję tymi pytaniami zupełnie autentyczną dyskusję prowadzoną przez czołowych ludzi Kościoła na świecie związanych z reformistycznym „obozem Franciszka".

W tym obozie są hierarchowie nie tylko z dużej grupy krajów Europy Zachodniej i ze Stanów Zjednoczonych, lecz także z Ameryki Łacińskiej czy nawet niektórych regionów Azji i Afryki Północnej, obsadzonych przez ludzi wykształconych na europejskich uniwersytetach. Można zaryzykować tezę, że w sumie stanowią grupę o wiele szerszą niż reformatorzy z Soboru Watykańskiego II.

W tej sytuacji, przyznają państwo, spory o obsadę archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej albo o szczegóły zastąpienia pieniędzy z Funduszu Kościelnego nieco bledną. Musimy pilnie zająć się tym, co naprawdę ważne, czyli obroną tego, co w Kościele niezmienne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.


REPUBLIKA
ZAPRASZAMY
DO SKLEPU
TELEWIZJI
REPUBLIKA
#JEDZIEMY
@michalrachon
#włączprawdę
WWW.SKLEP.TVREPUBLIKA.PL



Benedykt Czuma przemawia podczas Walnego Zebrania Delegatów NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej w 1989 r. FOT. ARCHIWUM RODZINY CZUMÓW

Epitafium dla Benedykta

Na pogrzebie Benedykta Czumy jego bliscy mówili, że umarł w opinii świętości, podobnie jak jego starszy brat, o. Hubert Czuma SJ. Pół wieku temu dawali przykład innym, że narzuconej Polsce kolaboracyjnej władzy można stawiać opór

Historia, dzieje narodów, najważniejsze pole społecznej wolności ludzi, to nie sekwencja popisów na „scenie politycznej", ale długi proces łączący wzajemnie warunkujące się ogniwa. Nie ma bardziej uprawnionej ambicji politycznej od tego, by stać się zaczynem dalszych prac w służbie sprawy narodowej. W polskiej kulturze na historię patrzyliśmy zawsze przez pryzmat walki o odzyskanie i zachowanie niepodległości, tak opisywali ją Kukiel i Kieniewicz, Pobóg-Malinowski i Konopczyński.

NIE ŻEGNAŁA GO SALWA HONOROWA

Krótko po ostatnim Święcie Niepodległości zmarł Benedykt Czuma. Na jego pogrzebie był oczywiście sztandar Regionu Solidarności, ale zabrakło kompanii honorowej, choć żegnaliśmy jednego z najważniejszych bohaterów współczesnej walki o wolną Polskę. Niestety, zgiełk rozmaitych partyjnych polityk historycznych w dużym stopniu zagłusza pamięć narodową, pomija osoby i fakty, które trudno wykorzystać dla intencjonalnych kampanii.

Tymczasem Benedykt Czuma należał do przywódców Ruchu, organizacji podziemnej działającej w czasach gomułkowskiej stabilizacji PRL. Zbigniew Herbert powiedział o Ruchu, że pierwszy podjął sprawę niepodległości Polski po rozbiciu powojennego zbrojnego oporu. Istotnie – jak trafnie napisał Piotr Byszewski, autor poświęconej Ruchowi monografii – organizacja ta była klamrą spinającą Polskę Walczącą i Solidarność. Działała bowiem w podziemiu, jak powojenne formacje niepodległościowe, a jednocześnie dążyła do obudzenia politycznej odpowiedzialności w społeczeństwie, jak późniejsza opozycja demokratyczna. Ojciec kierujących Ruchem braci Czumów (Andrzeja, Huberta, Łukasza i samego Benedykta) był z powodu zaangażowania w działalność WiN więźniem stalinowskim, wuj braci Niesiołowskich – Tadeusz Łabędzki, przywódca podziemnej Młodzieży Wszechpolskiej – został zamordowany przez UB, a jednym z przywódców Ruchu był Marian Gołębiewski, cichociemny i dowódca oddziału partyzanckiego walczącego z Niemcami i komunistami.

WŚRÓD TYCH, CO NA KOLANACH

Ruch podjął działania w szczególnym momencie. W historii bowiem są czasy koniunktur i dekoniunktur. Opór w czasach niesprzyjających jest równie ważny, jak wykorzystanie szans, gdy stają się już widoczne. Koniec lat 60. kojarzy się powszechnie z rewolucją Nowej Lewicy na Zachodzie, u nas – z próbami reformowania systemu przez konfrontowanie go z ideałami marksistowskiego socjalizmu.

Oczywiście historię najłatwiej opowiadają ci, którzy mają najlepsze mikrofony. Naszą historię lat 60. najlepiej (z pomocą przyjaciół na Zachodzie) opowiedziały środowiska opozycyjnej, postmarksistowskiej lewicy. A przecież pierwsza połowa lat 60. to uliczne pro-

testy katolickie brutalnie tłumione przez władze (m.in. w Nowej Hucie i Zielonej Górze) i millenijna konfrontacja prymasa Wyszyńskiego z reżimem Gomułki. W istocie obchody te stanowiły przełomowy moment w starciu z komunizmem, bo wtedy Polacy zobaczyli się razem podczas wielkich uroczystości religijnych i to był realny fundament późniejszych pielgrzymek papieskich.

Choć jednak tamten ruch miał wielkiego duchowego przywódcę i rezonans katolickiego ludu, to nie miał swych trybunów, kronikarzy i wyrazu politycznego. Prawdziwą odpowiedzią na patriotyczne orędzie kard. Wyszyńskiego był właśnie Ruch. Jego działacze i przywódcy zapłacili za swą wierność wieloletnimi karami więzienia. A warto pamiętać, kiedy to się działo; Benedykt Czuma był rówieśnikiem… Beatlesów.

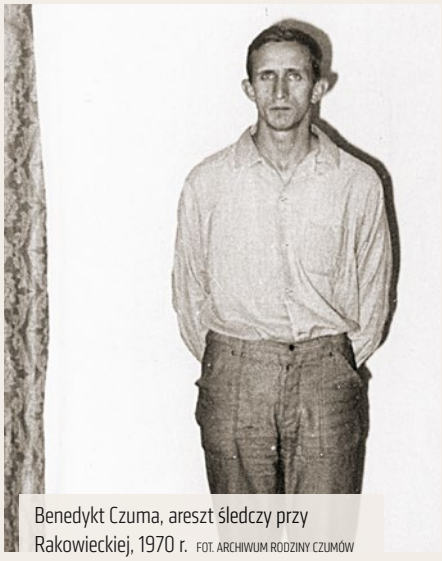
ELITA WOLNEJ POLSKI

Rodzina, z której pochodził, to piękny przykład państwowej elity wolnej Polski, świadkowie realnej demokratyzacji zrealizowanej w ciągu półwiecza narodowego przebudzenia pod koniec XIX w. i 20 lat odzyskanego państwa. Ojciec Benedykta Czumy – prof. Ignacy Czuma – był szambelanem papieskim, prorektorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, posłem na Sejm z Polskiego Stronnictwa Katolicko-Ludowego i współautorem konstytucji kwietniowej (on napisał m.in. ustęp art. 2 o „spoczywającej na Prezydencie Rzeczypospolitej odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy Państwa"). Jego bliski kuzyn (stryj kierujących Ruchem braci Czumów), gen. Walerian Czuma, dowodził obroną Warszawy w czasie kampanii wrześniowej. Natomiast przodkami tej znakomitej inteligenckiej rodziny byli małorolni galicyjscy chłopi spod Krakowa.

Ignacy, Walerian (i jego brat Władysław) ruszyli w pole w czasie pierwszej wojny światowej. Walerian – jako oficer II Brygady – przeszedł pod Rarańczą front i stanął na czele 5. Dywizji Strzelców Polskich (Syberyjskiej) walczącej z wojskami bolszewickimi. Ignacy znalazł się w 1915 r. w niewoli i z wojny wrócił z rosyjską żoną, księżniczką Lubow Szujską. Ich synowie, którzy potem założą Ruch, byli więc potomkami biednych galicyjskich rolników i bizantyjskich książąt. Naturalna godność i skromność to były cechy, które uderzały chyba wszystkich, którzy mogli ich spotkać.



Tatry, 1992 r. Benedykt z bratem Andrzejem
FOT. ARCHIWUM RODZINY CZUMÓW



Benedykt Czuma, areszt śledczy przy Rakowieckiej, 1970 r. FOT. ARCHIWUM RODZINY CZUMÓW

ZWYCZAJNA SŁUŻBA

Sam Benedykt nie był jednowymiarowym straceńczym konspiratorem, przeciwnie. Wraz ze swą żoną Elżbietą, czołową działaczką studenckiej opozycji lat 70., założyli wspaniałą wielodzietną rodzinę, będąc wzorem łączenia poświęcenia społecznego ze zwyczajną odpowiedzialnością za najbliższych.

Mimo wybitnej roli historycznej i długiej aktywności publicznej Benedykt Czuma nie został politykiem. Na zebraniach Ruchu Obrony czy Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego nie pchał się do głosu. W Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (który bracia Czumowie zakładali po wyjściu z więzienia) wspierał stanowisko brata, Andrzeja, późniejszego ministra sprawiedliwości, obdarzonego większym temperamentem politycznym. Dla robotników z Solidarności redagował magazyn „Solidarność Ziemi Łódzkiej" i pod tym samym tytułem opublikował potem historyczną książkę. W Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym stał zawsze po stronie marszałka Wiesława Chrzanowskiego.

Na pogrzebie Benedykta Czumy jego bliscy mówili, że umarł w opinii świętości, podobnie jak jego starszy brat, o. Hubert Czuma SJ, również uwięziony w sprawie Ruchu. Pół wieku temu dawali przykład innym, że narzuconej Polsce kolaboracyjnej władzy można stawiać opór; a przez całe lata potem, że służba może być zasadą życia, niezależnie od okoliczności. To małe epitafium to wyraz naszej wdzięczności za to, że własną pracę publiczną mogliśmy zaczynać w cieniu podjętej przez nich walki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Marian Piłka, Marek Jurek, Tomasz Szyszko



KOMUCHOŻERCA

Delegatura Rządu

LESZEK ŻEBROWSKI

W historii okupacji Polski w latach 1939–1945 niezwykle mało miejsca poświęca się Delegaturze Rządu na Kraj (DRnK). Była to równoległa do wojskowej – cywilna – polityczna sfera konspiracji. Oba piony wzajemnie się uzupełniały, niekiedy (z konieczności) dublując swe funkcje. DR swą siecią organizacyjną pokrywała cały kraj (w przeciwieństwie do ZWZ-AK nie wychodziła poza przedwojenne granice II RP). Jednak wiele prac planistycznych i studialnych wykonywano odnośnie do potencjalnych nabytków na zachodzie, czyli dotyczących dawnych ziem polskich, w przewidywaniu przyłączenia ich po wojnie (nie określając ich rozmiarów) do wyzwolonej Polski.

Prace DR można podzielić na bieżące (dotyczące okupacji – do czerwca 1941 r. również sowieckiej) oraz planistyczne, z zakresu zagadnień „Polska po wojnie". Do tych pierwszych zaliczyć można bieżące „administrowanie" (w konspiracji) zasobami ludzkimi i materialnymi; należały do nich również działania z zakresu bezpieczeństwa, szkolnictwa, sądownictwa – w tym przypadku cywilnego. Zagadnienia planistyczne to wszelkiego rodzaju studia zagospodarowania po wojnie wyzwolonych ziem, plany jak najszybszego odtworzenia administracji, aby mogła zacząć pełnić jawnie swe funkcje. A i z tym były problemy. W KG AK powstała bowiem koncepcja stworzenia Wydziałów Wojskowych, które miały dublować (na wszystkich szczeblach) funkcje DR, aby władza nie trafiła „w niepowołanie ręce", czyli czynników politycznych wywodzących się z przedwojennej opozycji.

Nominalnie DR tworzyła tzw. gruba czwórka: Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Narodowe, Polska Partia Socjalistyczna i Stronnictwo Pracy. Miały one różne znaczenie, np. SP była organizacją niewielką, o znikomych wpływach. Poza DR pozostały natomiast całe środowiska ukształtowane w warunkach wojennych.

Warto tu przypomnieć przysięgę DR: „Pragnąc służyć Państwu i Narodowi Polskiemu, będąc posłuszny zarządzeniom legalnego Rządu Rzeczypospolitej, znajdującemu się poza granicami kraju, wykonywanym za pośrednictwem Delegata Rządu w Kraju, przyjmuję na siebie dobrowolny obowiązek walki o wolność Ojczyzny, uświadamiając sobie niebezpieczeństwo grożące mi ze strony wroga, w razie ustalenia mego udziału w pracy tajnej – wstępuję w szeregi Państwowej Służby Cywilnej.

Przysięgam w obliczu Boga Wszechmogącego, że na stanowisku swym będę karnie, wiernie i nieugięcie spełniać powierzone mi zadania w celu wyzwolenia Polski od najeźdźców, rozporządzeniom swych przełożonych będę posłuszny, tajemnicy zawsze dochowam – tak mi dopomóż Bóg". ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bitwa pod Legnicą

SŁAWOMIR KOPER

Księciu wrocławskiemu, Henrykowi Brodatemu, udało się zjednoczyć ponad połowę kraju rozbitego na dzielnice. Wiekowy Piast zmarł jednak w 1238 r., a jego następcą został syn i imiennik o przydomku Pobożny. To był nieodrodny syn swojego ojca, doskonały polityk i dobry gospodarz. Panował jednak samodzielnie zaledwie przez trzy lata, a kres jego władzy przyniosły wydarzenia, na które nikt w Polsce nie miał wpływu.

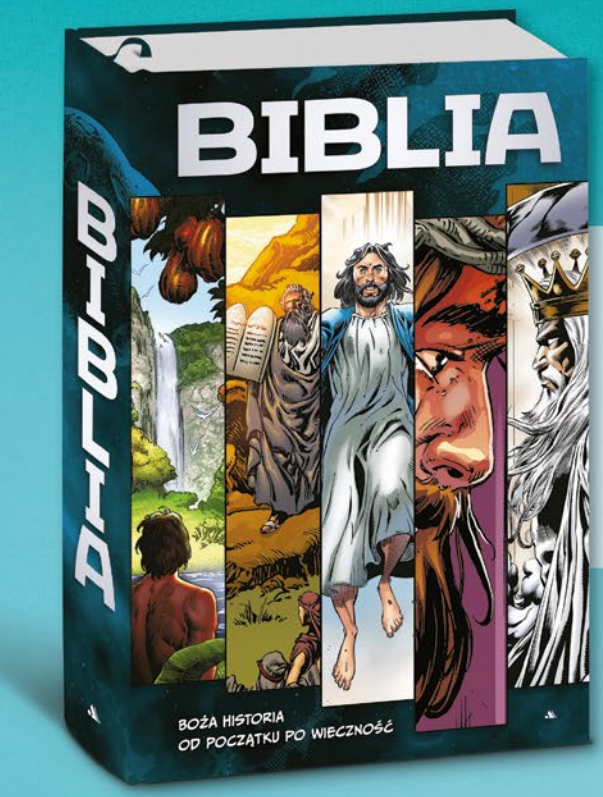
Zagrożenie przyszło z Azji, gdzie w ciągu kilku dekad Mongołowie stworzyli ogromne imperium. Podbili część Chin, opanowali Azję Środkową, pokonali książąt ruskich i zniszczyli Kijów. W styczniu 1241 r. pierwsze oddziały najeźdźców wdarły się na nasze ziemie, badając brody i przeprawy. Henryk Pobożny wiedział o zagrożeniu i wezwał władców chrześcijańskiej Europy do pomocy. Pozostał jednak sam, gdyż do jego oddziałów dotarli jedynie nieliczni rycerze zakonni: templariusze, joannici, krzyżacy. Pojawiła się również grupa rycerskich ochotników pod dowództwem margrabiego Moraw, Bolesława. Kilka tygodni później potężna armia tatarska ruszyła na Węgry, a druga na Polskę.

Wrocławski książę skoncentrował siły w zachodniej części Śląska, a w tym czasie najeźdźcy rozgromili rycerstwo małopolskie pod Chmielnikiem, spalili Kraków i Wrocław. 9 kwietnia 1241 r. pod Legnicą doszło do bitwy, która na zawsze zadecydowała o losach Piastów śląskich.

Tuż przed starciem siły polskie wzmocniło kilkuset górników ze Złotoryi. Byli to osadnicy niemieckiego pochodzenia, którzy w obronie nowej ojczyzny mieli zginąć co do jednego na polu bitwy.

Mongołowie rozbili pierwszy oddział chrześcijan złożony z ochotników, a podczas walki zginął margrabia Moraw. Wynik bitwy był jednak niepewny, aż wreszcie najeźdźcy zastosowali gazy bojowe płoszące konie. Wśród chrześcijan wybuchła panika, którą podsycali ruscy wojownicy (walczący po stronie najeźdźców) wołający: „bieżajcie", „bieżajcie" (uciekajcie, uciekajcie). Wówczas załamały się szeregi rycerstwa i polskie oddziały rzuciły się do ucieczki w kierunku grodu legnickiego. Henryk Pobożny nie zdołał się jednak wycofać i otoczony przez wroga poległ na polu bitwy (lub też ranny został ścięty w mongolskim obozie). Jego głowę, zatkniętą na włóczni obnoszono wokół grodu w Legnicy, a zwycięzcy nacięli podobno kilka wozów uszu (w ten sposób liczono zabitych przeciwników). Na polu bitwy poległa większość ochotników, zakonników i polskiego rycerstwa. Państwo Henryków śląskich przestało istnieć i na zjednoczenie Polski trzeba było jeszcze poczekać kilka dekad. ©℗

NOWA BIBLIA W KOMIKSIE!



POSIADA IMPRIMATUR

Nowość!

50 zł taniej

~~149,00~~

99,00

Kod: 400334

Biblia

Boża historia od Początku po Wieczność

WYDAWNICTWO AA, 17×26, s. 832, twarda,

Ta komiksowa adaptacja Biblii ukazuje prawdziwe i rzeczywiste Słowo Boże w niezwykle atrakcyjnej formie artystycznej. U dołu każdej strony znajdują się odniesienia do konkretnych fragmentów Pisma Świętego, a cała opowieść, przedstawione wydarzenia i dialogi podążają ściśle za tekstem Biblii.

Nowość!

50 zł taniej

~~169,00~~

119,00

Kod: 400860

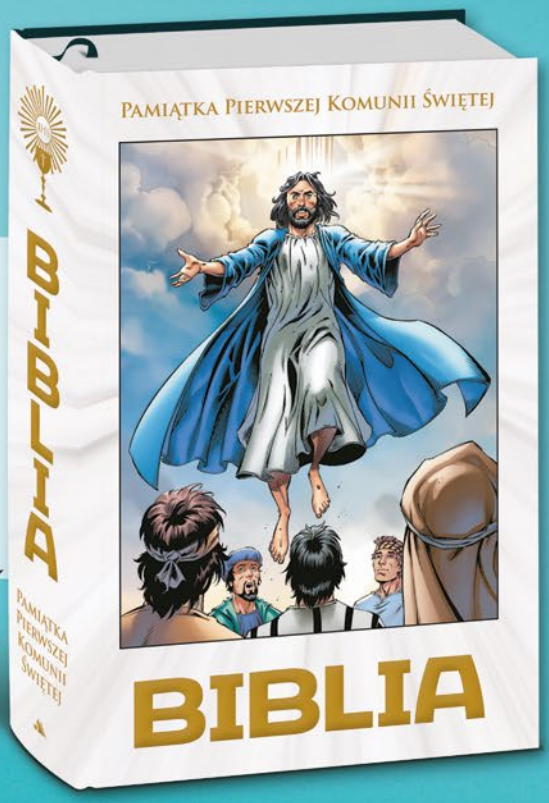
Obwoluta ze złoceniami!

Biblia

Boża historia od Początku po Wieczność

WYDAWNICTWO AA, 17×26, s. 832, twarda, obwoluta ze złoceniami,

Biblia w wersji komunijnej – z możliwością wpisania spersonalizowanej dedykacji. Dane personalne do dedykacji należy zgłosić telefonicznie podczas składania zamówienia lub na stronie internetowej: www.religijna.pl. Czas realizacji do 14 dni.



WERSJA KOMUNIJNA



DZIEŁO WYBITNYCH AUTORÓW TWORZĄCYCH DLA MARVEL I DC COMICS!

Zamówienia na www.religijna.pl lub pod nr tel. 12 345 42 00



Czy obecny burmistrz Ekrem İmamoğlu powtórzy drogę Erdoğana i przejmie władzę w Turcji? FOT. TOLGA BOZOGLU/EPA/PAP

Kemaliści wracają do gry



Teresa Stylińska

Gdy Recep Tayyip Erdoğan, prezydent Turcji, wygrywa wybory, wraz z nim zawsze wygrywa demokracja – tak przynajmniej ma on zwyczaj od lat ogłaszać. Tym razem pierwszy raz jest inaczej. Chociaż erdoganowska partia poniosła wyborczą porażkę, to demokracja, według prezydenta, istnieje i działa

Wybory lokalne, bo o nich mowa, wszędzie na świecie traktowane są właśnie jako wybory lokalne plus ewentualnie jako sprawdzian popularności ogólnokrajowych partii politycznych. W Turcji jest jednak inaczej. Wybory władz miast i regionów, przeprowadzane co pięć lat, sygnalizują tendencje: czy zanosi się na zmiany na szczytach władzy czy też na utrzymanie status quo. Nawet jeśli zmiany nie są natychmiastowe, bo wyniki lokalne na układ sił na szczeblu krajowym przekładają się z opóźnieniem, to doświadczenia ostatnich kilkudziesięciu lat każą traktować je z pełną powagą.

U prezydenta powyborcza zmiana tonu to akcent tyleż niespodziewany, co znamienny. Erdoğan ma zapewne poczucie, że kontrola nad państwem zaczyna wymykać mu się z rąk. Skoro zawsze działał w myśl zasady, że „moja partia to ja", to pokonana została nie tylko Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), jego wierne zaplecze. Przegrał on sam, na domiar złego nie tylko w skali kraju, lecz także, co najgorsze, w ukochanym Stambule, którego mieszkańców osobiście przekonywał, by głosowali jak trzeba. Wie, że jego pozycja słabnie, a to oznacza dodatkowe wyzwania, może nawet oddanie władzy wraz z końcem kadencji prezydenckiej w 2028 r.

Zresztą tak naprawdę bardzo trudno jest dzisiaj przewidzieć, w jakim kierunku rozwinie się sytuacja. Zbyt wiele jest niewiadomych.

NIE DO WIARY!

Oto powód do niepokoju: partię Erdoğana, która od 2002 r. zdecydowanie wygrywała wszystkie wybory, poza jednymi, które przegrała wiosną 2015 r., poparło w skali kraju tylko 35,5 proc. wyborców. Zwyciężyła, odnosząc największy sukces od 1977 r., kemalistowska Republikańska Partia Ludowa (CHP), główne ugrupowanie opozycji. Otrzymała blisko 38 proc. głosów. Nie to jest jednak najważniejsze. Najważniejsze jest, że CHP zdołała utrzymać władzę w Stambule i Ankarze, dwóch najważniejszych miastach Turcji, i że ogromnie poszerzyła swój stan posiadania w całym kraju, łącznie z Anatolią, bastionem islamistów z AKP.

Spośród 81 prowincji aż 35, o 13 więcej niż do tej pory, będzie odtąd w rękach kemalistów. AKP zachowała władzę w 24 prowincjach, tracąc 15. Pozostałe będą rządzone m.in. przez neoislamistów, nacjonalistów i nową kurdyjską partię DEM. Jeszcze bardziej wymowne są wyniki w miastach. Kandydaci CHP na burmistrzów wygrali w 14 miastach, w tym w całej wielkiej piątce: Stambule, Ankarze, Izmirze, Adanie i Antalyi. Kemalistom udało się nawet wygrać w Adiyaman, na terenie spustoszonym przez trzęsienie ziemi z lutego ubiegłego roku, co jest nie lada wyczynem, bo mieszkańcy zniszczonych terenów i teraz, i w wyborach sprzed roku poparli Erdoğana i AKP.

„To nie do wiary!" – tak swe odczucia, gdy poznał wyniki głosowania, podsumował komentator dziennika „Cumhuriyet", najważniejszej i najbardziej szacownej gazety opozycyjnej, niechętnej Erdoğanowi, zresztą z wzajemnością (jej czołowi

dziennikarze są dziś za granicą, najbardziej prominentnych oskarżano przed laty w procesach wymierzonych w opozycję).

Zaskoczenie jest zrozumiałe. Przed rokiem wydawało się, że koalicja sześciu partii opozycyjnych, pod przewodnictwem CHP – największej, najstarszej i najważniejszej, bo to partia Mustafy Kemala Atatürka, twórcy republiki – ma wszelkie szanse na wygranie wyborów prezydenckich i parlamentarnych. Wysoka inflacja, ogromny wzrost kosztów utrzymania, nieudolność, którą wykazały się władze po trzęsieniu ziemi – wszystko to razem wzięte pozwalało sądzić, że nadszedł kres rządów Recepa Erdoğana. Tak się jednak nie stało.

Co się zatem przez ten rok zmieniło? Problem w tym, że nic. Władze nie zdołały opanować inflacji (dziś na poziomie 67 proc.) i wielu – czy raczej większość – Turków z coraz większym trudem wiąże koniec z końcem. Czas zweryfikował szumne deklaracje i obietnice, które okazały się puste.

PREZYDENT I 17 MINISTRÓW

„Kto rządzi Stambułem, ten rządzi Turcją" – wyjątkową rolę 16-milionowej metropolii podsumował niegdyś sam Recep Erdoğan, świadom oczywiście, że owa zgrabna maksyma przynajmniej w jego wypadku sprawdziła się w całej rozciągłości. W wyborach lokalnych w 1994 r. został wybrany na burmistrza tego miasta. Był to początek drogi, która doprowadziła go do stanowiska szefa państwa i przejęcia pełni władzy, bez żadnych praktycznie ograniczeń.

Prezydent ma do Stambułu stosunek osobisty, bo tu się wychował i tu zaangażował w politykę, u boku ówczesnego przywódcy tureckich islamistów Necmettina Erbakana. Widzi również w Stambule, nie bez racji zresztą, ucieleśnienie dawnej potęgi i świetności Turcji z czasów imperium Osmanów.

Są jednak również czynniki obiektywne, które czynią z dawnej stolicy miejsce pod pewnymi względami ważniejsze od Ankary, stolicy obecnej. Decydują o tym położenie na europejskim skrawku Turcji, nad Bosforem, cieśniną o znaczeniu strategicznym, a także to, że Stambuł jest gospodarczą stolicą Turcji, skupiającą blisko jedną piątą jej ludności i aż jedną trzecią potencjału ekonomicznego.

Erdoğan obawia się, i nie bez podstaw, by obecny burmistrz Ekrem İmamoğlu nie powtórzył jego drogi. Nie przypadkiem podczas kampanii przed obecnymi wyborami mawiano, że już teraz można je traktować jako pojedynek między prezydentem obecnym i być może przyszłym, bo w tej roli wielu Turków widzi właśnie Ekrema İmamoğlu. To wrażenie potęgowało jawne zaangażowanie Erdoğana, który w Stambule osobiście prowadził żywą kampanię na rzecz kandydata AKP, Murata Kuruma, eksministra środowiska. Erdoğan przecież nie zadaje sobie trudu, by stwarzać pozory, że jest ponadpartyjnym, bezstronnym prezydentem wszystkich Turków. Do prowadzenia kampanii w Stambule wysłał aż 17 ministrów (przypomnijmy, że w Turcji nie ma premiera, rządem kieruje prezydent) z zadaniem wspierania kolegi.

Wszystkie te wysiłki na nic się zdały. Ekrem İmamoğlu wygrał z Kurumem z bardzo wyraźną przewagą, otrzymał bowiem ponad 51 proc. głosów, podczas gdy jego rywal niespełna 40 proc. W ten oto sposób, co podkreślają wszyscy obserwatorzy, stał się jedynym tureckim politykiem, który trzy razy zmierzył się, choć pośrednio, z Erdoğanem i trzy razy z dobrym skutkiem. W 2019 r. İmamoğlu wygrał w Stambule dwukrotnie: w normalnych wyborach i w ich drugiej odsłonie, gdy z inicjatywy prezydenta anulowano wyniki pierwszego głosowania.

NIC NIE JEST WIECZNE

– Nie opieram swych planów na założeniu, że mogę ponieść porażkę – odparł İmamoğlu, pytany przed wyborami, co będzie, jeżeli przegra. Ta uwaga wzmocniła powszechne przekonanie, że żywi duże ambicje, a rządy w Stambule – które, jak podkreślał wobec mieszkańców miasta, traktuje bardzo poważnie – stanowią mocną dla nich odskocznię.

Faktem jest, że İmamoğlu dzięki sukcesom w Stambule jest dzisiaj najbardziej rozpoznawalną postacią opozycji. Ma 52 lata, jest w dobrym wieku, by wyruszyć dalej. Ma jednak rywali we własnej partii. Najpoważniejszym jest Mansur Yavaş, burmistrz Ankary, który, podobnie jak İmamoğlu w Stambule, wygrał po raz pierwszy w 2019 r. i też ma ambicje prezydenckie. Teraz zapewnił sobie doskonałą pozycję, otrzymując ponad 60 proc. głosów, dwa razy więcej, niż uzyskał kandydat AKP. W tle zaś pozostaje nowy przywódca CHP Özgür Özel, który stanął na czele partii jesienią ubiegłego roku i na razie nie zdradza swoich planów, choć trudno założyć, by chciał na dłużej pozostać w cieniu.

Sytuacja wśród kemalistów, którzy po latach porażek złapali wreszcie wiatr w żagle, to jedna z wielu niewiadomych. Drugą jest przyszłość opozycji jako takiej. Koalicja sześciu partii – bardzo zróżnicowana, od nacjonalistów przez islamistów do partii dawnych towarzyszy Erdoğana, którzy z nim zerwali, takich jak ekspremier Ahmet Davutoğlu – którą spajało pragnienie odsunięcia od władzy Erdoğana i jego partii – po porażce się rozpadła. Nacjonalistyczna Dobra Partia (IYI) teraz wypadła na tyle słabo, że walczy o przetrwanie, za to wśród Kurdów pojawiło się nowe ugrupowanie DEM, które uzyskało dobre wyniki. Tak czy inaczej, partie działają dziś osobno i na razie o współpracy nie ma mowy.

Trzecią niewiadomą jest nowe ugrupowanie islamskie – Nowa Partia Dobrobytu – które nazwą i osobą lidera nawiązuje do dawnej islamskiej partii Refah (Dobrobyt), w której pierwsze kroki w polityce stawiał Recep Erdoğan. Zdobyło ponad 6 proc. głosów i trzecie miejsce, a to, zdaniem jej przywódcy Fatiha Erbakana, syna Necmettina, stanowi dobrą podstawę, by myśleć o polityce na szczeblu krajowym.

Prawdziwie wielką niewiadomą jest też przyszłość Recepa Erdoğana. Nie jest tajemnicą, że po zakończeniu swej obecnej kadencji – drugiej, a zatem ostatniej – według nowej konstytucji uchwalonej w 2018 r. (a de facto kadencji trzeciej, bo był szefem państwa już od 2014 r.), chciałby pozostać na stanowisku. Wymaga to jednak wprowadzenia do konstytucji poprawek. Czy da się to zrobić, gdy kemaliści wracają do gry?

To zaś rodzi pytanie, czy w tej sytuacji Erdoğan w 2028 r. zakończy swą długą i, trzeba przyznać, wyjątkową karierę. Nawet jeśli – to kolejna niewiadoma – w AKP nie ma nikogo, kto mógłby go zastąpić, a przejęcie partii przez któreś z czworga jego dzieci jest jak dotąd w sferze spekulacji, wykluczać tego nie można. Przecież, jak to ujął jeden z bliskich współpracowników prezydenta, „jako dobry muzułmanin wie on doskonale, że nic nie jest wieczne".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADOBE STOCK

ALGORYTM TYSIĄCA HINDUSÓW

Amazon wycofuje się z projektu sklepów spożywczych bez kasjerów, czyli z technologią „Just Walk Out". Słowo „technologia" jest przy tym mocno na wyrost, bo właśnie przy tej okazji wyszło na jaw, że kamery i czujniki nie wystarczyły do obsługi klientów – w realizacji transakcji w tych sklepach udział brało 1 tys. osób zatrudnionych w Indiach, które oglądały obraz z kamer i oznaczały zakupy, żeby czuwać nad prawidłowością procesu. Teraz Amazon zapowiedział wprowadzenie wózków na zakupy, które będą wyposażone w skanery i będą umożliwiały kupowanie poprzez wkładanie do koszyka. Na razie o tym, kto siedział będzie zdalnie w koszyku, nie wspomniano.

NAKAZ MODLITWY O ZWYCIĘSTWO

Rosyjscy duchowni otrzymali list od metropolity Grigorija Woskresenskiego. Zarządzający patriarchatem moskiewskim nakazał w nim, że w trakcie wielkiego postu księża mają obowiązkowo codziennie czytać „Modlitwę o świętą Rosję". To tekst odnoszący się do napaści na Ukrainę, z którego wierni dowiadują się, iż to Rosja została zaatakowana i że stało się tak, by „podzielić i zniszczyć jeden naród".

RZĄDOWE DEMENTOWANIE ŻARTU

Jeden z estońskich portali informacyjnych w ramach primaaprilisowego żartu napisał, że premier tego kraju zostanie sekretarzem generalnym NATO. Kaja Kallas w mediach społecznościowych zaczęła odbierać gratulacje, złożył je m.in. Timothy Garton Ash. Pod jego wpisem Kallas dodała, że nie zamierza rezygnować z rządzenia Estonią i że artykuł nie był prawdziwy.

PROGRAM „KOZA+"

Na wyspie Alicudi mają problem z kozami. Zwierzęta rozmnożyły się do tego stopnia, że zaczynają pożerać przydomowe ogródki, a niektóre nawet wkraczają do domów. Burmistrz Riccardo Gullo uznał, że najlepszym sposobem będzie „adopcja". Zaproponował więc program „Przygarnij kozę". Po zwierzęta, które można dostać za darmo, zgłosili się rolnicy z innych wysp.

NA KRZYWEGO MENEDŻERA

Czterdziestoletni Włoch przez dwa lata podróżował po północnej części kraju i zajeżdżał przed hotele drogimi, wynajętymi samochodami. Przedstawiał się zawsze jako menedżer jakiejś znanej firmy, domu mody czy koncernu motoryzacyjnego. Potem spał w apartamencie, a następnie znikał bez opłacenia rachunku. Został w końcu zatrzymany przez karabinierów, ale do momentu procesu pozwolono mu być na wolności. Z drobnym ograniczeniem: ma zakaz wstępu wydany przez 32 gminy. ©℗

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Żółta kartka dla Erdoğana

Wybory lokalne w Turcji przyniosły zaskakujący rezultat. Głosujący srogo ukarali rządzących za ich pychę, a zwłaszcza za inflację wynoszącą niemal 70 proc. i kłopoty gospodarcze, które sprawiają, że milionom Turków coraz trudniej jest związać koniec z końcem.

Lanie przy urnach było solidne. Opozycja wygrała nie tylko w zamieszkanym przez niemal jedną piątą wszystkich Turków Stambule, gdzie reelekcję wywalczył Ekrem İmamoğlu z Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), lecz także w pięciu największych miastach kraju. To pierwszy tak wielki sukces CHP nie tylko za czasów Erdoğana – który zdążył przyzwyczaić liderów Republikańskiej Partii Ludowej, że niemal zawsze przegrywają – lecz także od wyborów w roku 1977.

Czy po żółtej kartce dla Erdoğana w następnych wyborach Turcy pokażą rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) czerwoną kartkę? Wszystko zależy od tego, jak szybko rządzącym uda się naprawić sytuację gospodarczą. Sam prezydent podkreśla, że wynik wyborów to wcale nie koniec jego partii. – To dla nas punkt zwrotny – obiecywał.

Już dziś można prognozować, że opozycyjny burmistrz Stambułu, Ekrem İmamoğlu – już teraz witany na wiecach niczym gwiazda światowego rocka – stanie się głównym rywalem Recepa Erdoğana. Symboliczne znaczenie ma też to, że właśnie od wygranej w Stambule przed laty marsz ku władzy w Turcji zaczynał sam Erdoğan. İmamoğlu to zaś jedyny polityk ze świeckiej opozycji, który pokazał, że potrafi odnieść nie jedno zwycięstwo, a trzy z rzędu. Czy zdoła przejąć władzę w kraju? Przekonamy się już w 2028 r. ©℗



HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA O POLSKĘ

Operacja „Unthinkable” – Supertajny brytyjski plan ataku na Związek Sowiecki

Wyklęci w oczekiwaniu na pomoc – Polacy mieli przystąpić do walki z krasnoarmiejcami, gdy na wschód będą zmierzały alianckie jednostki

Złoto Decebala – Na początku naszej ery na terenach dzisiejszej Rumunii panował przebogaty władca, którego poczynania przyprawiały o ból głowy rzymskich cesarzy

Odyseja Wielkiego Treku – Biali z RPA wciąż pamiętają o bohaterskich wyczynach voortrekkerów sprzed niemal 200 lat

Amerykański sen Stalina – Udział firm z USA w budowie sowieckiego przemysłu był kluczowy dla rozwoju ZSRS

Przekleństwo Medyceuszy – Dynastia rządząca Toskanią degenerowała się w zastraszającym tempie. Ostatni członkowie rodu w niczym nie przypominali swoich przodków

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. AA/ABACA PRESS/FORUM

Czekając na Rosję



Maciej Pieczyński

Nie wszyscy Ukraińcy na terenach przyfrontowych popierają swój kraj. Wielu szczerze czeka na „wyzwolenie" przez Rosję. Nazywani są żdunami. Podobnie rosyjska propaganda zaczęła określać tych, którzy z kolei czekają na prawdziwe wyzwolenie. Przez Ukrainę

Mieszkańcy terenów objętych działaniami wojennymi mogą liczyć na pomoc władz w Kijowie. Bezpłatna ewakuacja, zasiłek uchodźczy, wyżywienie i tymczasowy dach nad głową – to wszystko czeka na tych, którzy zdecydują się wyjechać do bardziej bezpiecznych miejsc na Ukrainie. Nie mówiąc już o możliwości wyjazdu na Zachód. A jednak tysiące Ukraińców z Donbasu, Zaporoża czy Charkowszczyzny pozostaje w swoich miastach czy wsiach, ryzykując własne życie. Wielu z nich żyje w piwnicach wielopiętrowych budynków. Tam jest bezpieczniej niż w samych blokach. A w mieszkaniach – o ile nie zostały jeszcze zniszczone pociskami artyleryjskimi – i tak zazwyczaj nie ma wody, prądu ani ogrzewania. Niektórzy z nich odmawiają ewakuacji, bo nie chcą opuszczać swojego miejsca na ziemi i nie wierzą, że znajdą nowe lepsze. Twierdzą, że nie mają dokąd pójść. Wielu jednak świadomie czeka, aż przyjdą Rosjanie i ich „wyzwolą". Stąd określa się ich mianem „żduny" – od rosyjskiego „ждать", czyli czekać. Z reguły nie są to czynni kolaboranci, współpracujący z agresorem. Ich zdrada ma charakter pasywny. To zresztą typowe dla donbaskiej mentalności. Mieszkańcy wschodnich regionów byli zawsze najmniej aktywni pod wieloma względami. Najbardziej „przywiązani do ziemi", najmniej mobilni, najrzadziej wyjeżdżali ze swoich miejscowości. Ale też najmniej zaangażowani w działalność polityczną. Co nie oznacza, że nie mieli poglądów. W czasach, gdy jeszcze ukraińska scena polityczna dzieliła się na „pomarańczową", czyli prozachodnią, i „niebieską", czyli prorosyjską", oni stanowili żelazny elektorat tej drugiej. Popierali Janukowycza, ale przy urnach czy kibicując sprzed telewizora. Nie chodzili na demonstracje, chyba że byli zwożeni autobusami. Sowiecka, a następnie rosyjska (dostępna na wschodzie Ukrainy) propaganda wpoiła im poparcie dla Moskwy, ale nie nauczyła ich samodzielnie, czynnie w imię tego poparcia walczyć. W starciu z zaangażowanym społeczeństwem obywatelskim z centrum i zachodu kraju nie mieli szans. W porównaniu z rozmachem Majdanu wszelkiego rodzaju „antymajdany" wyglądały żałośnie i nieautentycznie.

CZŁOWIEK SOWIECKI, CZŁOWIEK DONBASKI

A jednak wiara żdunów w Putina musi być bardzo silna, skoro po pierwsze, ryzykują dla niej życie, a po drugie, nawet rosyjskie bomby, które spadają na ich domy, nie są w stanie tą wiarą zachwiać. To również element ich mentalności. Człowiek sowiecki, człowiek rosyjski i człowiek donbaski – to człowiek pasywny, ale za to cierpliwy, wytrzymały, często wręcz szczycący się swoją bierną, czasem bezsensowną ofiarnością. Człowiek odporny na przeciwności losu (z którymi chętnie się godzi), a także na logikę i rzeczywistość. Niektórzy zupełnie szczerze są przekonani, że to Ukraińcy ich bombardują. I że trzeba ich zatrzymać, bo inaczej podbiją nie tylko Donbas, lecz

także Rosję. W rozmowie z zachodnimi dziennikarzami często kwestionują swoją ukraińską tożsamość. Jeszcze dekadę temu ponad 20 proc. Ukraińców uważało się za Sowietów. Po inwazji rosyjskiej ten odsetek w sposób oczywisty drastycznie spadł. Wciąż jednak wynosi ok. 7 proc. Nie trzeba dodawać, że jeśli ktoś czuje się człowiekiem sowieckim, to swoją stolicę widzi w Moskwie, nie w Kijowie.

Jak pisze ukraiński żołnierz i dziennikarz Jurij Macarski w tekście dla portalu telewizji Wot Tak (rosyjskojęzyczny kanał, związany z Biełsatem), rzadko który żdun otwarcie przyznaje, że „gotów jest miesiącami żyć w brudnej piwnicy, w każdej minucie ryzykując życie tylko po to, aby otrzymać rosyjski paszport i dalej żyć w tych samych ruinach, tyle że już jako obywatel FR". W większości albo udawali zrozpaczonych, którzy nie mają nic do stracenia, albo w ogóle się nie tłumaczyli. Podczas wielomiesięcznego oblężenia Bachmutu dziennikarze wielokrotnie pytali mieszkańców, dlaczego nie wyjechali na zachód.

Około 50-letnia Tatiana w rozmowie z dziennikarką kanału ProUA na YouTube przyznała, że może by i wyjechała z miasta, ale nie chce zostawiać rodziców. Sama żyje z renty dla osób niepełnosprawnych i z pomocy humanitarnej, otrzymywanej od ukraińskich władz. Jej rodzice czekają, aż przyjdzie Rosja, bo wtedy nastąpi pokój, a oni mają dosyć wojny. Widać wpływ moskiewskiej propagandy, zgodnie z którą rosyjscy żołnierze w ramach „specoperacji" tylko bronią mieszkańców Donbasu przed inwazją Kijowa. A zatem – dążą do pokoju, nie do wojny. Spory rozgłos w mediach społecznościowych zyskało nagranie rozmowy wolontariusza z emerytem z Bachmutu, który twierdzi, że wojna wybuchła w 2014 r., gdy Ukraina napadła na Donbas. Ukraińska dziennikarka Ramina Eschakzaj rozmawiała ze sprzedawczynią w jednym z bachmuckich sklepów, która nie miała zamiaru się ewakuować. Na pytanie, co zrobi, gdy przyjdą Rosjanie, ekspedientka wymijająco odpowiedziała: „Polityka mnie nie interesuje". To również typowy argument żdunów. Często sprowadzają wojnę do konfliktu między rządami obu państw, konfliktu, z którym zwykli ludzie po obu stronach granicy nie mają nic wspólnego. Jeśli żdun nie chce wprost wyrazić swojej prorosyjskiej opinii, to maskuje ją takim właśnie relatywizmem albo – inaczej mówiąc – symetryzmem. Nie tyle oskarża Kijów o rozpętanie wojny, ile wskazuje na winę po obu stronach. Nie tyle przyznaje rację Moskwie, ile przekonuje, że nic w tej sytuacji nie jest jednoznaczne, a każdy ma prawo do własnego zdania. Marcin Wyrwał z Onetu w jednym ze swoich reportaży z Donbasu podał następujący przykład takiej właśnie postawy żdunów. Pod zniszczonym przez rosyjski ostrzał blokiem mieszkalnym w Charkowie stoi mężczyzna ok. sześćdziesiątki. Zgadza się porozmawiać z dziennikarzem przed kamerą. Opowiada, że w tym bloku żyła jego 90-letnia matka. Podczas ostrzału została ciężko ranna. Po pięciu dniach zmarła w szpitalu. Po wyłączeniu kamery mężczyzna chce jeszcze coś dopowiedzieć poza nagraniem. Twierdzi, że jako tutejszy mieszkaniec wyraźnie słyszy, „skąd strzelają", i że „to wszystko jest dość dziwne". „Chce pan powiedzieć, że to Ukraińcy ostrzeliwują swoje miasto?" – dopytuje Wyrwał. „Ja nic nie wiem. Ja tylko zadaję pytania. Wy jesteście dziennikarzami, to sprawdzajcie" – słyszy w odpowiedzi.

„Przecież to oczywiste, że sami Ukraińcy ostrzeliwują miasto. Dla Rosji to niekorzystne" – w taki sposób w rozmowie z mediami latem 2022 r. ostrzał Charkowa komentowały dwie 60-letnie mieszkanki. „Tacy ludzie wymyślają historie o używanych przez Ukrainę amerykańskich pociskach, które już w powietrzu tak zmieniają kierunek i uderzają w bloki mieszkalne od strony rosyjskich pozycji, żeby potem oskarżać Rosjan o ostrzały infrastruktury cywilnej" – zauważa Macarski. Żduny wierzą też, że ukraińscy żołnierze sprzedają swoich rannych towarzyszy Europejczykom na organy…

DUŻA LICZBA KOLABORANTÓW

Niektórzy wyłamują się ze schematu „pasywnej zdrady" i czekają aktywnie, przekazując Rosjanom informacje o ukraińskich pozycjach. Podczas walk o Bachmut Wołodymyr Raszczuk, żołnierz batalionu „Swoboda", w wywiadzie dla telewizji Apostrof przyznał, że duża liczba potencjalnych kolaborantów to problem całego regionu. Opowiedział, jak do jednego z bloków mieszkalnych podjechał samochód na miejscowych numerach. Kierowca powiedział, że przyjechał do swojego mieszkania. Kilka godzin później w blok trafiła rakieta. Wielce prawdopodobne, że rzekomy mieszkaniec zostawił na dachu jakiś znak dla rosyjskiej artylerii. Gdy w marcu zwiększyła się częstotliwość ostrzałów rakietowych Konotopu w obwodzie sumskim, władze miasta publicznie stwierdziły, że Rosjanom muszą pomagać miejscowe żduny, naprowadzając artylerię na cel. 31 marca deputowana charkowskiej rady obwodowej Hałyna Kuc w rozmowie z telewizją Espreso przyznawała, że „niestety, w Charkowie jest wielu sympatyków Rosji", a ostatnio się nawet zaktywizowali. Szczególnie dotyczy to parafian Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej (patriarchatu moskiewskiego). Prawosławna Cerkiew Ukrainy (lojalna wobec Kijowa) jest w tym rosyjskojęzycznym mieście w odwrocie. Jej świątynie położone są z reguły na obrzeżach Charkowa. W centrum dominuje cerkiew „moskiewska". Jej wierni przez długi czas milczeli, ale niedawno znów zaczęli głośno mówić o przyjaźni z Rosją. „Możliwe, że Rosja szykuje się do nowej operacji propagandowej" – mówi Kuc.

Ukraińską narrację o żdunach podchwycili Rosjanie. I zaczęli tak samo nazywać tych, którzy ich zdaniem czekają z kolei na Ukraińców. Kilka tygodni temu mer Jałty Janina Pawlenko w rozmowie z rosyjskim portalem News.ru powiedziała, że wśród mieszkańców Krymu są „ukraińskie żduny, zwerbowane przez ukraińskie i zachodnie służby specjalne". Chociaż potępiają Rosję, zostali na półwyspie, żeby „brać udział w akcjach dywersyjnych". Oczywiście Pawlenko nie przyzna, że czekają oni na wyzwolenie. Wedle jej słów krymskie żduny tęsknią za czasami, gdy można było nie płacić podatków, „leżeć na plaży, nic nie robić" i każdą sprawę załatwić za łapówkę.

Wymowa jest jasna – Ukraina to chaos i korupcja, Rosja to porządek. „Zapamiętajcie! Każdego żduna czeka realny wyrok więzienia. Działania żduna mogą zagrażać mieszkańcom obwodu zaporoskiego!" – to apel opublikowany na portalu Melitopol-News.ru, kontrowanym przez okupantów. Chociaż równie dobrze mógłby zostać opublikowany przez ukraińskie media. I było w nim o wiele więcej prawdy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Dom za cztery złote?



Jacek Przybylski

Amerykańskie Baltimore oferuje potencjalnym nabywcom domy za jednego dolara. Domy za jedno euro wciąż można też kupić w słonecznych Włoszech. Tanie jak barszcz nieruchomości można również nabyć w Grecji, a nawet w Szwajcarii czy Japonii

Ceny domówi i mieszkań nad Wisłą wciąż szybują w górę. Tymczasem w wielu krajach władze mają problem z opustoszałymi dzielnicami, gminami czy miastami widmami. To często piękne, czasem nawet zabytkowe miejsca w centrach miast, z których młodzi już uciekli, a w których starzy stopniowo wymierają lub już wymarli. Aby ożywić na nowo opustoszałe ulice, a jednocześnie zwiększyć bezpieczeństwo w tych rejonach, urzędnicy szukają najróżniejszych sposobów. Jednym z nich są tanie domy. Pod koniec marca obecnego roku Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Społeczności (DHCD) w amerykańskim Baltimore ogłosił sprzedaż kilkuset z tysięcy opuszczonych domów za symbolicznego dolara (równowartość ok. 4 zł). W mieście jest już bowiem ok. 15 tys. opuszczonych nieruchomości, a wymarłe ulice zamieniają się w rejony, w które strach się zapuszczać nie tylko po zmroku.

Dom za dolara w USA? Brzmi jak okazja życia, ale wystawione na sprzedaż nieruchomości wymagają bardzo solidnego remontu. Potencjalni nabywcy przed zakupem muszą więc przedstawić urzędnikom dowód na to, że stać ich na wydanie co najmniej 90 tys. dol. na renowację domu. Eksperci szacują zaś, że remont sprzedawanych za dolara domów pochłonie raczej od 150 do 200 tys. dol. Tanie domy w Baltimore mogą też kupować organizacje non profit (wówczas cena z dolara rośnie automatycznie do 1 tys. dol.) oraz deweloperzy (za 3 tys. dol.). Aby domy masowo nie trafiały w ręce spekulantów, miasto zastrzegło, że przez pierwsze 90 dni domy za dolara kupić będą mogły jedynie te osoby, które po remoncie planują się do nich przeprowadzić i traktować jako główne miejsce zamieszkania.

Domy za dolara w tym roku sprzedawało też Newark w stanie New Jersey. Władze



W amerykańskich Baltimore są tysiące opuszczonych domów FOT. ADOBE STOCK



Małe miasteczko Mussomeli na Sycylii dzięki. programowi sprzedaży domów za jedno euro odrestaurowało historyczne centrum FOT. ADOBE STOCK

miasta, w którym średnia cena domu wynosi niemal 430 tys. dol., nie zdecydowały się jednak na wystawienie najtańszych nieruchomości na licytację. W zamian za to zorganizowały loterię, w której udział mogli wziąć mieszkańcy miasta, którzy nie są jeszcze właścicielami domu. Według oficjalnych szacunków władz miasta w Newark własny dom posiada jedynie 25 proc. mieszkańców i jest to najniższy odsetek spośród wszystkich większych miast w Stanach Zjednoczonych.

Siedmiu szczęśliwców miasto wylosowało pod koniec stycznia. Domy za dolara nie nadają się do natychmiastowej przeprowadzki. Wymagają bowiem solidnego remontu – na który według ekspertów wydać trzeba będzie nawet kilkaset tysięcy dolarów. Wcześniej zostały bowiem przejęte przez miasto od lokatorów za długi podatkowe etc. Poza tym nabywcy domu za preferencyjną cenę muszą mieszkać w nich przez co najmniej 10 lat (w przeciwnym razie zgodnie z zapisami w akcie notarialnym dom zostanie ponownie przejęty przez miasto). Burmistrz Newark Ras Baraka zapowiedział już, że w niedalekiej przyszłości zamierza ponowić loterię i sprzedać kolejne domy za dolara.

REKLAMA NA CAŁY ŚWIAT

Nieruchomości sprzedawane za symboliczne jedno euro we Włoszech oferowane są od roku 2008. Pierwsze oferty wywoływały ogromne emocje, o domach za bezcen informowały media na całym świecie, a w poszukiwanie okazji życia do opuszczonych wiosek i miasteczek przylatywały osoby nie tylko z Europy, lecz także z najdalszych zakątków globu.

Czy w takich ofertach jest jakiś haczyk? Oczywiście, że tak. Agenci nieruchomości mówią wprost: dom oferowany za cenę espresso we włoskiej kawiarni (lub jedną trzecią tego, co za kawę trzeba już zapłacić w Warszawie) to po prostu świetny zabieg marketingowy.

Jedno euro to cena wywoławcza, a zwycięzcy licytacji rzadko rzeczywiście płacą tak mało. I to niejedyny powód, aby stwierdzić, że w rzeczywistości domy za jedno euro nie są wcale aż tak okazyjnie wycenione, jak mogłoby się wydawać (gdyby rzeczywiście były, to zostałyby natychmiast wykupione przez samych Włochów). Nabywcy nominalnie tanich jak barszcz nieruchomości muszą bowiem sami zapłacić za ekspertyzy potrzebne do zawarcia transakcji, ponieść koszty notarialne, a także sporo zainwestować w remont domu, który niekiedy przez długie lata pozostawał pusty. Często zdarza się, że trzeba nie tylko wymienić drzwi i okna, lecz także wymienić podłogi, wzmocnić ściany i stropy, zbudować dach czy od nowa rozprowadzić instalacje wodne lub elektryczne.

Wszystko to trzeba zrobić w porozumieniu z lokalnymi urzędnikami w określonym czasie (w zależności od wsi lub miasteczka dokładną dokumentację zawierającą projekt remontu trzeba przedstawić dwa, trzy lub sześć miesięcy po zakupie domu za jedno euro). Sam remont też trzeba przeprowadzić nie tylko zgodnie z prawem, lecz także z warunkami narzuconymi np. przez lokalnego konserwatora zabytków, i zakończyć całą procedurę w terminie z góry określonym przez gminę (np. w ciągu trzech lat). W przeciwnym razie przepaść może depozyt pobierany przez gminy (np. w wysokości 5 tys. euro), a częściowo już wyremontowany dom przekazany kolejnemu chętnemu na „okazję życia".

Zdaniem ekspertów często taniej, szybciej i bardziej okazyjnie można kupić nieruchomości, które kosztują co prawda 20–30 tys. euro, ale mimo że nadal wymagają remontu, można w nie zainwestować mniej, a przy okazji zaoszczędzić sobie nerwów związanych z biurokratycznymi procedurami. Mimo to chętnych do zakupu domu za jedno euro nie brakowało. Przybywali dziennikarze, piosenkarze i ludzie, którzy, zamiast rzucić wszystko i „wyjechać w Bieszczady", wybierali południe Europy.

Małe miasteczko Mussomeli na Sycylii dzięki uruchomionemu w roku 2017



W Irlandii w ramach uruchomionego w 2023 r. programu „Our Living Islands" przybysze mogą dostać nawet 80 tys. euro. FOT. ADOBE STOCK

programowi sprzedaży domów za jedno euro odrestaurowało historyczne centrum, sprzedając ok. 250 nieruchomości, czyli 95 proc. opuszczonych domów włączonych do programu. Nabywcami były osoby reprezentujące kilkanaście różnych narodowości. Wielu przybyszów pracuje zdalnie, więc odżyła lokalna gospodarka. Ponownie rozkwitła również turystyka – w tym sektorze gospodarki obroty wzrosły dziesięciokrotnie.

Programy sprzedaży domów za jedno euro sprawiły, że odżyły nawet te miasteczka, w których nie udało się znaleźć zbyt wielu nabywców na najtańsze rudery, a z których młodzi mieszkańcy już dawno uciekli do większych miast, które dają szanse na znalezienie pracy. W niektórych miejscowościach populacja w ciągu ostatnich kilku dekad zmniejszyła się o 30 proc. czy nawet 50 proc. Nie wszędzie programy kończą się sukcesem. W miasteczku Patrica położonym na południe od Rzymu sprzedano jedynie dwa opustoszałe od dawna domy z niemal 40. Transakcje utrudniają poszukiwanie właścicieli, a także spory między spadkobiercami, z których część jest gotowa pozbyć się nieruchomości, ale część wolałaby ich nie sprzedawać.

Wiele sukcesów w ponownym zaludnianiu kolejnych miasteczek sprawia jednak, że programy „Case a 1 euro" wprowadzają lub przedłużają na następne lata kolejne włoskie gminy. Obecnie domy za symboliczne cztery złote można kupić np. w Pettineo, Caltagirone czy Cammarata na Sycylii, we wsi Bonnanaro na Sardynii, w malowniczo położonej wsi Pratola Peligna w Abruzji, ważnym portowym mieście Taranto w Apulii czy we wsiach Cattolica Eraclea w Agrigento lub Sant'Elia a Pianisi w Molise.



W malowniczo położonej wsi Pratola Peligna w Abruzji również w tym roku można kupić domy za jedno euro FOT. ADOBE STOCK

LEPSZE NIŻ „500+"

Aby ponownie zasiedlić wymarłe miasta, władze proponują nie tylko tanie domy, lecz także często zachęty finansowe dla osób, które zdecydują się na przeprowadzkę w opuszczone rejony.

W 2019 r. grecka wyspa Andikitira zaproponowała darmowe zakwaterowanie, wyżywienie, a także wypłatę 500 euro miesięcznie przez co najmniej trzy lata tym osobom, które zdecydują się dołączyć do zaledwie 24 mieszkańców, którzy pozostali na otoczonej szmaragdowymi wodami, niemal bezludnej wyspie, na której nie tak dawno mieszkało prawie tysiąc osób. Preferowani byli rybacy, rolnicy, budowlańcy i piekarze.

Podobne programy uruchomiono także we Włoszech. Candela, jeszcze w latach 60. prężnie funkcjonujące miasteczko pełne średniowiecznej zabudowy, nazywana była „małym Neapolem". Młodzi uciekli jednak do większych miast, a populacja spadła do 2,7 tys. osób. Burmistrz, który chciałby, aby miasto liczyło co najmniej 8 tys. mieszkańców, zaproponował więc finansowe wsparcie w wysokości 800 euro dla singla, 1,2 tys. euro dla pary oraz nawet 2 tys. euro dla rodzin wielodzietnych. Podobny program wdrożyły również władze włoskiego miasta Molise. W obu przypadkach przybysze musieli zadeklarować, że mają źródło utrzymania, bo pracy w opuszczonych miasteczkach często brakuje nawet dla lokalnej ludności. Malownicze miasteczko Presicce w słonecznej Apulii zaoferowało zaś w 2022 r. 30 tys. euro dla tych, którzy zdecydują się do niego przeprowadzić i kupić którąś z porzuconych nieruchomości (w cenie od 500 euro za 1 mkw.).

Pieniądze za przeprowadzkę do wymierających regionów lub miejscowości oferują nie tylko Grecy czy Włosi. Po 25 tys. franków szwajcarskich (równowartość 110 tys. zł) dla każdej osoby dorosłej zaoferowała nowym mieszkańcom alpejska wioska Albinen w Szwajcarii. Wymagane było jednak szwajcarskie obywatelstwo lub chociaż pozwolenie na pobyt, a także zobowiązanie się do mieszkania w wiosce przez co najmniej 10 lat. Do przeprowadzki nowych mieszkańców kusi również Irlandia. W ramach uruchomionego w 2023 r. programu „Our Living Islands" przybyszom oferowano nawet 80 tys. euro. Było jednak kilka warunków. Pieniądze trzeba wydać na renowację zakupionej nieruchomości, która została zbudowana przed 1993 r. na jednej z ponad 30 tys. irlandzkich wysp, które nie są połączone z lądem żadnym mostem. Angela O'Sullivan, jedna z osób, która skorzystała z grantu, by wyremontować opuszczony od 30 lat dom na Bere Island, mówiła w rozmowie z „The Times", że jest zadowolona z zakupu, choć koszt remontu nieruchomości na wyspie okazał się o połowę droższy niż nieruchomości na stałym lądzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



PROSTO ZYGZAKIEM

Emerytura dla 25-latków!

PIOTR GABRYEL

W jednej ze scen serialu „Czterdziestolatek” „uczeń Włodarski” podczas lekcji wychowawczej wyjaśnia zdumionemu nauczycielowi, dlaczego w ankiecie, w odpowiedzi na pytanie, kim chce być w przyszłości, napisał, że marzy o tym, aby zostać… rencistą. Mówi długo i kwieciście, kończąc w ten sposób: „W mojej rodzinie wszyscy są rencistami i mi się to podoba. Chodzimy sobie na spacery, czytamy książki, słuchamy płyt”.

A od rencisty (abstrahując od rencistów schorowanych) do emeryta – w sensie praktycznym – często tylko krok. No i w Polsce od czasów PRL nadal trwa ów wielki – na skalę całego narodu – eksperyment. Polacy wciąż bowiem upierają się, że chcą przechodzić na emeryturę najwcześniej, jak tylko się da. I to mimo tego, że spodziewana długość ich życia od kilku dekad się wydłuża – z dwuletnią przerwą na morderczy lockdown służby zdrowia, zafundowany przez rząd.

Emeryturolubnym Polakom mocno dopomogły rządy PiS, które obniżyły wiek emerytalny do na powrót 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn – po wcześniejszym podniesieniu go przez rząd PO i PSL – docelowo, po kilku latach windowania go – do 67 lat dla kobiet i mężczyzn.

A jako że niemal połowa Polaków (44,8 proc.) chce przechodzić na emeryturę jeszcze wcześniej niż dziś, mimo że w UE krócej od nas pracują na nie już tylko Rumuni, Bułgarzy i Austriacy, to zabiegający o głosy politycy PiS postanowili „wyjść naprzeciw” tym oczekiwaniom i za nic mając prognozy dotyczące czekającej nas z tego powodu zapaści na rynku pracy i w kasie ZUS, przyobiecali, że jeśli wygrają wybory, to wprowadzą emerytury stażowe – dla kobiet po przepracowaniu 38 lat oraz dla mężczyzn po przepracowaniu 43 lat. Bo czemuż by nie uczynić jeszcze i tego dla uzyskania tysięcy dodatkowych głosów?

Pytanie, czy uczniowie „ucznia Włodarskiego” z „Czterdziestolatka” są dziś licznie obecni tylko wśród polityków PiS, i z tego powodu wyborcza porażka tej partii oznacza co najmniej odroczenie wejścia w życie emerytur stażowych, czy jednak Lewica wraz z ześlizgującą się w lewicowy populizm Platformą też będą chciały za ich pomocą kusić wyborców? Rzecz jasna, wraz z częścią Trzeciej Drogi – tą, która ukryła się za Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, czyli PSL – sprytnie udającym dziś partię wiejsko-miejską, a w rzeczywistości niemającym skrupułów w obdzieraniu ze skóry miejskich podatników związkiem zawodowym rolników, którzy też pewnie na emerytury stażowe mieliby chrapkę. Tym bardziej że za swoje emerytury i tak niemal w ogóle nie płacą, zostawiając smutną konieczność składania się na nie mieszczuchom. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Wielki cenzor Adam Bodnar

ŁUKASZ WARZECHA

Ministerstwo Sprawiedliwości wysmażyło w końcu hołubiony przez swojego lewicowego zwierzchnika projekt penalizujący „mowę nienawiści”. Do katalogu zachowań ujętych w artykułach 53, 119, 256 i 257 Kodeksu karnego dodano niepełnosprawność, wiek, płeć, orientację seksualną i „tożsamość płciową”. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że ten przepis – gdyby wszedł w życie – oznaczałby radykalne i drastyczne ograniczenie wolności słowa oraz debaty, a przede wszystkim pojawienie się efektu mrożącego. Efekt mrożący to faktyczna autocenzura: obywatele, obawiając się konsekwencji prawnych, sami ograniczają własną swobodę wypowiedzi.

Rząd Tuska przedstawia projekt wprowadzający faktyczną cenzurę i ingerujący w swobodę wypowiedzi

Przestępstwa wyżej opisane miałyby być ścigane z urzędu, zatem będziemy mieli gromady usłużnych lub po prostu wyrabiających statystykę prokuratorów, lustrujących media w poszukiwaniu potencjalnych oskarżonych, a organizacje żyjące z walki z konserwatywnym światopoglądem – takie jak Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych – będą zalewać prokuraturę doniesieniami.

Poza alarmowaniem wobec skrajnego zagrożenia dla wolności słowa, które niesie ten koszmarny projekt, warto zwrócić uwagę na jego zasadniczą sprzeczność z tym, jaki wizerunek starała się utrwalić u odbiorców Koalicja Obywatelska. Jednym z najważniejszych jej przekazów było, że w przeciwieństwie do poprzedników ona sama jest partią wolności. To PiS miał zaglądać ludziom do łóżka, ingerować w sztukę oraz w swobodę wypowiedzi. Okazuje się tymczasem, że to właśnie rząd pana premiera Tuska przedstawia projekt wprowadzający faktyczną cenzurę i ingerujący w swobodę wypowiedzi o wiele dalej, niż kiedykolwiek jakakolwiek władza proponowała w historii III RP.

Oczywiście na razie to projekt ministerstwa, który musi przejść całą ścieżkę legislacyjną. A jeśli nawet ją przejdzie, to niechybnie zostanie odrzucony przez pana prezydenta. Ten hamulec będzie jednak istniał jedynie do 2025 r. Co, gdy go zabraknie? A jest to niestety bardzo prawdopodobne. ©℗



Joanna Bojańczyk



FOT. ADOBE STOCK

Facebook is (not) dead

Liczba obrazków z kucharkami szatkującymi kapustę, raczkującymi niemowlakami z Korei, kotkami i pieskami, atakujących mój profil, zaczęła niepokojąco rosnąć, zastępując wpisy słowne

Co się dzieje? Facebook odpowiadał słowami menedżera Dartha Vadera: zmieniłem umowę, módlcie się, żebym nie zmienił jej jeszcze bardziej. Przepraszam za wyrażenie, ale to będzie tekst o zgównieniu, więc nie da się inaczej. Wiem, że takiego słowa nie ma w języku polskim, angielskie „enshittification" też powstało dopiero niedawno i z doraźnej potrzeby. Słowa się pojawiają, gdy język ich potrzebuje i nie potrafi zastąpić czym innym. Nieprzypadkowo trudne słowo „enshittification" zostało wybrane słowem roku przez Amerykańską Radę Dialektów. Zeitgeist – duch czasu.

Gorszy pieniądz wypiera lepszy – mówi się po polsku, mniej ordynarnie, ale znaczenie podobne. Narzekania, że obecnie jest gorzej, niż było kiedyś, towarzyszą ludzkości od dawna. Kiedyś dzieci były grzeczniejsze, a pogoda ładniejsza... (to prawda!!!). Znamy to. Jednak teraz pogarszanie nie dotyczy całego świata, tylko konkretnego miejsca. Jego wagi nie sposób przecenić.

Chodzi o media społecznościowe, zabawę, w której uczestniczą 3 mld ludzi. Konkretnie o Facebook, założony w 2004 r. przez grupę studentów Harvardu pod przewodnictwem Marka Zuckerberga. Przez nikogo niewybierany organizm, który przejął dużą część władzy nad światem, robi politykę i nadaje kształt rzeczywistości.

WE WŁASNEJ BAŃCE

Do Facebooka przystąpiłam w roku 2008; wtedy wydawało się to posunięciem nowoczesnym. Wielu znajomych, zwłaszcza tych mniej cyfrowych, w ogóle nie wiedziało, co to jest i z czym to się je. Facebook był żwawym młodzieńcem rokującym nadzieje na przyszłość. Przez te 16 lat dorobiłam się ponad 500 znajomych (w standardach FB nie tak wiele). Większości nie znam osobiście, choć krążą na niedalekich orbitach, ale długotrwała obserwacja pozwala wyrobić sobie o nich zdanie. Przekonałam się, że najciekawszych rzeczy można się dowiedzieć nie z tego, co ludzie o sobie piszą czy co pokazują, ale z tego, czego nie pokazują. Opanowałam zasady, przynajmniej te, które są dostępne dla użytkownika. Zaczęłam odsiewać tych, którzy fotografują siebie na imprezach, rozradowani, uśmiechnięci: „Łał!", „Jupi!", „Super!". Nie zamieszczałam postów wykazujących, że jestem piękna, szczęśliwa i bogata (kanoniczne nogi na fotelu pod palmą z widokiem na morze i kieliszkiem szampana w tle), nie pokazywałam zdjęć rodziny. Starałam się nie wszczynać awantur politycznych, co mi się słabo udawało. Ale Facebook stał się dla mnie istotnym źródłem informacji i opinii.

Poruszając się we własnej tzw. bańce, wiem, że szara eminencja algorytm tak dobiera posty, żebym dobrze się czuła w tym otoczeniu i zamieszczała coraz więcej wpisów. W tym czasie wielu znajomych, którzy zaczynali facebookową egzystencję razem ze mną, się wycofała. „Fejs" się zestarzał, młodzi przeszli do TikToka, na Instagram, na inne platformy, założyli podcasty i blogi. Zostali średniacy: 40-, 50-latki i starsi. Gdy zobaczyłam 90-letniego znajomego, pomyślałam, że Facebook to już naprawdę emeryt.

To, że algorytm podrzuca reklamy krzeseł ogrodowych (przykład), które oglądałam niedawno, to już wiem i nawet przestałam się dziwić. W końcu reklamy można zablokować. Ja systematycznie je

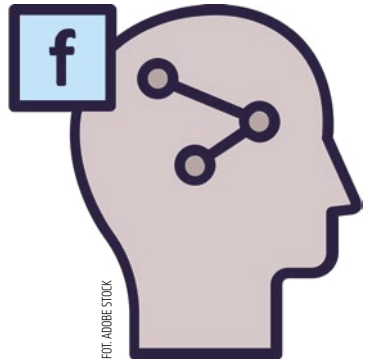
usuwam, ale zamiast nich pojawiają się nowe.

Ostatnio liczba zarzucających mnie obrazków z kucharkami szatkującymi kapustę, raczkującymi niemowlakami z Korei, kotkami i pieskami, atakujących mój profil, zaczęła niepokojąco rosnąć, zastępując wpisy słowne, tzw. organiczne. Wiadomo, że ładne buzie, milutkie kotki generują najwięcej lajków, a na pewno więcej niż analityczny artykuł dotyczący ekonomii. Nie bez powodu użytkownicy, którzy chcą powiększyć zasięg swego i poważnego długiego tekstu, dodają do niego na przynętę zdjęcie kotka. Ale dlaczego znajomi nie widzą moich wpisów, a ja, żeby się dowiedzieć, co wstawili, sama muszę ich szukać, bo ich posty mi się nie wyświetlają? Już nie chodzi o to, co system mi podsyła, ale w jaki sposób próbuje skierować moje opinie i zainteresowania, przekonać, że powinnam myśleć tak, jak on mi każe.

CO SIĘ DZIEJE?

Facebook jest największym instytutem badawczym na świecie. Badani nie muszą zgodzić się na uczestnictwo, są królikami doświadczalnymi. Mechanizmy Facebooka bez przerwy analizują nasze zachowania i do nich dopasowują podsuwaną nam zawartość. W reakcjach użytkowników kluczowe są emocje, które mają efekt zaraźliwy. Kiedy ograniczano posty z pozytywnymi emocjami, powstawało mniej postów pozytywnych. I odwrotnie: więcej negatywnych wpisów wywoływało zwiększenie reakcji negatywnych. Emocjami można sterować. Czasopismo „New Scientist" wykazało, jak manipulowano zawartościami kont 689 003 użytkowników, usuwając z nich wpisy o treści pozytywnej (słodkie bobaski) lub negatywnej (martwe psy) i sprawdzając, jak to wpłynie na użytkowników. Rezultat był zgodny z oczekiwanym: treści negatywne wywoływały dalsze negatywne reakcje, pozytywne skutkowały pozytywnymi. Znamienne: uczestnicy tego trwającego tydzień eksperymentu nie wiedzieli, że są mu poddawani.

Enshittification – zgównienie, tak nazywa to „Financial Times", który w artykule z 8 lutego analizuje cały długi proces przekształcania się tej platformy „społecznościowej" w rodzaj totalitarnego systemu ekonomicznego rządzonego przez nie-



FOT. ADOBE STOCK

widoczne dla użytkownika mechanizmy. Manipulacja ma cel głównie biznesowy.

„Sprawdźmy, jak działa enshittification – pisze Cory Doctorov w „Financial Times". – To trzyetapowy proces: na początku platformy są dobre dla ich użytkowników. Następnie nadużywają swoich użytkowników, aby poprawić sytuację swoich klientów biznesowych. Wreszcie: nadużywają tych klientów biznesowych, aby zagarnąć całą wartość dla siebie. Potem jest czwarty etap: umierają".

W roku 2004 Facebook powstał ze strony internetowej, która miała oceniać aktywność randkową studentów Harvardu. W roku 2006 otworzył się dla wszystkich. Zuckerberg zrobił sprytny manewr: przechwycił tych, którzy korzystali z platformy MySpace, i przerzucił ich do swego pomysłu. – MySpace jest własnością miliardera, który was szpieguje – mówił im. Zarejestrujcie się na Facebooku, my nigdy nie będziemy was szpiegować.

To był pierwszy etap. Facebook, podobnie jak większość firm technicznych, skorzystał z tzw. efektu sieciowego. Im więcej osób się rejestruje, tym lepiej. Ludzie dołączali do Facebooka, ponieważ ich znajomi tam byli, potem siłą rozpędu zapisywali się następni. Tak to działało. Problem był taki, że Facebook, mając tzw. wysokie efekty sieciowe, miał zarazem wysokie tzw. koszty zmiany, czyli przełączania tego wszystkiego, z czego się rezygnuje, opuszczając usługę czy produkt. Produktem w tym wypadku były właśnie kontakty. Rezygnacja z kontaktów źle działała dla biznesu, powiększanie ich liczby – dobrze. Reklamodawcom Facebook zapewniał, że opcja udostępniania powiększy grono tych, do których dotrze reklama. I ta reklama będzie dla reklamodawcy naprawdę tania. Dotrze do żywego człowieka, a dodatkowo zareklamuje odbiorcy tylko to, czym jest zainteresowany – zapewniano. Użytkowników wpuszczono w darmowy kanał, który miał przyciągać miliony użytkowników i zmonetyzować reklamy. Tak obiecywali menedżerowie Facebooka. „Użytkowników i reklamodawców zamknięto w jednym kanale". Cięto zasięgi tak, żeby użytkownicy widzieli mniej treści, a zamiast nich na konta wpychały się reklamy. Reklamodawcom windowano ceny za usługi, które wbrew obietnicom miały coraz mniejszą szansę dotarcia do docelowego użytkownika. Facebook zarabiał. Manipulowano także wydawcami, wiedząc, że wiele ich treści trafi na Facebook. Algorytm formatował teksty w taki sposób, aby miały szansę na nim się znaleźć. Na wydawców nakładano kary za linki odsyłające do swoich stron: w interesie Zuckerberga było zatrzymanie ich jak najdłużej u siebie…

Gdy poszczególne grupy użytkowników zauważyły zmiany i zaczęły się buntować, odpowiadano słowami menedżera Dartha Vadera: zmieniłem umowę, módlcie się, żebym nie zmienił jej jeszcze bardziej.

Zaczynam rozumieć, dlaczego algorytm wpycha mi przed oczy filmiki chińskich niemowląt skaczących do basenu i dlaczego sama uciekam od zdjęć wojennych koszmarów.

„Oferujemy bezpłatną ścieżkę ruchu, która doprowadzi miliony użytkowników do twojej reklamy" – oznajmiał Facebook. Reklamodawcy i wydawcy również utknęli na platformie, byli zakleszczeni. Oto komentarz Remigiusza Okraski à propos tych zmian, również z Facebooka: „Całkowicie i arbitralnie ustawić i uwalić decyzjami jednego typka największą agorę w skali globu. Przy zerowej reakcji krytycznej. Milczeniu klasy politycznej, ustawodawców, komentatorów, biznesu. Przy trupim milczeniu. Łącznie z tymi, których to dotyczy, bo ich treści też widzi coraz mniej osób. Nie wiem, czy był w dziejach większy eksperyment na żywym organizmie, ale wiem, że raczej nie było takiego, który unaoczniłby tak wielką skalę bierności i odmóżdżenia, ślepoty, braku mechanizmów kontrolnych i systemu reakcji na zjawiska społeczne, indolencji władz i instytucji, bezjajeczności zarówno mainstreamu, jak i rozmaitych »radykałów« i »krytyków«.

Jeśli Okrasce tego nie wywalili, to znaczy, że Facebook is not dead. Jeszcze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

MITSUBISHI COLT HYBRYDA 1.6



FOT. JAP

Testowane auto to połączenie japońskich diamentów, francuskiego konceptu i mody na ekologiczne rozwiązania. Mitsubishi Colt to bowiem brat bliźniak Renault Clio V, jednego z liderów segmentu B, który pod maską ma napęd hybrydowy – czterocylindrowy silnik spalinowy wspierany przez silnik elektryczny – o łącznej mocy 143 KM.

Dynamiczne auto jest stworzone do miejskiej dżungli. Sprawnie się nim startuje na zielonym (od zera do 100 km/h przyspiesza w 9,3 s), łatwo śmiga nawet po wąskich uliczkach i wyjątkowo prosto parkuje. Co ważne, Colt w swej najmocniejszej odmianie dobrze sprawdzi się też na trasie i na autostradzie. Pewnie się prowadzi. Do 140 km/h jest też stosunkowo cichy (prędkość maksymalna to 174 km/h).

Hybrydowy Colt nie ma też zbyt dużego apetytu na paliwo. W mieście spalanie wynosi ok. 5 l/100 km. A na autostradzie ok. 7 l/100 km. Średnie spalanie podczas testu wyniosło 5,6 l/100 km. Przy w miarę oszczędnej jeździe zasięg na pełnym baku wynosi ok. 780 km.

Wnętrze jest ergonomicznie zaprojektowane, dzięki temu w niewielkiej kabinie nie ma wrażenia ciasnoty. Przydałby się jednak większy bagażnik (koniecznie zmiany przy okazji liftingu wymaga również umiejscowienie przycisku otwierania klapy – obecnie jest ono nie blisko klapy, lecz w zderzaku, co jest nie tylko nieintuicyjne, lecz także w deszczowo-śnieżnym klimacie bardzo niepraktyczne). Sama kabina jest przyzwoicie wykończona: wprawdzie królują plastiki, ale są dość przyjemne w dotyku i spasowane bez zarzutu. Dość wygodne są również przednie fotele. Miejsca z tyłu jest na styk, ale osoby poniżej 180 cm wzrostu nie powinny bardzo narzekać.

Wersja z napędem hybrydowym to najdroższy z oferowanych obecnie coltów. Lista wyposażenia jest więc długa. Na pokładzie znajdują się m.in. kolorowy ekran multimedialny o przekątnej 9,3 cala (z obsługą Apple CarPlay i Android Auto), cyfrowe zegary za kierownicą, system nagłośnienia Bose, listwa LED dająca przedsmak oświetlenia ambientowego, system kamer 360 stopni (w tym kamera cofania), podgrzewana kierownica i przednie fotele, ładowarka indukcyjna, antena w kształcie „płetwy rekina" etc. Nie zabrakło również adaptacyjnego tempomatu i kilkunastu systemów utrzymujących na pasie ruchu, zapobiegających kolizjom i ostrzegających przed pojazdami w martwej strefie lusterek.

Najtańszy Mitsubishi Colt z silnikiem benzynowym 1.0 o mocy 66 KM i pięciobiegową skrzynią kosztuje 72,99 tys. zł (za egzemplarz z rocznika 2023). Mocniejszy silnik benzynowy (1.0T) z 91 konikami pod maską i sześciobiegową skrzynią to wydatek co najmniej 86,79 tys. zł. Za testowany model z silnikiem hybrydowym o mocy 143 KM i automatyczną skrzynią biegów trzeba zaś zapłacić co najmniej 126,3 tys. zł.

TP-LINK TAPO RV20 MOP

Bardzo dobry stosunek ceny do jakości, banalnie prosta obsługa, nowoczesne wzornictwo oraz wyjątkowo niska konstrukcja ułatwiająca sprzątanie pod szafkami i łóżkami – to największe zalety kompaktowego robota odkurzającego i mopującego chińskiej marki z Shenzhen.

Robot o wysokości 7,8 cm wygląda nowocześnie. Został też uzbrojony w żyroskop, czujnik upadku oraz w technologię MagSlim LiDAR, dzięki której po zmapowaniu wnętrza domu lub mieszkania zmniejsza się ryzyko, że gdy światła w pomieszczeniu będzie zbyt mało, to robot będzie pomijał niektóre obszary. Dzięki mapie w bezpłatnej aplikacji można też dowolnie wybierać, czy robot ma sprzątać całe mieszkanie czy np. tylko salon lub kuchnię. W prostej w obsłudze aplikacji można też ustawić harmonogram sprzątania lub podejrzeć, gdzie akurat znajduje się robot. Właściciele domów jednorodzinnych ucieszy wiadomość, że Tapo RV20 Mop może zrobić mapę do trzech kondygnacji.

W modelu o mocy 45 W do wyboru są cztery tryby ssania, w tym najmocniejsze o sile 2700 Pa. Jest też tryb cichy, w którym robot nie przekracza 51 dB. Wyposażony w dwie boczne szczotki robot automatycznie dostosowuje moc odkurzania do sprzątanej powierzchni. Testowany model nie tylko odkurza, lecz także delikatnie mopuje.

Skuteczność sprzątania w relacji do ceny tego robota jest bardzo dobra. Tapo RV20 Mop sprawnie zbiera kurz i sierść zwierząt. Trzeba jednocześnie pamiętać, że droższe roboty mają maksymalną moc ssania na poziomie 4200 Pa. Nie należy się też spodziewać cudów po mopowaniu. Jako odświeżenie podłóg ta funkcja jest jak najbardziej w porządku. Robot zbierze też trochę rozlanego napoju lub sprzątnie świeżą plamę z dżemu. Jeżeli jednak na podłodze są jakieś zaschnięte plamy, to testowany robot raczej sobie z nimi nie poradzi. Zbiornik ma pojemność 300 ml i niestety o regularnym dolewaniu wody trzeba pamiętać samemu, bo robot nie ostrzega, iż „mopuje" na sucho.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Akumulator o pojemności 2600 mAh zapewnia działanie przez maksymalnie trzy godziny. W trybie zwiększonej mocy odkurzania czas pracy na jednym ładowaniu to mniej więcej półtorej godziny. Gdy robot wyczerpie baterię, sam jedzie do stacji ładującej, a po naładowaniu wraca do miejsca, w którym skończył sprzątać.

I chociaż z pewnością nie jest to najpotężniejszy na rynku robot odkurzający, to ma sporo pożytecznych funkcji i potrafi znacząco ułatwić domowe porządki. Cena: 899 zł. ©℗



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Szejtan pod Żurawnem

Obrona polskiego obozu pod Żurawnem na przełomie września i października 1676 r. to ostatnie zwycięstwo Jana III Sobieskiego przed odsieczą wiedeńską. Chociaż pozostaje w cieniu obrony obozu pod Chocimiem w 1621 r., to wymusiło na Porcie Otomańskiej zawarcie traktatu, który zmazał hańbę układu podpisanego w Buczaczu w 1672 r., który zakładał oddanie Turcji Ukrainy Prawobrzeżnej i wypłatę haraczu. Na jego mocy Rzeczpospolita stawała się lennem sułtana, podobnie jak Siedmiogród, Wołoszczyzna czy Mołdawia.



FOT. DOMENA PUBLICZNA



RYS. QBA

W sierpniu 1676 r. wielka armia turecka pod wodzą Ibrahima Szejtana, paszy Damaszku i serdara, czyli wodza sułtana, wkroczyła na Pokucie, chcąc zmusić Rzeczpospolitą do wypełnienia warunków upokarzającego pokoju. Sejm uchwalił wprawdzie powołanie 78-tysięcznej armii, ale konstytucja ta pozostała na papierze. Dlatego król Jan III Sobieski, z nielicznymi siłami, założył obóz pod miasteczkiem Żurawno, ok. 90 km na południe od Lwowa, w miejscu, gdzie rzeka Krechówka wpada do Dniepru, ściągając tam armię koronną i litewską. Obóz otoczony został nieregularną linią wałów wzmocnionych czworokątnymi redutami. Rozciągał się na polach na prawym brzegu Dniestru. Od północy i zachodu zabezpieczony był rzekami i rozlewiskami, od wschodu osłaniały go Dniestr i stawy przy zamku. Od południowo-zachodniej strony znajdowało się otwarte pole, na którym rozegrała się wielodniowa bitwa pomiędzy wojskami Rzeczypospolitej a siłami tureckimi i tatarskimi. Dziś nie ma po niej żadnych śladów poza pomnikiem wystawionym w rocznicę bitwy, w 1876 r., i odnowionym w roku 1921, który znajduje się koło cmentarza między domami Żurawna. Wały obozu polskiego rozciągały się zaś mniej więcej od miejsca, w którym znajduje się podniszczony dziś pałac Skrzyńskich-Czartoryskich, który jest budowlą późniejszą. W jego sąsiedztwie wznosił się wówczas zamek, stanowiący skraj lewego skrzydła fortyfikacji. Następnie umocnienia ciągnęły się na północ od dzisiejszej szosy T1409 wiodącej do Lubszy i Mazurówki, kończyły się, odbijając w stronę rzeki trochę więcej niż w połowie tej drogi.

Obrona i bitwa w polu rozpoczęły się już w nocy z 24 na 25 września, kiedy nadciągnęli Tatarzy, paląc okoliczne wioski i przeszkadzając w gromadzeniu żywności. 26 września nadciągnęły główne siły tureckie obliczane z Ordą na ok. 100 tys. wojska, co jest grubą przesadą, zapewne liczyły zaledwie połowę tej liczby. Sobieski miał pod swoimi rozkazami ok. 16 tys. żołnierzy, w tym piechotę i artylerię pod Marcinem Kątskim.

28 września w poniedziałek chan Selim Gerej, nie czekając na nadejście serdara, rzucił na obóz polski piechotę turecką i jazdę tatarską, został jednak odparty ogniem artylerii i muszkietów. Orda przeszła na drugi brzeg Dniestru i usiłowała sforsować rzekę, atakując obóz od tyłu, wysiłki ich spełzły jednak na niczym.

29 września do obozu wkroczył sam główny serdar Ibrahim Szejtan. Od razu zarządził generalny atak. Jan Sobieski wyprowadził wojsko poza wały, ustawiając piechotę i jazdę w szyku mieszanym. Ibrahim z kolei zamierzał odciągnąć Polaków od wałów; gdy to się nie udało, uderzył na lewe skrzydło złożone z chorągwi litewskich, usiłując wywabić je w pole i oskrzydlić, co nie udało się dzięki interwencji płk. Polanowskiego. Nie doszło także do walnej bitwy, bo Turcy i Tatarzy, poznawszy siłę wojska koronnego i litewskiego, rozpoczęli regularne oblężenie, poprzestając na harcach. Do kolejnego starcia doszło 8 października i zakończyło się ono pomyślnie dla wojsk Rzeczypospolitej. Dopiero dwa dni później, po ostrzale artyleryjskim i próbach zapalenia obozu, Turcy zaczęli coraz bliżej podszańcowywać się pod obóz polsko-litewski. Ogień stawał się tak silny, że w nocy z 12 na 13 października Sobieski nakazał ścieśnić obóz. Turcy nie próbowali jednak szturmów, ograniczając się do ostrzału i ścisłej blokady. Kiedy zaczęły padać deszcze, rzeki wystąpiły z brzegów i przyszły pogłoski o nadciąganiu pospolitego ruszenia, zgodzili się 14 października na rozejm. Być może pomógł fortel Marcina Kątskiego, który pozbierał granaty rzucone na obóz i niespodziewanie ostrzelał nimi przeciwnika ze starego moździerza, którego wcześniej nie używał. Po drugiej stronie wywołało to popłoch, Turcy myśleli, że do Polaków przyszły posiłki i ciężka artyleria.

17 października podpisano traktat pokojowy. Kamieniec pozostawał przy Turcji, jednak Rzeczpospolita zatrzymywała Białą Cerkiew i Pawołocz; nie było też mowy o haniebnym haraczu. Zwycięstwo pod Żurawnem zmyło hańbę Buczacza. ©℗



SIOSTRY GOTUJĄ

Zielone zdrowie

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Zielony to kolor wiosny i budzącego się otaczającego nas świata do życia, to także jeden z najbardziej uspokajających kolorów dla człowieka. W czasie przedwiośnia, kiedy po wyczerpującej zimie jesteśmy nieco wyposzczeni, brakuje nam słońca i wartości odżywczych, a na sklepowych półkach brakuje jeszcze nowalijek, skorzystać możemy z równie wartościowych mrożonek, chociaż świeży szpinak dostępny jest w sklepach cały rok. Szpinak ma kolor zielony, lekko kwaskowaty smak, a przede wszystkim bardzo cenne wartości odżywcze. Jego skład to prawie w 91 proc. woda, jest lekkostrawny i niskokaloryczny. Możemy go zajadać na wiele sposobów, wykorzystujemy do sałatek, na ciepło do makaronów, do tart i do faszerowania mięsa. Doskonale smakuje w połączeniu z serami, najlepiej ze słoną fetą, i z czosnkiem na ciepło. Możemy go jeść jako samodzielne danie. Doskonale smakuje też z jajkami sadzonymi, omletem lub zwykłą jajecznicą.

Należy pamiętać, że szpinak zawiera dużo kwasu szczawiowego, dlatego nie powinien być spożywany przez osoby cierpiące na reumatyzm, zapalenie stawów czy kamicę nerkową. Również osoby z chorą tarczycą powinny ograniczać szpinak, gdyż utrudnia on wchłanianie jodu.

Miłośnikom szpinaku możemy zaproponować doskonałą sałatkę ze świeżych liści z dodatkiem żurawiny i sera pleśniowego, z sosem balsamicznym, posypaną podprażonymi orzechami włoskimi. Albo wyśmienity makaron ze szpinakiem i kurczakiem.

FOT. ADOBE STOCK



Makaron ze szpinakiem i z kurczakiem

• ½ opakowania makaronu, najlepiej wstążki • 2–3 ząbki czosnku • 1/3 szklanki oliwy z oliwek • 1 duża łyżka masła • ½ łyżeczki papryki czerwonej, kurkumy, soli i pieprzu • ½ opakowania mrożonego szpinaku lub świeżego • ½ podwójnego fileta z kurczaka • garść pomidorków koktajlowych • ½ opakowania śmietanki • parmezan do posypania

Makaron gotujemy w osolonej wodzie ok. 7 min. Pierś z kurczaka solimy i nacieramy przyprawami, kroimy na małe kawałeczki i dodajemy czosnek przeciśnięty przez praskę. Na dużej patelni podgrzewamy oliwę, smażymy kurczaka przez ok. 15 min, dodajemy zamrożony szpinak i dusimy do całkowitego rozmrożenia (świeży dusimy kilka minut). Wrzucamy pokrojone pomidorki, śmietanę i jeszcze chwilkę gotujemy. Dodajemy odcedzony makaron, podgrzewamy, mieszamy do połączenia smaków. Podajemy na półmiskach i posypujemy parmezanem. Smacznego! ©℗



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bezsenność

JOANNA BOJAŃCZYK

Przewietrzyć pokój, wyłączyć elektronikę, kłaść się o tej samej porze, napić się mleka, zjeść czekoladę, myśleć o czymś przyjemnym. Usunąć zegarek z pola widzenia, ułożyć się na wznak w pozycji na baczność, poczytać książkę. Wypić kieliszek wina/nie pić żadnego alkoholu... Znam na pamięć te oraz dziesiątki innych dobrych rad dla zmagających się z bezsennością. I z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że zdadzą się one psu na budę.

Nie wiem, czy bezsenność to jednostka chorobowa czy tylko stan umysłu, ale wiem, że zdrowy chorego nie zrozumie. Człowiek, który zasypia w momencie przyłożenia głowy do poduszki, nie jest w stanie zrozumieć tego, który 500. raz przewraca się z lewego boku na prawy i starając się myśleć o czymś przyjemnym, obsesyjnie myśli o tym, że nie może zasnąć.

Wszystko odbywa się w dobrze przewietrzonym pokoju, z usuniętym z pola widzenia zegarkiem oraz ciemnością wokół taką, że nie widać ręki. Ta ręka to jedna ze złotych rad nieocenionego „New York Timesa", który potrafi rozwiązać wszelkie problemy życia i śmierci.

Podobno bezsenność to cierpienie cywilizacyjne. Stres, pośpiech, niebieskie światło, wieczorne seanse z thrillerami. Osobiście na praktykuję thrillerów ani sesji z serialami à la longue. Ale stres? Owszem, czemu nie. Komórkę trzymam w innym pokoju i nie kontaktuję się z nią w czasie bezsennych godzin. Jednak walka z myślami jest skazana na porażkę, chyba że jest się mnichem tybetańskim, który posiada żelazną wolę, moc osuszania własnym ciałem mokrego prześcieradła w temperaturze –4 st. C, a przede wszystkim panowania na niesforną głową. Niestety, mnichem nie jestem i sam proces układania się do snu już uruchamia we mnie nerwowy mechanizm zastanawiania się, czy zasnę. Bo jeśli nie zasnę, to lepiej wziąć od razu coś na spanie, i to od razu coś mocniejszego. Ale może jednak zasnę, więc spróbować bez niczego... A nuż się uda?

Na locie transatlantyckim nieszczęsny taki człowiek przechadza się korytarzem, spoglądając z zazdrością na dziesiątki duszyczek słodko uśpionych, młodych i starych, wtulonych w poduszki, opartych o podkówki, opartych na ramionach męża lub mamy, tych chrapiących z głową odrzuconą do tyłu i otwartymi ustami i tych z głowami opadającymi w dół. Ach, wy wszyscy szczęśliwcy! A ty, człowieku, pokonuj korytarz po raz 10., przeciskając się ze stewardesami niosącymi drinki.

One nie śpią i żyją – myślisz sobie! I do tego tak ładnie wyglądają. Więc może bezsenność nie jest taka straszna?

Niech tylko ta noc minie i nastanie świt. Jutro będzie lepiej. ©℗



DEKAMERONKI

Niepamięci cud

JERZY KARWELIS

Coraz to spotykam się ze stwierdzeniami osób politycznie wzmożonych, że coś, co się zdarza w sferze publicznej, jest już takim przekroczeniem granic standardu życia społeczno-politycznego, że nie może się to nie spotkać z ostrą odpowiedzią suwerena. Ale zawsze się okazuje, że przepowiednie te są nietrafione. I to w przypadku obu plemion polskiej polityki.

Przypomnę, że za czasów „dobrej zmiany" to dzisiaj ekipa rządząca, a wtedy opozycja uważała, iż kolejny grzech główny PiS-owskiej władzy to przekroczenie społecznego Rubikonu, po którym wszystko musi się zmienić, maski opadną, dekoracje się zawalą, a suweren stanie przed nagą prawdą. I zareaguje. Tak samo i dzisiaj. Nowa władza się nie pieści, byli rządzący i ich akolici wciąż utrzymują, że dalej tak już się nie da i to wszystko rozejdzie się w szwach, Tusk zaś ucieknie zaraz na jakąś europejską synekurkę. A więc podobne pojmowanie zdarzeń świata przez, zdawałoby się, ekstremalnie różniące się plemiona jest następnym koralikiem wspólnoty postaw, który należy nanizać na naszyjnik polskiego życia publicznego.

Skąd to się bierze? Ano z kariery zapomnianej już cechy zbiorowych emocji, którą jest… zapominanie. Tu kluczowe są media. Te one bowiem sprawiają, że cywilizację można ulepić do formy o pamięci złotej rybki. Człowiek dzisiejszy jest kompletnie rozpraszany medialnymi wrzutkami, co powoduje ważny stan, którym jest właśnie niemożliwość skupienia się na jednym temacie dłużej niż przez krótką medialną chwilę. W dzisiejszych czasach można to sprowadzić do góra dwóch dni trzymania się jednego tematu.

Oczywiście tu tempo wymiany regulują wspomniane media. Za przykład może posłużyć protest rolników. Faza pierwsza – informacja, ale z umiarem. Stanęli tu czy tam. Bez komentarza. Bo po co stresować odbiorcę niepotrzebnymi niuansami, jak np. postulatami protestujących? Potem pojawiają się już wyłącznie konteksty – a więc zero informacji, tylko że karetka przez nich nie dojechała, a jeden nieszczęśnik to nawet wpadł pod samochód. I tak przechodzimy do fazy końcowej – ciszy. Jeżeli media nie wzmacniają tematu przez samo przypomnienie, to ten znika.

Protest rolniczy spowszedniał nie przez to, że zniknął z łamów medialnych, ale właśnie dlatego zniknął z mediów, by spowszednieć. I wyparło go cokolwiek, co media uznały za właściwe w obrocie narracją. A jako że media mamy dziś pod jeden strychulec, to i przekaz jeden, nie tylko jednolity, lecz także skoordynowany. Zwłaszcza co do wyłączania tematów. Resztę załatwi cud niepamięci. ©℗



#WARTO

Niech Polska żyje!

JAN POSPIESZALSKI

Aborcja nie jest tematem zastępczym. Wiedzą o tym ci, którym na sercu leży kwestia ładu moralnego w Polsce. Wie to też Parlament Europejski, który śmiertelnie poważnie (w całym ponurym tego słowa znaczeniu) wzywa rządzącą w Polsce większość do szybszego procedowania ustaw uchylających prawną ochronę życia. Owszem, politycy wykorzystują spór o aborcję do huśtania emocjami społecznymi. Ale napięcie, które budzi sprawa aborcji, dowodzi, że mamy do czynienia z kwestią fundamentalną – życia i śmierci. Aborcja nie jest bowiem kwestią jakiegoś poglądu czy światopoglądu. Jest kwestią ustrojową. Ustrój państwa to nie tylko określenie podziału władz czy zdefiniowanie kompetencji poszczególnych instytucji. To także, a może przede wszystkim, określenie tego, co dla wspólnoty najważniejsze: z jakich wartości wywodzi źródło władzy, jak definiuje celowość państwa.

Trzydzieści jeden lat temu Polacy, głosami swojej parlamentarnej reprezentacji, odrzucili nieludzką, komunistyczną ustawę dopuszczającą mord prenatalny. Od tamtego momentu Polska należy do grupy państw, które całkiem realnie chronią życie każdego obywatela, także w okresie prenatalnym. Na początku lat 90. sprawa nie była oczywista, ale wtedy ogromnym wysiłkiem ludzi dobrej woli, wielu ruchów i organizacji wspieranych przez Kościół zdołano przekonać parlamentarną większość, że życie każdego człowieka ma swoją godność i sens, że każdy człowiek ma prawo się narodzić i że prawo to jest nie jest jakąś obsesją katolików, lecz fundamentem wszelkich innych praw człowieka. Od zarania naszej historii (co pięknie opisał prof. Andrzej Nowak w monumentalnej serii „Dzieje Polski") ochrona najsłabszych i bezbronnych była elementem kulturowego kodu. Stanowiła podstawę ładu społecznego. Cofnięcie przesłanki eugenicznej w październiku 2020 r. przez Trybunał Konstytucyjny wynikało z właściwej interpretacji ustawy zasadniczej, dokonanej już w 1997 r. przez ówczesnego prezesa TK Andrzeja Zolla. Bo prawo do życia przysługuje każdemu i ani okoliczności poczęcia, ani nieuleczalna choroba nie mają tu nic do rzeczy.

Teraz ten dorobek może zostać zniszczony, ponieważ 11 kwietnia w Sejmie będą procedowane niegodziwe, antykonstytucyjne projekty godzące w prawo chroniące życie. Jednocześnie mamy do czynienia z atakiem na małżeństwo, rodzinę i wolność słowa. Dziś znów potrzebna jest społeczna mobilizacja. Dlatego w niedzielę 14 kwietnia ulicami Warszawy (start z pl. Zamkowego o godz. 12) przejdzie Narodowy Marsz Życia. Apeluję o liczny udział. Więcej: narodowymarszzycia.pl. ©℗



ĆWIERKOT

Dyplomacja przemilczania

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Jakiś taki kolanowy panuje nad Wisłą stosunek do państwa Izrael, niestety. Stop. W trzykrotnych nalotach na samochód z pomocą humanitarną zginął m.in. Polak. Stop. To, że ambasador Izraela kręci, wypisując o niby jakimś wypadku, cóż, zdążyliśmy się przyzwyczaić. Ale jak zachowują się niektórzy polscy politycy? Stop. Symptomatyczna była reakcja Wandy Nowickiej, obecnie z Nowej Lewicy. Napisała w socjalach: „Tragiczne wieści ze Strefy Gazy: Polak wśród wolontariuszy, którzy zginęli w nalocie. Ofiary należały do organizacji pomocowej WCKitchen. Nasze serca są z rodzinami wszystkich dotkniętych tą tragedią". Stop. Cóż, od pani Wandy nie dowiemy się, kto zabił, czyj był nalot i zapewne jakiej narodowości byli naziści. Stop. Dyplomacja przemilczania.

Nienawiścią jest np. nazwanie faceta, który uważa, że jest kobietą, facetem

Szaleństwo szaleje szalone! Stop. W Szkocji wprowadzono kategorię przestępstw z nienawiści. Stop. Taką nienawiścią jest np. nazwanie faceta, który uważa, że jest kobietą, facetem, albo nawet wspomnienie, że osobopostać urodziła się jako facet. Stop. Przeciwnicy tej bzdury, czyli prawa, zwracają uwagę, że – po pierwsze – mówienie czy pisanie prawdy raczej nie powinno być penalizowane, a po drugie – osobopostacie mogą być nieco nieuczciwe i na różne sposoby, nie tylko w sporcie, mogą wykorzystywać, że oni niby kobiety. Stop. Ciekawostką jest to, że najpopularniejszej na świecie pisarce J.K. Rowling grozi w związku z tym więzienie, gdyż uparła się na prawdę. Stop.

Platforma Obywatelska podwyższyła VAT na jedzenie. Stop. PiS złożył wniosek o obniżenie podatku VAT na żywność. Stop. Łatwiej i lepiej dla obywateli rządzi się, będąc w opozycji...

W Warszawie otwarto kładkę spacerowo-rowerową. Stop. Jest to jedna z niewielu na świecie kładek stricte politycznych. Stop. Jej ocena jest banalna: jeśli lubisz Rafała Trzaskowskiego i Platformę Obywatelską, to kładka jest wspaniała, wyjątkowa, przepiękna, doskonała, kapitalna, jak z bajki. Stop. Jeśli jednak Trzaskowskiego i PO nie lubisz, to wtedy kładka jest katastrofą, bublem, marnowaniem pieniędzy i brzydactwem. Stop. Ta sama kładka, a ile oblicz...

Tomasz Trela z lewicy i komisji do spraw Pegasusa powiedział: „Gdybym chciał, tobym politycznie zglebował Kaczyńskiego". Stop. Naprawdę nie wiem, co napisać, może po prostu tutaj skończmy. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.



SPODE ŁBA

PiS i kiereńszczyzna

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Zdumiewający sondaż wykonała ostatnio na zlecenie portalu rp.pl pracownia SW Research. Respondentów spytano, jak oceniają akcję służb specjalnych przeprowadzoną w domach polityków Solidarnej Polski. Okazało się, że aż 44 proc. badanych ocenia postępowanie ABW pozytywnie. Przeciwnego zdania było 21,4 proc. Polaków. Jest to odsetek znacznie mniejszy niż liczba wyborców, którzy w ostatnich wyborach oddali swój głos na Zjednoczoną Prawicę. Czyżby większość Polaków gotowa była akceptować, a może nawet popierać, wymierzone w opozycyjnych polityków brutalne działania rządzących?

Odpowiedź na to pytanie kryć się może w wydarzeniach, które miały miejsce podczas rewolucji rosyjskiej. Po rewolucji lutowej w roku 1917 doszła tam do władzy reprezentacja ówczesnych elit, nazywana uproszczonym określeniem „kiereńszczyzna". Nie wchodząc w szczegóły zmieniających się gabinetów Rządu Tymczasowego i jego relacje z innymi ośrodkami władzy, można pokusić się o opisanie kilku przypisywanych kiereńszczyźnie cech.

Była to władza bezzębna i słaba. Odznaczała się zaskakującym kontrastem pomiędzy górnolotnymi hasłami gruntownej przebudowy kraju a rzucającą się w oczy nieudolnością i niezdolnością do podejmowania koniecznych, choć niepopularnych decyzji. Kultem otoczono osobę wodza Aleksandra Kiereńskiego, którego napoleońskie pozy wydają się dziś nie tylko komiczne, lecz także zupełnie oderwane od głoszonych z patosem egalitarnych haseł. Rząd, deklarujący radykalne zerwanie z przeszłością, opierał się na odziedziczonych po caracie, skorumpowanych wielopokoleniowym służalstwem elitach. Były one obce szerokim kręgom społeczeństwa, wywodziły się ze stołecznych salonów i wszechobecnej masonerii. Wszechwładne były zakulisowe wpływy sojuszniczych ambasad, wszelakiej agentury i korupcyjnych klik. Rozkład aparatu władzy maskowano dziarskim pustosłowiem. Odwlekane działania zastępowano propagandą i teatralnymi pozami – doszło do powołania „batalionu kobiecego", którego ochotniczki zawstydzać miały zdemoralizowanych żołnierzy. Wroga szukano wśród patriotycznej prawicy.

Rządy Kiereńskiego wywołały wśród Rosjan apatię i pokazały demoralizację oraz niemoc zadufanej w sobie salonowej inteligencji. Przyczyniły się też do powszechnej bierności wobec bolszewickich ekscesów. Czy rządy pozorującego rzeczywiste reformy, posłusznego zagranicznym aliantom PiS nie były, na polskim gruncie, swojego rodzaju kiereńszczyzną? Kandydatów na współczesnego gen. Korniłowa lub adm. Kołczaka jeszcze na naszym horyzoncie nie widać. ©℗



KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Po co jest Polska?

Czy zastanawiali się państwo kiedyś nad tym? Czy w ogóle powinna istnieć? Jeśli tak, to w jakim celu?

Pytania te wydają się niezwykle istotne właśnie w roku 2024 – w czasie, w którym przyszło nam doświadczać władzy ludzi nienależących do grona największych zwolenników polskiej niepodległości. W roku coraz większych niepokojów na scenie geopolitycznej, a także w roku eurokratycznych zakusów na naszą suwerenność. Kwiecień to tym bardziej odpowiedni czas na takie rozmyślanie – wszak w połowie tego miesiąca przypada umowna rocznica Chrztu Polski. Wydarzenia, które nie dość, że pośrednio odpowiada na pytania z pierwszego akapitu, to w dodatku najpewniej zostanie „wygumkowane" z podręczników nauczania historii w polskich szkołach.

W miesiącu tym ukazuje się także 12. już tom „Dzieł zebranych" Feliksa Koneczngo – wielkiego historyka i myśliciela, który u zarania II Rzeczypospolitej także zadawał sobie pytanie o cel istnienia Polski. Pisarz wydał poświęconą temu obszerną publikację „Polskie Logos a Ethos. Roztrząsanie o znaczeniu i celu Polski". Bo Polska ma znaczenie. Polska ma cel. Warto, by Polska istniała. A trzeba zdać sobie sprawę z tego, że pisał to człowiek, w którego żyłach nie płynęła polska krew – był przecież z pochodzenia Czechem. A mimo tego jego rodzina wybrała polskość – wiedziała bowiem, z czym wiąże się taki wybór. Z czym? Z moralnością, wiarą katolicką i wolnością.

Zada ktoś pytanie: Po co zajmować się Konecznym 75 lat po jego śmierci? Po co pochylać się nad kilkunastotomowym wydaniem wszystkich jego dzieł, której to monumentalnej pracy podjęło się wydawnictwo Miles? Otóż dlatego, że odpowiedzi Konecznego pozostają aktualne na wielu płaszczyznach. Dziś, w dobie widma kolejnej wojny, często pochylamy się nad różnicami cywilizacyjnymi Wschodu i Zachodu. Coraz częściej próbujemy zrozumieć Ukrainę, Rosję, Chiny czy przedstawicieli krajów arabskich. Specjaliści od geopolityki poświęcają temu tysiące godzin w najpopularniejszych formatach na YouTube, w książkach i podcastach. Zglobalizowany świat zaczyna rozumieć, że mimo wszystkich prób unifikacji różnice cywilizacyjne nadal są niezwykle głębokie i niesie to za sobą poważne konsekwencje. A Koneczny precyzyjnie opisywał to już przed stuleciem.

Koneczny wychodził z założenia, że Polska istnieć będzie wyłącznie wtedy, jeśli będzie katolicka. Że to odróżni ją od protestanckich Niemiec oraz prawosławnej Rosji

Koneczny wychodził także z założenia, że Polska istnieć będzie wyłącznie wtedy, jeśli będzie katolicka. Że to odróżni ją od protestanckich Niemiec oraz prawosławnej Rosji. Podkreślał także, że celem istnienia Polski jest… przetrwanie etyki w życiu publicznym, pamiętając, że nie będzie to możliwe w innych miejscach Europy.

Czy te słowa są aktualne i dzisiaj? Ba! Spójrzmy tylko, jak ów podział cywilizacyjny, niegdyś rozróżniany między częściami świata, dziś w zglobalizowanym świecie rozciągający się nawet wewnątrz poszczególnych narodów, podzielił polską opinię publiczną. Z jakiegoś powodu wszyscy ci, dla których etyka wciąż pozostaje istotna – a więc nie chcieliby zgody na mordowanie dzieci nienarodzonych, eutanazję, małżeństwa jednopłciowe, demoralizację dzieci w szkołach – ale nadal pragną podtrzymać obecność chrześcijaństwa w życiu społecznym, a nie tylko w kruchcie, pozostają również tymi, którym na sercu leży polska suwerenność. Ci zaś, którzy uważają te sprawy za zaprzeszłe, należące do innego porządku niż polityczny, którzy sugerują, że należy „iść za postępem", jednocześnie są w stanie rezygnować krok po kroku z istnienia polskiej państwowości.

Warto zatem przypominać sobie Chrzest Polski, warto czytać Konecznego i stawiać sobie pytania, po co ma istnieć nasze państwo. Zwłaszcza w momencie, w którym coraz więcej osób na tzw. prawicy sugeruje, że upieranie się przy katolickim stanowisku na tematy moralne stanowi balast, przez który konserwatyści przegrywają wybory i mogą ich nigdy więcej nie wygrać.

Ale jeśli rzeczywiście wygrają, składając moralność na ołtarzu władzy, to czy państwu, którym będą rządzić, pozostanie jeszcze jakiś cel? Czy jego suwerenne istnienie będzie miało jeszcze sens? ©℗

TYLKO JEDEN



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Najwięcej amerykańskich policjantów ginie w trakcie kontroli drogowych. To oni muszą się najpierw regulaminowo wystawić na śmierć, zanim podejmą akcję – muszą czekać, aż napastnik wyciągnie broń i w zasadzie będzie już za późno na obronę. To absurdalne, ale do tego doprowadziły wieloletnie ataki demokratów na siły policyjne. „Znów zastrzelono Murzyna, policję trzeba rozwiązać, BLM! BLM!" – to narracja demokratów.

Ze statystyk widać, że największą liczbę przestępstw popełniają kolorowi. W rezultacie większość osadzonych w więzieniach to kolorowi. Siedzą nie dlatego, że „policja jest przesiąknięta rasizmem", lecz dlatego, że popełniają większość przestępstw. Ale dla demokratów to jest pożywka wyborcza – głosić tezy, że „zbyt wielu kolorowych siedzi w więzieniach". W konsekwencji w wyborach na prokuratorów wygrywają Murzyni, którzy mają załatwić ten problem. Czarni prokuratorzy wypuszczają czarnych kryminalistów pod byle pretekstem.

Policja łapie kogoś rano, a wieczorem prokurator każe przestępcę wypuścić z aresztu i zamyka sprawę lub… wielokrotnemu recydywiście na warunkowym zwolnieniu pozwala odpowiadać z wolnej stopy. Kryminalista wychodzi z aresztu, śmieje się policjantom w twarz i na ich oczach drze papierek z wezwaniem na rozprawę. Ulice miast takich jak Nowy Jork przypominają Gotham City z filmów o Batmanie.

***

W trakcie zatrzymania za parkowanie na przystanku autobusowym biały policjant został zastrzelony przez recydywistę, którego policja aresztowała wcześniej 21 razy, ale prokurator po raz kolejny zdecydował, by go wypuścić. Przestępca zawodowy wpakował policjantowi kulę w brzuch poniżej kamizelki kuloodpornej. Pogrzeb odbył się w Wielki Czwartek i zgromadził tysiące policjantów ustawionych w szpalery na ulicach Nowego Jorku.

Na ten pogrzeb próbował się wprosić mer Nowego Jorku. To od niego zależy, czy prokuratorzy będą recydywistów wypuszczać czy trzymać w areszcie do czasu rozprawy. O tym, czy ręka sprawiedliwości ma być ciężka czy lekka, decydują politycy. W Polsce jest podobnie – sędziowie mają pewne widełki zapisane w kodeksie karnym i mogą skazywać na pięć lat bezwzględnego więzienia lub na dwa lata w zawiasach za dokładnie to samo przestępstwo.

Rodzina zastrzelonego policjanta odpowiedziała merowi, że nie życzą go sobie na pogrzebie, bo ta śmierć jest z jego winy. Kathy Hochul (Partia Demokratyczna), która jest gubernatorem stanu Nowy Jork, postanowiła nie pytać rodziny o pozwolenie, lecz po prostu przyjechała w kawalkadzie limuzyn i próbowała wejść na pogrzeb nieproszona. Ktoś z rodziny zamordowanego wyszedł przed dom pogrzebowy, zbeształ ją, a potem zwyczajnie wygonił. Kamery nagrały krzyk: „Jego krew jest na twoich rękach. To ty i twoja polityka jesteście winne jego śmierci!".

***

Był tylko jeden polityk, którego zaproszono. Dyskretnie, bez pompowania tematu w mediach. Jeden z kuzynów zamordowanego skontaktował się z Donaldem Trumpem. Trump przyleciał specjalnie z Florydy i zrobił to dyskretnie. Ma dom i biznesy w Nowym Jorku, często bywa w mieście, a z powodu trwającej kampanii wyborczej jest stale śledzony przez media. W pewnym momencie wiedzieli już, dokąd zmierza, ale wewnątrz domu pogrzebowego nie było kamer.

Trump zawsze popierał policję; o porządku prawnym mówi od lat: o tym, że policja musi być porządnie finansowana i uzbrojona nie tylko w pistolety, lecz także w DZIAŁAJĄCE PARAGRAFY, a nie osłabiana przez prokuratorów, którzy wypuszczają kryminalistów po kilkadziesiąt razy. Porządek prawny musi istnieć, aby dało się w Nowym Jorku (i innych miastach Ameryki) żyć, chodzić po ulicach, jeździć metrem i prowadzić interesy, sklepy, budować apartamentowce i hotele, w których ludzie będą chcieli mieszkać, bo miasto jest bezpieczne.

Trump spotkał się z wdową po zamordowanym policjancie i z jego jednorocznym synkiem, o którym powiedział po pogrzebie: „Teraz to dziecko nie wie, co się stało, ale kiedyś się dowie i zrozumie, i to je zmieni na całą resztę życia. To się nie powinno stać – ten wielokrotny recydywista nie powinien jeździć samochodem po mieście, lecz siedzieć za kratami".

W domu pogrzebowym kamer nie było, ale wiemy trochę z opowieści naocznych świadków. Trump pomodlił się przy trumnie zamordowanego, potem spotkał z rodziną, z matką policjanta, jego rodzeństwem i wujkami. Gdy podszedł do babci zabitego, ta poprosiła, by ją po prostu przytulił.

***

W tym samym czasie Joe Biden też był w Nowym Jorku, ale na pogrzeb się nie pofatygował, z rodziną zamordowanego policjanta nie kontaktował, listu kondolencyjnego nie wysłał, choć jest to rutynowe działanie Białego Domu w tego typu przypadkach. Joe Biden nie miał czasu, bo zbierał forsę na swoją kampanię wyborczą. Na Manhattanie zorganizowano mu zamknięte spotkanie z bogaczami z Wall Street. Przyjazne Bidenowi media podały, że w trakcie tego jednego wieczoru pobił wszystkie rekordy, bo zebrał aż 25 mln dol. od najbogatszych ludzi Ameryki.

Na scenie obok Bidena byli obecni też dwaj eksprezydenci z Partii Demokratycznej: Barack Obama i Bill Clinton. Ogromny obszar miasta zamknięto, do ochrony tego wydarzenia wystawiono tysiące policjantów, którzy stali w deszczu i pilnowali porządku. Pewnie woleliby być w tym czasie na pogrzebie swojego kolegi po drugiej stronie miasta, ale nikt ich o zdanie nie pytał. Ludziom Bidena jakoś nie przyszło do głowy, że to niesmaczne organizować tę rozpasaną imprezę dokładnie w dniu pogrzebu. Czterech żyjących prezydentów Ameryki było w tym dniu w Nowym Jorku. Tylko jeden przytulił babcię zamordowanego policjanta. ©℗

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK ADAMCZEWSKI: „ZAGROŻONE DZIEDZICTWO”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~869~~ ZŁ

404,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 465ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**


FUNDACJA
ŚWIĘTEGO
BENEDYKTA
narodowymarszzycia.pl
Narodowy
Marsz Życia
Niech Żyje Polska!
Jeśli uważasz, że ciąża to nie
choroba, aborcja to nie lekarstwo,
chłopak to nie dziewczyna,
a dziecko to nie „pasożyt”, to przyjdź
na Narodowy Marsz Życia!
14 kwietnia, godz. 12.30,
Warszawa, Plac Zamkowy